R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

DANES-PICTA.COM

Colour Chart #13

Inches

Centimetres

Blue	Cyan	Green	Yellow	Red
Magenta	White	3/Color	Black	

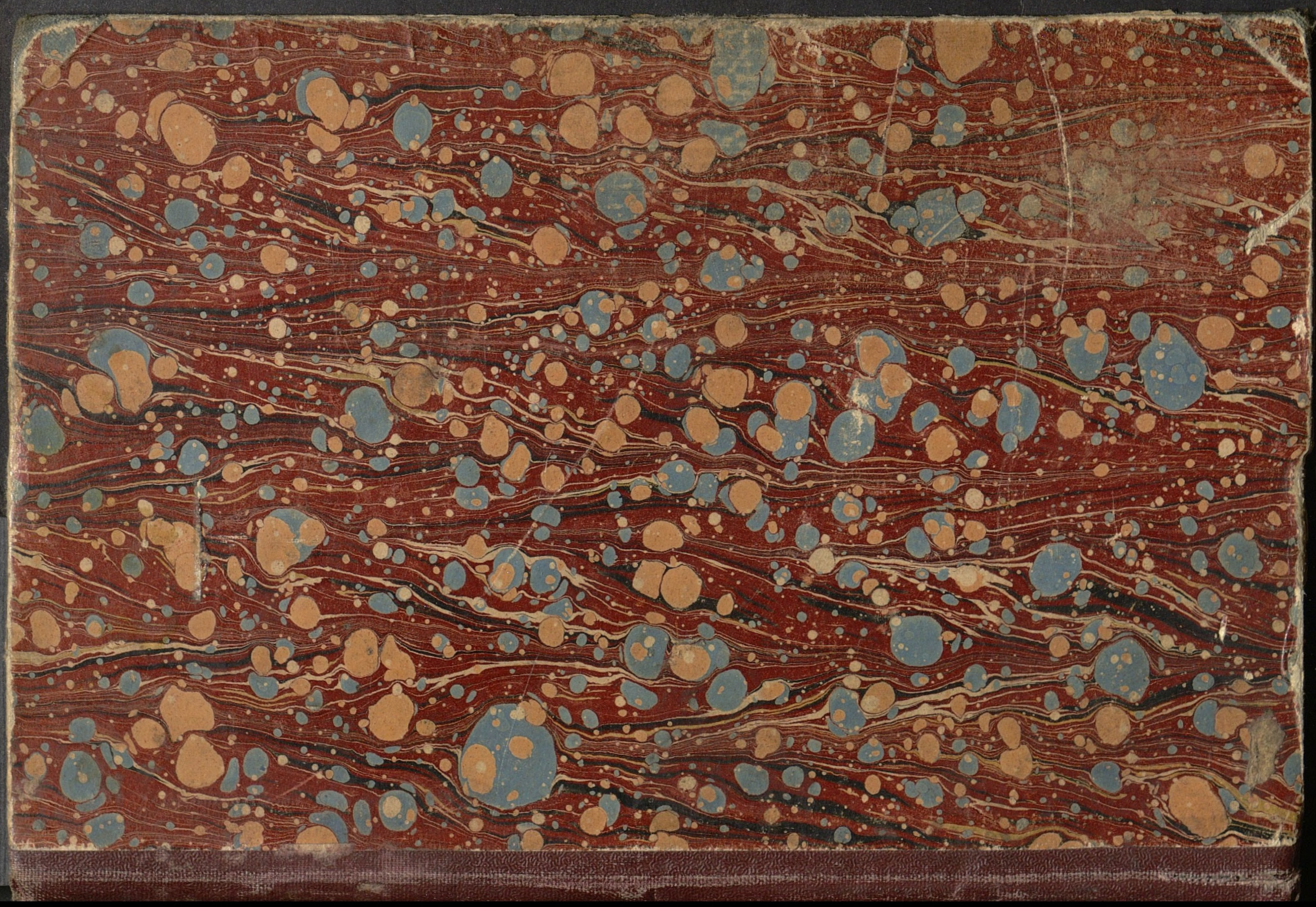

ROK 1863.

Dublet
Bibl. Racz.

1916. — DRUKARNIA M. ARCTA
W WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT 41.

ROK 1863

WYJĄTKI Z DZIEŁ I PAMIĘTNIKÓW.

DOKUMENTY. ODEZWY.

329

D 854

Uniwersytet żołnierski
D. O. Gen. Poznań

ZEBRAŁA Dr. EWELINA WRÓBLEWSKA

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

93/438/9

4152/II

BIBL. WOJSK. 58 P. P. Wlkp.

Biblioteka Polit. im. F. Dzierżyńskiego

12377/1

WSTĘP.

Powstanie! Żywa tradycja, opowiadania ojców i dziadów, wiąże nas z temi chwilami górnemi i chmurnemi, które tak nam blizkie w czasie, nieraz są duchowo tak dalekie. Pokoleniu współczesnemu trudno się wczuć w ten nastrój modlitewno-bohaterski manifestacji przedpowstańczych, w ową rewolucję moralną, trudno zrozumieć duszę straceńców, zrywających się do tak rozpaczliwie nierównej walki, pewnych, że choć oni sami poledz muszą, Sprawa jednak zwycięży.

Praca moja nie zastąpi historji powstania. Bogata literatura przedmiotu liczy kilka znakomitych opracowań. Czytelnik, pragnący gruntownie poznać wypadki 1863 r., weźmie do ręki J. Grabca „Rok 1863" i „Historję powstania styczniowego 1863 — 64 r.", pracę Limanowskiego, barwną, choć tendencyjną, wielotomową historję okresu manifestacji i samego powstania Przyborowskiego, również tendencyjną „Rzecz o 1863 r." Koźmiana, źródłowe, lecz stronne dzieło Rosjanina Berga, wreszcie liczne już dziś monografje o poszczególnych działaczach lub wypadkach, jak np.: Marjana Dubieckiego „Romuald Traugut i jego dyktatura", „22 stycznia 1863 r." Józefa Pilsudzkiego, „Czachowski" Stanisława Długosza. Kilkotomowe wydawnictwo „Materjałów do historji powstania" i liczne pamiętniki umożliwiają głębsze, źródłowe zapoznanie się z ruchem 1863 r. tym, którym czas na to pozwala.

Książka niniejsza przeznaczona jest dla takich czytelników, którzy nie mogą zgłębiać dzieł obszerniejszych, a chcieliby jednak uzupełnić wiadomości, zaczerpnięte z literatury popularnej. Starałam się odtworzyć ważniejsze chwile zarówno z okresu manifestacji, jak i samej walki powstańczej, o ile się dało, w opowiadaniach świadków i uczestników. W pewnym porządku zestawione odezwy, adresy i inne dokumenty, charakterystyki działaczy, barwne opisy wypadków, zaczerpnięte bądź to z pamiętników, bądź też z późniejszych opracowań, mają na celu stworzenie pełnego i żywego obrazu wypadków i ludzi, uchwycenie duszy powstania i uczynienie tej chwili dziejowej bliższą dzisiejszemu pokoleniu.

Lublin, listopad 1916 r.

Jak żałosna Samotracji Nike, pozdrawiasz nas z tej ziemi, nieśmiertelne Powstanie! Głowy twojej strąconej nikt z nas, których kołyska w krypcie niewoli się huśtała, nie widział. Rąk, co wysoko godła trzymały, już niema. Skrzydła tylko twoje połamane, poranione, dziurawe, w strzępach od ciosów opryczyny przed duszami naszemi w powietrzu lecą.

Na skrzydłach tych zawisła najgłębsza miłość nasza ku tobie, o Sprawo przegrana!

(Nokturn — Żeromskiego).

Królestwo Kongresowe przed rokiem 1863.

Ze śmiercią Mikołaja społeczeństwo polskie nagle odżyło, uczuło pewne zwolnienie więzów, budzić się zaczęło z niezdrowej drzemki, wywołanej bezprzykładnym uciskiem rządów mikołajowskich. Jakkolwiek wojna krymska i kongres paryski zawiodły jeszcze raz wszystkie nadzieje Polaków, że kwestja polska stanie się przedmiotem umów i pertraktacji międzynarodowych, wszelako nadzieje, budzące się z wiosną 1856 roku, nie opuszczały nieszczęśliwego i na tak ciężkie próby wystawionego narodu. Wieści o młodym cesarzu, o jego liberalnym, ludzkim usposobieniu, o szerokich reformach, jakie zamierza on uczynić w swym olbrzymim państwie, przyczyniały się do utrzymania tych nadziei. Owocem ich były świetne, jedyne, niestety, „dni majowe", w których naród jeszcze raz doznał ciężkiego zawodu.

Żywiąc niestłumione niczym pragnienie niepodległości, a jeśli nie niepodległości, to autonomji w granicach przedrozbiorowych, miał się wkrótce boleśnie przekonać, że na tym punkcie nie może być nigdy zgody między Rosją i Polską, nie może nastąpić żaden kompromis, któryby pierwszą spychał na stanowisko drugorzędnego państwa, a drugą podnosił z nicości do stopnia wielkiego mocarstwa. Starcie się tych dwuch prądów wywołać musiało z obu stron niezadowolenie i dla ludzi przenikliwych widoczną była fatalna pochyłość, na którą weszły obie strony, pochyłość, na dnie której leżało widmo krwawego, śmiertelnego pojedynku. Rząd ze swej strony, reprezentowany w Polsce przez ludzi niedołężnych, albo złych i karjerowiczów, sądził, że Polską będzie można dalej władać na tych samych podstawach, na jakich władał nią Paskiewicz. Nie robiąc żadnych ustępstw, albo robiąc je rzadko i w dozach bardzo małych, mających charakter tylko pozornych ulg, lecz nie sięgających do głębi, mniemał, że potrafi zażegnać podnoszące się aspiracje i ducha czasu, który wiał prądami ożywczych nadziei...

Rząd drażnił niepotrzebnie ogół i dawał mu uczuwać swą ciężką władzę. Powoli w umysłach ludności poczęło się budzić przekonanie, że z Rosją kwestje sporne może tylko miecz rozstrzygnąć! Nie było w kraju ani jednego

stronnictwa, jakiekolwiekby one nazwy nosiły, któreby się zrzec chciały tak zwanych świętych i nieprzedawnionych praw polskich. Każde z nich chciało Polski niepodległej państwowo i zamkniętej w granicach 1772 roku. Tak dobrze dążył do tego Zamojski z klemensowczykami, tak Jurgens z millenerami, jak Jankowski i akademicy z czerwieńcami. Jeżeli na chwilę mogła nastąpić jakaś ugoda z Rosją, jakieś ułożenie się pokojowe wzajemnego stosunku przez nadanie Królestwu szeroko i rozumnie pomyślanych reform, to uważane to było przez wszystkie stronnictwa polskie, jako czasowe tylko załatwienie kwestji polskiej. Kwestja ta bowiem, w pojęciu wszystkich Polaków, mogła być stanowczo i raz na zawsze rozstrzygniętą jedynie przez nadanie jej zupełnej niepodległości politycznej i przywrócenie dawnych granic przedrozbiorowych. Wobec takiego położenia rzeczy w sprawie tej nie było wyjścia i powiedzmy szczerze, cokolwiekby zrobił rząd rosyjski, jakiekolwiekby przeprowadził reformy, nie zadowoliłby nigdy Polaków i nie pozyskał ich dla siebie. Ustępstwa mogły ostateczny rezultat odwlec, burzę na chwilę zażegnać, chmury spędzić na skraj horyzontu, ale, wcześniej czy później, chmury te pokryłyby znowu niebo Polski i burza zerwałaby się z większym jeszcze trzaskiem piorunów i świstem wichru.

Rząd rosyjski widział to dobrze, ale sądził, że, rządząc po dawnemu, zdoła burzę jeżeli nie powstrzymać zupełnie, to odwlec ją na długi czas. Omylił się i patrzeć musiał, jak w Polsce gromadziły się powoli żywioły zapalne, jak uśpiony żelazną, paskiewiczowską ręką wulkan budzić się i dymieć poczyna, grożąc strasznym wybuchem i zniszczeniem. Drżała już ziemia w Polsce i w łonie jej słychać było posępne pomruki lwa, skutego łańcuchami, który wstrząsał niemi i gotował się do potężnego skoku, aby zdruzgotać klatkę, w jakiej go zamknięto.

„Historja dwuch lat: 1861—1862".—Z. L. S. Kraków, 1892 r.)

Manifestacja z dnia 27 lutego 1861 r.

...Nastała środa, dzień 27 lutego, pamiętny dzień pięciu ofiar. Warszawa od rana była niezmiernie ożywiona, szczególniej też Leszno i Krakowskie Przedmieście roiły się ludźmi. Jedni dążyli do kościoła Karmelitów, drudzy do pałacu namiestnikowskiego. Kto zapraszał na nabożeństwo na Lesznie? niewiadomo; niewiadomo nawet było, za kogo to nabożeństwo miało się odbyć. Jedni mówili, że za Szymona Konarskiego, inni, że za pobitych na Starym Mieście. Po wyjściu z kościoła obecni, nie porozumiewając się z sobą, utworzyli orszak, który ruszył ku ulicy Długiej, rosnąc, jak śnieg, toczący się z góry, w coraz większą gromadę ludzi. Dokąd ci ludzie szli! nikt powiedzieć nie umiał, po co szli? żaden z nich nie wiedział. Szli, jakby niewidzialną siłą poruszani, a w drodze jedni mówili: „Chodźmy przed zamek, upomnieć się o uwolnienie więźniów i o sprawiedliwość!"—inni: „Idźmy aż ku Trzem Krzyżom przez całą Warszawę, jak chcieli ci, co na Starym Mieście byli rozproszeni!" Szli więc — a Trepow i policja za niemi, uważając bacznie to poruszenie, lecz nie przeszkadzając mu bynajmniej. Obok kościoła popaulińskiego idący zawrócili się ku Staremu Miastu, gdzie mieszczanki uzbroiły się w krzyże, w obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i różnych świętych. Na ulicy Ś-to Jańskiej z okien najwyższych piętr nawet spuszczano na przechodzący orszak obrazki, powydobywane z książek do nabożeństwa, które niosąc przed sobą, bez żadnych chorągwi i oznak narodowych weszła ta dziwna procesja na plac Zygmunta III.

Ledwo się na nim pokazała, kozacy kubańscy, zwani w Warszawie czerkiesami z powodu ubrania czerkieskiego, z pod zamku puścili się za nią w galopie i, bijąc batami po głowach, porozbijali obrazy, powytrącali z rąk krzyże, procesję rozpędzili. Lecz nie mogli przeszkodzić zebraniu się ludu, który na plac przybywał i stawał lub też przechodził obok kolumny Zygmunta na Krakowskie Przedmieście.

Kozacy nie wiedzieli, co robić z rosnącym ciągle tłumem, tym więcej, że publiczność, która napełniała szeroką ulicę, nie miała już nawet i obrazków, to jest tej broni, w jaką pobożne mieszczanki Starego Miasta zaopatrzyły orszak, rozpędzony przed pół godziną, wzburzenie zaś, jakkolwiek silne, nie okazywało się na zewnątrz żadną nieprzyjazną czyn-

nością. W tym czasie z kościoła Bernardynów wyniesiono trumnę Łempickiego, urzędnika dyrekcji ubezpieczeń, i ustawiono ją na karawanie. Wystąpili księża Bernardyni i Kapucyni i kondukt miał ruszyć z miejsca, gdy kozacy, rozkazem czy szałem poruszeni, uderzyli na pogrzeb i, rąbiąc szaszkami, poniewierali i kaleczyli ludzi. Za braciszkiem Bernardynem kozak konno wbiegł aż do kruchty kościoła i tam ciął go dwa razy.

Pogrzeb, wstrzymany w swej drodze, zwrócił się w stronę przeciwną, lecz i tu napotkał kozaków, którzy wpadli na księży i lud z pałaszami i batami, wywijając na wszystkie strony.

W tym szalonym napadzie nie poszanowali krzyży: jeden przerąbali, drugi wyrwali z rąk zakonnika, co wreszcie do ostateczności oburzyło baby, zbierające się dla jałmużny, jaką dają na pogrzebach. Cegłami, które leżały przed budującą się nową resursą, poczęły one miotać na kozaków, w czym im dopomagali ulicznicy, a niektórzy zaś dla wstrzymania nowej ich kolumny dorożkami zatamowali miejsce, gdzie się zwęża Krakowskie Przedmieście.[1]) Po chwili jednak dorożki uprzątnięto, pociski ceglane ustały, kozacy ustąpili, a pokazała się na Krakowskim Przedmieściu piechota. Lud *nie ustępował z ulicy, trzymał się na niej*, niczym nie zachwiany. Wkrótce potym masę jego powiększyli obywatele, którzy wyszli z posiedzenia Towarzystwa rolniczego w pałacu namiestnikowskim.

Towarzystwo rolnicze obradowało jeszcze dnia tego, lecz rozprawy były nieuważne, urywające się, często bowiem ktoś nowoprzybyły dawał po cichu wiadomość to z Leszna, to z pod zamku i mówił rzeczy, które bicie serca przyśpieszały i krew do głowy pędziły. Niecierpliwość wzmagała się, z różnych stron sali odzywano się, że niepodobna obradować w takim czasie, gdy mordują naszych. Inni chcieli, ażeby całe Towarzystwo ruszyło do zamku. Widoczne było, że burza wnet porwie z sobą Towarzystwo, że przeciwko fali, która w nie uderzała, dłużej się nie ostoi. Zamojski więc, jako doświadczony sternik, w tej groźnej chwili ratując statek Towarzystwa, zamknął tegoroczne posiedzenia.

Wtedy właśnie pokazała się na sali wysoką postać Józefa Narzymskiego. Twarz miał bladą i okrwawioną: ko-

---

[1]) Na miejscu, gdzie obecnie jest skwer, stał szereg domów. P. R.

zacy zbili go przed zamkiem. Widok krwi do reszty wyczerpał cierpliwość zgromadzonych; otoczyli Zamojskiego i, pokazując mu ranionego, prosili i żądali, ażeby udał się do Gorczakowa i zapobiegł rozbojom i mordom. Zamojski przyobiecał, że się upomni o sprawiedliwość, ale zalecał przedewszystkim umiarkowanie i rozważne postępowanie.

Kiedy ostatni członkowie opuszczali salę i przechodzili przez dziedziniec pałacu, wojskiem zapchany, na Krakowskim Przedmieściu po drugiej godzinie po południu padli już niektórzy z ich kolegów, zabici przez oddział piechoty, który się rozstawił wszerz ulicy, naprzeciw domu Malcza. Rozkaz do strzelania wydał gienerał dyżurny, Zabołockij, prowadzący wojsko szturmowym krokiem na lud bezbronny i spokojnie zalegający ulice. Strzelano trzy razy rotowym ogniem w gęsty tłum, który, jakby nie dbając o życie, nie cofnął się przed kulami. Strzały padały na dom Malcza, w wązkie przejście Krakowskiego Przedmieścia, w ulicę Trębacką i ugodziły wiele osób. Pięciu na miejscu zostało zabitych, a mianowicie: Marceli Karczewski, obywatel z Sieradzkiego, mający lat 56; Zdzisław Rutkowski, obywatel z Jaszowic, z gubernji Radomskiej, lat 23; Karol Brendel, rzemieślnik przy warsztatach fabryk żelaznych; Adamkiewicz, wyrobnik, i wreszcie Michał Arcichiewicz, uczeń 6-ej klasy gimnazjalnej. Rannych było wielu, pomiędzy innemi: Henryk Karski, Błeszyński, Wołowski Stanisław, Kolasiński i Wiśniewski.

Pomimo krwi, która bruk okrwawiła, lud zachował spokojność, niewielu bowiem cofnęło się z niebezpiecznego miejsca. Jedni ratowali i uprowadzali rannych, inni podnosili trupy, a wojsko, którego znaczne siły nadchodziły od zamku, szło z bagnetami, zwróconemi do ataku, gotowe do nowych zabójstw, wołając do stojących, żeby się rozeszli. Długie dwie linje wyciągnęły się przy chodnikach wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia prawie aż do hotelu Europejskiego, za niemi stał lud na chodnikach, nieruchomy, środkiem zaś ulicy, pomiędzy szeregami nieprzyjaciela, jednego trupa w dorożce odwieziono, inne, z których krew jeszcze płynęła, nieśli mieszkańcy stolicy.

Krwawy ten pochód niezwykły przedstawiał widok. Cisza zapanowała na ulicy, lud, niezlękniony, smutny, miał powagę idących na śmierć; ocierając się o żołnierzy, nie groził im pięścią, nie lżył słowem; wojsko samo, jakby przerażone,

stało w milczeniu, patrząc na obywateli, co nieśli poległych, dźwigając ich, jakby sztandary zwycięstwa.

I byli Polacy zwycięzcami, a zwyciężyli sercem, które biło dla ojczyzny czystą miłością, żadnym innym uczuciem, nawet zemsty, nie zaćmionym; i zwyciężyli wstrętem, jaki okazali dla zbrodni, w pogodzie, nie zmąconej żadną obawą i wiarą w tryumf sprawiedliwości, nie pobudzanej żadną niecierpliwością. I byli Polacy zwycięzcami, gdyż Moskale, popchnięci rozkazem zimnej polityki do zbrodni, uczuli, że sprawa ich panowania w Polsce nie jest słuszna, że sprawiedliwi zostali przez nich pobici.

Te dwa naprzeciw siebie w walce stojące narody staczały wobec pięciu trupów nową, nieznaną w dziejach bitwę; bitwę ludzką, w której po raz pierwszy w dziejach przeciwnik uzbrojony i mocny schował broń i zaprzestał zabijać bezbronnych i słabych, bitwę zaszczytną dla obu stron: dla ludu polskiego, który się wzniósł na najwyższy szczyt moralnych poczuć, i dla tych Moskali, co na Krakowskim Przedmieściu okazali instynkty ludzkości w zaprzestaniu boju z bezbronnymi i ujarzmionymi i cofnięciu się, jakby byli pokonani, przed samą sprawiedliwością. Była to chwila krótka, jak błysk, ale chwila dziejowa, bo zrodziła *ideję walki moralnej; chwila nadzwyczajna*, bo widziano w niej oficerów, zdejmujących czapki przed ofiarami, żołnierza, zrzucającego mundur i wołającego, że nie chce być Moskalem; pułk ułanów na Saskim placu, którego oficerowie ze współczuciem do ludu się odzywali, a który za to wysłany został z Warszawy; chwila, w której po ludzku starli się z sobą przeciwnicy, chociaż, niestety, na to tylko, ażeby później powrócić do zwykłej, okrutnej a pastwiącej się wojny.

„Dzieje Delegacji Warszawskiej". Tom wstępny. „Wydawnictwa materjałów do historji powstania"; Lwów r. 1883 — 1894 — Agaton Giller).

Pogląd krytyczny na działalność Delegacji warszawskiej.

Ówczesny namiestnik, ks. Gorczakow, osiwiały i od huku armat ogłuchły obrońca Sewastopola, wdrygnął się przed myślą dalszego mordowania bezbronnych mieszkańców Warszawy i kazał cofnąć wojsko.

Kto wie, czy oprócz uczucia nie kierował się i zmysłem praktycznym w ocenieniu danej chwili. Jako głównodowodzący wojskami, znał siły, jakiemi rozporządzał, widział, do jak wysokiego stopnia masy były podbudzone, jak łatwo mogły wpaść w szał, który ma także swoją logikę, często zadziwiającą, a nieledwie gienjalną. Może obliczył, że niema dostatecznych sił do zmiażdżenia tych tłumów, a drażnić je było niebezpiecznie, bo jedno gorące słowo mogło je zmienić w ślepą siłę żywiołową. Obwiniano go potym o brak energji, czy słusznie? to wielkie pytanie. Nie przeczę, że, decydując się ustąpić — ryzykował, ale w rezultacie rząd nie tylko nic na tym nie stracił, ale, przeciwnie — odniósł niezaprzeczalne korzyści. Nie należy zapominać o tym, że, potrzeba było 6 tygodni czasu przy wzorowym, absolutnym spokoju na zgromadzenie dostatecznej ilości wojska, aby władza mogła się poczuć dość silną, że bez telegramów w 24 godziny wszystkie miasta i miasteczka podtrzymałyby stolicę, że bez inicjatywy skądkolwiekbądź ludność cała dobrowolnie okryła się żałobą.

Była więc chwila, że władza leżała na bruku, brakło ręki, któraby była dość silną, aby ją podnieść.

Gdyby prawdą było, że Szkoła sztuk pięknych[1]) działała pod wpływem zagranicy, miałaby jasno wytknięty cel, wiedziałaby, dokąd dąży i niezawodnie skorzystałaby z otrzymanego zwycięstwa. Dobrze czy źle — udolnie czy nieudolnie? to inne pytanie i położenia rzeczy nie zmienia. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie: po otrzymanej przewadze czerwoni, jak ich nazywano, usuwają się na plan drugi i nic nie przedsiębiorą, w niczym, co się dalej dzieje, nie biorą udziału. Nikt ich nie znał i nikomu oni nie

---

[1]) Uczniowie Szkoły sztuk pięknych rej wodzili w manifestacjach. Przyp. Red.

wydawali rozkazów. W owej uroczystej chwili, gdy procesja od kościoła Paulinów weszła na Stare Miasto, a ludność tej dzielnicy upadła na kolana przed sztandarem narodowym, nie okrzykiwano przywódców procesji, Frankowskich lub Szachowskiego, ale z tysiąca piersi wydarł się jeden okrzyk: „Polska nasza zmartwychwstaje!" A serca tych ludzi przepełnione były takim bezmiarem szczęścia, że starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni szlochali, jak dzieci. Jeszcze raz powtarzam, że inicjatorzy protestu przeciwko dotychczasowym porządkom, tak stanowczo uznanym za dobre przez liberalnego cara, zginęli w tłumie, zrobiwszy, co zamierzali. Dowiedli, że wobec mas bezbronnych, ale silnych poczuciem słuszności swych żądań, siła bojowa państwa nie zawsze i nie wszędzie daje się użyć z powodzeniem; wtedy przestaje być siłą. Wierzyli, że ci, co się uważali i byli uważani za przedstawicieli narodu, umieją skorzystać z krwawego protestu.

Po cofnięciu się wojska pięć ofiar podniesiono i złożono w hotelu Europejskim. Towarzystwo rolnicze, zamiast wyzyskać położenie i adres o całą oktawę podnieść, odstępuje od pierwiastkowego projektu podania kategorycznego adresu i redaguje nowy, w którym, oprócz mglistych płaczliwych frazesów, zapewnia o swej lojalności i niczego nie żąda, ale też i nic nie dostaje, a jednocześnie dyplomatycznie staje na stronie, wysuwając na pierwszy plan obywateli miejskich.

...Stary Gorczakow Delegację uprzejmie przyjął, przemówień jej członków cierpliwie wysłuchał, tymbardziej, że jedyne żądanie pochowania poległych z zaręczeniem, że miasto zachowa się spokojnie, było tak dalece skromne, że Gorczakow obydwiema rękami chwycił się Delegacji, która mu dawała możność wyjścia z ery trudnego położenia.

Przy środkach, jakiemi rozporządzał, nie miał odwagi uronionej na bruk władzy podnieść, aby ją dalej we własnym ręku utrzymać. Widząc jednak przed sobą grono ludzi poważnych, którzy ani z pozycji swojej, ani z niebezpieczeństwa danej chwili jasno sobie sprawy nie zdają i honorem odpowiadać chcą za spokojność i porządek w mieście, a więc i w całym kraju, nie tylko, że na pogrzeb zezwala, ale cały kraj w ich ręce bez żadnych zastrzeżeń oddaje. Upojenie dochodzi do zenitu! Kto widział ówczesną Warszawę, spokój i porządek, jakie w niej panowały, bez policji, żandarmów, policmajstrów et tutti quanti. Kto widział ów po-

grzeb, w którym wzięła udział ludność całego miasta i duchowieństwo wszystkich wyznań, nie wyłączając i rabinatu; te okiem nieprzejrzane tłumy, na jedno słowo, jeden ruch ręki ucznia gimnazjum lub studenta, na którego czapce widna była maleńka kartka papieru z napisem: „Komitet pogrzebowy", cofające się we wskazanym kierunku w absolutnym porządku i spokoju, ten tylko ocenić może, jaki ogrom uczucia, poświęcenia i energji wyładowywał się z tej żywej baterji. Jeżeli po dwuletnim bezowocnym targaniu się garstka tych ludzi z gołemi rękami rzuciła się na armaty pod Siemiatyczami i zdobyła je, to w owej chwili jeden niezręczny krok ze strony rządu mógł spowodować wybuch, a sto tysięcy pięści wystarczyłoby na zdruzgotanie bram nie przygotowanej do oporu cytadeli.

W takiej krytycznej chwili Gorczakow złożył władzę w ręce Delegacji i tym sposobem zabezpieczył absolutnie porządek w kraju, którego sam nie byłby mógł utrzymać. Delegacja przedewszystkim zajęła się zorganizowaniem tymczasowej straży bezpieczeństwa i złożyła ją wogóle z ludzi młodych, po większej części studentów akademji i starszych uczniów gimnazjum. Posiedzenia odbywała codziennie w lokalu Resursy kupieckiej. W nocy znajdował się tam zawsze członek Delegacji dyżurny, któremu zaimprowizowana straż bezpieczeństwa składała raporty o stanie miasta, słowem, z całą gorliwością pełniła obowiązki czasowo usuniętej policji i żandarmów.

(Wspomnienia z czasów młodości. Materjały do historji powstania. Lwów 1894 r., t. IV).

Biblioteka Rolnicza Akad. Roln. im. F. Górnickiego

Delegacja warszawska.

Zwycięskie wśród tych okoliczności i stojące obecnie na czele narodu mieszczaństwo wprowadzało w życie hasło równości powszechnej na każdym kroku. Delegacja, od dnia 6-go marca urzędująca w zwiększonym składzie na Ratuszu, pod prezydencją urzędową gien. Paulucciego, a faktyczną gien. Lewińskiego i Szlenkiera, opracowała projekt samorządu miejskiego w Królestwie, w którym prawo głosu przy wyborach otrzymali wszyscy pracujący na siebie samodzielnie, nie wyłączając czeladzi rzemieślniczej. Żywo zajęto się również sprawą oświaty ludowej wśród rzemieślników. Młodzież szkolna, panny z rodzin inteligienckich i mieszczańskich, księża i t. d. usilnie pracowali nad nauczaniem czytania i pisania terminatorów rzemieślniczych i wyrobników.

Na Starym Mieście, w ośrodku rzemiosła polskiego, z inicjatywy ks. S. Lubomirskiego została założona czytelnia bezpłatna, która w ciągu kilku tygodni, dzięki ofiarności publicznej, doszła do liczby 1000 przeszło tomów. Zasada miłości bratniej i solidarności głęboko przenikała uczucia warszawskiego ludu roboczego. Pomoc dla pozostających bez pracy rzemieślników i robotników była hasłem bardzo wśród ogółu popularnym i na ten cel sporo napływało ofiar zarówno pojedyńczych, jak i zbiorowych z pośród rzeszy pracującej. Tak np. rzemieślnicy i robotnicy „Tow. Żeglugi Parowej" na korzyść pozbawionych pracy ofiarowali wszyscy bez wyjątku swoją gratyfikację roczną, wypłacaną im zazwyczaj przed Wielkanocą.

Jednocześnie z tym ruchem zapanowało ożywienie i w życiu wewnętrznym rzemieślniczej i robotniczej braci. Duch narodowy, jaki ogarnął rzemieślników, wpłynął na polszczenie zupełne przesiąkniętych niemczyzną cechów rzemieślniczych, oraz na różne inne reformy tych zaśniedziałych instytucji.

Nawet niesłychanie drażliwą wśród mieszczaństwa sprawę stosunku pracy i kapitału starano się w tym okresie obustronnie złagodzić i załatwić po bratersku.

Wcielały się więc powoli w czyn hasła mieszczaństwa wszystkich krajów, hasła postępu i wolności, drogą wręcz niezwykłą i za pomocą religijnego nastroju ogółu i rozpowszechnienia się wśród ludu zasad miłości ewangie-

licznej. Postępowe mieszczaństwo, żyd Kronenberg, wolnomyślny lekarz Chałubiński, pastor Otto, rabin Mayzels, dziesiątki ciemnych Bernardynów i wykształcony episkopat katolicki tworzyli zastęp ideologów, tej oryginalnej demokracji, zastęp, mimo całe różnice przekonań i osobistości, solidarny i spójny. Demokratyczne też przekonania i braterstwo stanów manifestowano w tym czasie na każdym kroku.

Szczególniej zbliżająca się Wielkanoc dała sposobność do manifestacji braterstwa ogólnego. Urządzano w olbrzymim zakresie święcone dla rzemieślników i robotników w pałacach magnaterji i burżuazji warszawskiej. Salony Potockich, Zamojskich, Pusłowskich, Epszteinów, Szlenkierów wypełniały się rzemieślniczą i robotniczą bracią, której usługiwali studenci. Sam tylko Mikołaj Epsztein przyjął przeszło 2000 osób. Dla biednych rzemieślników zbierano składki. Gmina żydowska znów wystąpiła z odezwą patryjotyczną, przysyłając na ten cel 9200 złotych.

— — — — — — — — — — — — —

Stosunki w rządzie jednak zmieniły się teraz. Ster polityki przechodził w ręce Wielopolskiego.

....Pełna smutnych przeczuć ustępowała ostatecznie wybrana przez ludność Warszawy i z jej ramienia działająca Delegacja. Przeczucie to wyczuwa się i z odezwy, którą pożegnała ona ogół, z d. 4 kwietnia datowanej.

„Przestając sprawować czynności pod względem utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego — czytamy w tej odezwie — Członkowie Delegacji m. Warszawy wzywają Obywateli, aby, idąc ciągle raz obraną drogą, godnością swej postawy okazywali dojrzałość polityczną, do jakiej Naród Polski, pomimo nieprzyjaznych okoliczności, dojść zdołał; aby stale trzymali się zbawiennego kierunku, który tak wybitnie się objawił w pojęciu równości obywatelskich obowiązków i równości praw obywatelskich wszystkich mieszkańców, bez różnicy stanu i wyznania.

Godność i jedność są najlepszą dla przyszłości narodu naszego rękojmią..."

(„Rok 1863" — J. Grabiec).

Adres do cesarza Aleksandra

podany d. 28 lutego 1861 r. na ręce ks. Gorczakowa, namiestnika Królestwa Polskiego.

Smutne wypadki, niedawno zaszłe w Warszawie, rozdrażnienie, jakie je poprzedziło, i głęboka boleść, jaka po nich nastąpiła i przejęła serca nasze, ośmielają się zanieść do stóp W. C. Mości prośbę całego kraju w nadziei, że szlachetne Twe, N. Panie, serce nie odrzuci głosu nieszczęśliwego narodu.

Wypadki te, których bolesnego obrazu przedstawiać nie chcemy, nie wynikły bynajmniej skutkiem burzliwych namiętności niektórych klas społeczeństwa; przeciwnie, są one jednomyślnym i wymownym wyrazem odtrąconych uczuć i potrzeb zapoznanych. Więcej niż półwiekowe cierpienia, znoszone przez cały naród, który przez długi przeciąg wieków rządził się liberalnemi prawami i którego pozbawiono nawet drogi legalnej dla zaniesienia skargi Monarsze i przedstawienia *Mu społecznych* swych potrzeb, doprowadziły go do takiego stanu i położenia, że głosu swego nie może inaczej dać słyszeć, jak tylko przez jęk swych ofiar, i dlatego właśnie tych ofiar przynosić nie przestaje.

W głębi duszy każdego mieszkańca tego nieszczęśliwego kraju tkwi silne uczucie własnej narodowości, odrębnej od innych ludów Europy. Czas i wypadki uczucia tego zatrzeć nie potrafiły; niedola nie tylko go nie osłabiła, ale, przeciwnie, jeszcze je bardziej spotęgowała. Cokolwiek to uczucie obraża lub nieoględnie je dotyka, oburza umysły wszystkich. Ze smutkiem kraj widzi, że, jeżeli potrzeby jego nie będą zaspokojone, to zaufanie, jakie powinno istnieć między rządzącymi a rządzonymi, zniknie, a wskrzesić go nie zdołają ani przymusowe, ani gwałtowne nawet środki, które do niczego nie doprowadzą. Naród, niegdyś w oświacie stojący na równi z sąsiedniemi ludami Europy, nie może się rozwijać ani moralnie, ani materjalnie, dopóki jego wiara, jego prawodawstwo, wychowanie publiczne i ustrój społeczny będą pozbawione własnej narodowości i dziejowych tradycji.

Żądania naszego narodu są tym silniejsze, że on jeden wśród licznej rzeszy ludów europejskich pozbawiony jest

obecnie tych niezbędnych warunków życia, bez których żadne społeczeństwo nie może dążyć drogą postępu do celów, wytkniętych mu przez Opatrzność.

Zanosząc do stóp tronu głos niedoli naszej i gorących naszych pragnień, ufni w wysoką sprawiedliwość i sąd Waszej Cesarskiej Mości, ośmielamy się, Najjaśniejszy Panie, błagać Cię o wspaniałomyślność.

Waszej Cesarskiej Mości wierni poddani.

Warszawa, dnia 17 lutego 1861 r.

Pogrzeb pięciu poległych d. 2 marca 1861 r.

...Nakoniec zajaśniał poranek dnia 2 marca. Dzień był słoneczny, ciepły, jasny, śmiejący się wszystkiemi urokami młodej wiosny, „jakgdyby Bóg promień miłosierdzia rzucił na biedny nasz kraj", że użyjemy wyrażenia jednej ze współczesnych relacji. Od samego świtu, ledwie słońce weszło, tłumy zaległy ulice, któremi miał przechodzić orszak pogrzebowy, zwłaszcza Krakowskie Przedmieście w pobliżu kościoła Św. Krzyża, gdzie znajdowały się trumny pierwszych ofiar. Wszyscy byli w miarę swej możności w grubej żałobie; kobiety, ubrane w długie czarne zasłony, nadawały całości charakter smutny i melancholijny. Sklepy prawie wszędzie pozamykano; dorożki i wozy nie pokazywały się na ulicach, domy, balkony przystrojono w czarne flagi, w takież kobierce, zwykle z krzyżem białym na środku, z obwódkami białemi u brzegu. Miasto było ciche i robiło niewypowiedzianie silne wrażenie przez swój wygląd smutny, żałobny, jakkolwiek tu i owdzie przeglądała pewna teatralność, pewna dążność do wywołania efektu, tak właściwa ludności warszawskiej.

Ruch na mieście był ogromny. Tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi dążyło w głębokim milczeniu ku kościołowi św. Krzyża. Wszędzie panowała poważna, uroczysta cisza, a porządek był wzorowy. Gęsto rozstawieni konstable narodowi z przepaskami żałobnemi na rękach, w liczbie tysiąca pod wodzą Leona Trutrzewińskiego, zapobiegali wszelkiemu zamieszaniu. Cechy rzemieślnicze, skupione pod swe chorągwie, owinięte krepą, licznemi gromadami śpieszyły ku kościołowi, by wziąć udział w pogrzebie. Nastrój był taki, obawy tak wielkie, że rząd skorzysta z nagromadzenia się ludności i zrobi wśród niej rzeź, że wiele osób w tym dniu, idąc na pogrzeb, spowiadało się i komunikowało, jak przed śmiercią. Mnóstwo pogłosek obiegało śród tłumu. Nie wierzono w pozorną bezczynność władzy; mówiono, że rząd chce wywołać rewolucję, że konstable narodowi ciągle chwytają szpiegów z bronią w ręku i oddają ich policji za pokwitowaniem.

Tymczasem w kościele za dusze poległych biskup sufragan Dekert, „dziecię Warszawy", trzymany niegdyś do chrztu przez cały naród w osobie marszałka sejmu czteroletniego, odprawił uroczystą, pontyfikalną mszę, podczas której na chórze odśpiewano r e q u i e m Stefaniego, pod dyrekcją Apo-

linarego Kątskiego. Śpiewał instytut muzyczny, oraz najlepsi artyści opery, jak: Dobrski, Matuszyński, Troszel, Stolpe i Keller. Kościół był rzęsiście oświetlony, koło trumien gorzało mnóstwo światła, zieleniały wieńce i kwiaty. Cała ogromna świątynia była przepełniona, a koło samych trumien stały rodziny poległych, o ile oczywiście się zgłosiły. Nastrój był niezmiernie uroczysty i rozrzewniający.

Po mszy stary, siwy, przygarbiony arcybiskup Fijałkowski, ubrany w purpurę i złoto i w infułę biskupią, otoczony tłumem duchowieństwa, pobłogosławił ciała poległych wśród głośnego płaczu w kościele i punktualnie o godzinie 10-ej rano rozwarły się drzwi główne na oścież i kondukt pogrzebowy ruszył. Sam arcybiskup szedł na czele, mając po bokach dwuch biskupów: Dekerta i Platera, za niemi długi szereg duchowieństwa. Szli tu w fijoletach kanonicy archikatedralni, szli księża w białych komeżkach, cała młodzież akademji duchownej, zakony w szarych charakterystycznych, średniowiecznych habitach, Bernardyni, brodaci Kapucyni, Reformaci, Karmelici i Kameduli, biało ubrani, Dominikanie w swych płaszczach żałobnych. Gdy wyniesiono na barkach ubiegającej się o to młodzieży pięć trumien, cały orszak począł się odpowiednio szykować. Środek ulicy był zupełnie pusty, publiczność tłoczyła się na chodnikach, powstrzymywana przez łańcuch, jaki utworzyli, trzymając się za ręce, mężczyźni.

Stosownie do programu, ułożonego przez komitet pogrzebowy, orszak rozpoczynały długie rzędy sierot i starców, utrzymywanych przez Towarzystwo Dobroczynności, w jednakowych szarych strojach, pod nadzorem sióstr miłosierdzia, których wielkie czepce białe widne były zdaleka. Przed niemi atoli ukazał się na samym czele na koniu, w pełnym swoim mundurze, w hełmie na głowie, gienerał Paulucci, którego „życzliwie witano", jak pisze jedna z gazet współczesnych, a za nim posuwał się oddział straży ogniowej, t. zw. strażaków, ulubieńców miasta, ubranych odświętnie, w błyszczących kaskach z herbem syreny, pod wodzą swego brandmajstra.

Pauluccіemu, dla ochronienia go od możliwych bardzo zniewag ze strony rozdrażnionej ludności, dano do boku Karola Ruprechta, który przez cały pogrzeb szedł obok naczelnika policji.

Za sierotami postępowali uczniowie wszystkich szkół, akademicy, szkoła sztuk pięknych, instytut agronomiczny z Marymontu, szeregami, przez całą szerokość ulicy, trzymając się za ręce.

Po nich posuwały się czarno ubrane, z zapalonemi świecami w rękach, bractwa wszystkich kościołów, długi rząd mężczyzn i kobiet. Z ulicy Królewskiej, gdzie oczekiwały na orszak, wysunęły się teraz wszystkie cechy warszawskie ze swemi chorągwiami, w krepę owiniętemi. Dobyto nawet schowaną od r. 1831 w magistracie chorągiew jubilerów, na której na czerwonym tle błyszczał orzeł biały, teraz pokryty kirem. Po cechach szło duchowieństwo.

Arcybiskup, odprowadziwszy orszak do rogu ulicy Królewskiej, siadł do karety, a kondukt pogrzebowy wiódł już Plater, sufragan łowicki. Zaraz po nim, oddzieleni tylko grupą członków Towarzystwa Rolniczego, wśród których widziano chłodną postać Andrzeja hr. Zamojskiego, posuwali się w swych togach i biretach na głowie superintendenci wyznań protestanckich: luterski Ludwig i kalwiński Spleszyński, otoczeni kilku pastorami.

Trumnicy, pięć czarnych trumien, nieśli na swoich barkach: szlachta rzemieślników, rzemieślnicy — szlachtę. Kobiety chciały także nieść trumny, ale dano im olbrzymi wieniec cierniowy, „godło zwycięstwa i niewinności", który ostentacyjnie dźwigały.

Do niesienia trumien przez całą drogę nacisk był ogromny ludzi wszelkich stanów i wyznań. Każdy się dobijał, by ofiarom narodowym, jak mówiono, cześć oddać.

Za trumnami jechało pięć różnych karawanów, a za niemi, stosownie do swego obrzędu, nadrabin Beer Mayzels i dr. Jastrow, w lisich czapkach na głowie, postępując z powagą uroczystą. Za niemi dopiero tłoczyły się gęste masy publiczności, z odkrytemi głowami, w głębokim skupieniu ducha.

W tłumie spostrzegano grupę druciarzy, w ich charakterystycznych strojach góralskich. Cisza była i porządek zupełny. Słychać było tylko melancholijny śpiew duchowieństwa i jęk dzwonów, bijących skargą ku niebu ze wszystkich dzwonnic warszawskich. Liczbę ludzi, znajdujących się na pogrzebie, oceniano na 100 do 160 tysięcy, który to rachunek nie zdaje się być zbyt przesadzonym z tego wzglę-

du, że gdy na cmentarz wchodziło czoło orszaku, koniec jego zajmował jeszcze ulicę Bielańską.

Wojska i policji nigdzie nie było. Gorczakow przez rozkaz dzienny jak najsurowiej zabronił ukazywania się w ten dzień na ulicach żołnierzom i oficerom. Między temi ostatniemi z tego powodu powstało silne oburzenie; mówili głośno, że „namiestnik poddał Warszawę Polakom". Jednakże w czasie przejścia orszaku przez plac Saski wojsko, na odwachu będące, wystąpiło, sprezentowało broń, a dobosz bił w bęben, salutując pogrzeb.

Na dachach ratusza i arsenału drobne gromadki policji i wojska ciekawie przypatrywały się tej olbrzymiej, nie widzianej dotąd manifestacji. Lud, spostrzegszy ciekawych, pokazywał ich sobie palcami i śmiał się z nich dobrodusznie. Wszędzie balkony i okna pokryte były flagami żałobnemi, na których obok krzyża pojawiały się teraz wieńce cierniowe i palmy.

Orszak pogrzebowy posuwał się ulicami, w programie oznaczonemi, t. j. placem Saskim, Wierzbową, Bielańską, Nalewkami i t. d. na Powązki, wśród największego porządku i uroczystej, niczym nie zakłóconej ciszy.

W chwili, gdy z pierwszą trumną wchodzono na cmentarz, słońce, które przez cały czas pochodu jasno świeciło, okryło się nagle chmurą i przyćmienie to trwało dopóty, dopóki ostatniej trumny nie przeniesiono na miejsce wiecznego spoczynku. Bardzo naturalne to zjawisko obserwowane było przez wszystkich obecnych z natężoną bacznością; w mistycznym usposobieniu widziano w tym znak, palec Boży, płacz całej przyrody nad niedolą polską. Takie to brednie plątały się po głowach ówczesnych; powtarzane były przez pisma publiczne, które twierdziły, że wydarzenie to ze słońcem „niewysłowiony urok rzuciło".

Na cmentarzu, nad pięciu wykopanemi grobami, artyści opery i uczniowie instytutu muzycznego śpiewali marsz Nideckiego przy współudziale kilkuset osób, a uczniowie różnych zakładów naukowych rozdawali wśród tego fotografje poległych, cząstki wieńców cierniowych i kawałeczki płótna, zmaczane w „niewinnej krwi" zabitych.

Nad pięciu ciałami usypano pięć mogił, które stały się odtąd celem nieustannej pielgrzymki Warszawian, dopóki później, w czasach reakcji rządowej, mogił tych nie zrównano z ziemią. Wtedy jednak, zaraz po pogrzebie, zasypa-

no je literalnie wieńcami i kwiatami, które utworzyły istne góry drogiej jeszcze w tej porze i rzadkiej zieleni.

Wśród płaczu, przeklinania „barbarzyńców Moskali" tłum począł wracać do miasta. Obawiano się, że w stanie podniecenia, w jakim znajdowała się ludność Warszawy, w powrocie tym mogą nastąpić jakieś nieporządki i ekscesa. W tym celu, za staraniem komitetu pogrzebowego, starsi zgromadzeń rzemieślniczych powołali pod cechowe chorągwie wszystkich swoich, zwłaszcza młodzież; nad resztą zaś czuwała policja narodowa, tak że ten liczny, stutysięczny, rozdrażniony mocno tłum rozchodził się spokojnie i cicho. Na ulicy Wierzbowej tylko zerwano afisze teatralne na znak, że teraz nie czas na rozrywki. Jakoż zapowiedziane przedstawienie w obu teatrach odwołano, a nazajutrz, w niedzielę, sale teatralne świeciły przerażającemi pustkami, wśród których garść oficerów i urzędników rosyjskich spoglądała na siebie mocno zdziwiona i nieswoja. Poza tym zachowano się spokojnie i z godnością...

...Takim był ten pogrzeb, ta wielka rozmiarami i majestatem demonstracja polityczna, stanowiąca punkt zwrotny w dziejach tej epoki, poczynająca te „polskie czasy", o których tradycja długo potym krążyła wśród ludu warszawskiego.

„Historja dwuch lat 1861—1862" — Z. L. S.

Do Szanownej Delegacji miasta Warszawy

uniżone przedstawienie Cechu Bronzowniczego, Ślusarskiego, Kotlarskiego i innych.

Zszedszy się niektórzy, co do sprawy naszej zdawało się, a tymbardziej dla bezpieczeństwa i porządku, postanowili wysokiej Delegacji do swojej rozwagi wystawić.

Że naprzód my sobie tak tłumaczymy, że kiedy po wojnie sewastopolskiej Cesarz Napoleon powiedział do naszego Cesarza, że powinien Polakom dać wojsko narodowe, nasz powiedział do Napoleona, że ja dla Polaków więcej jeszcze zrobię, czego się sami nie spodziewają. Więc kiedy znowu Napoleon spytał, cóżeś dla Polaków uczynił, nasz posłał mu wszystkie gazety, gdzie opisano, jak z radością Cesarza przyjmują, i wszystkie iluminacje, mówiąc, że Polacy tak są kontenci, że niczego nie pragną. Więc to widząc, tudzież, że konsul francuski jest przekupiony i prawdy nie napisze, więc choćby kto miał zginąć, wszystkim jedna śmierć, nie żałując osoby swojej, iść na stracenie i pokazać światu, czego chcemy. Dlatego my chodzili z procesjami i śpiewami za konstytucję i znowu będziemy, jak będzie potrzeba.

A że były ofiary, to tak widać trza było Boskiej Opatrzności, a nawet my gotowi, jeśli więcej trzeba, losem wyciągnąć, kto ma iść na ofiarę, choćby prosto na zarznięcie, albo zginąć pod batami, jak to trzech woda wyrzuciła zawiniętych w słomę pod Zakroczymien, co ich z zamku do Wisły wrzucili. Tylko, że, jeżeli dla Ojczyzny nie będzie zmiłowania, to będzie źle.

Powtóre, że dlaczego nam nie dają podpisywać adresu za konstytucję, kiedy inni podpisali, a do resursy nie puszczają, a zwłaszcza z twardego rzemiosła, to już trzeba w świątecznym ubraniu, a jeden chodził po to do komisarza cyrkułowego, to też go ofuknął i jeszcze zagroził, mówiąc: to nie wasza rzecz! Więc powiadają niektórzy, że jak będzie konstytucja, to kto się za konstytucją nie podpisał, tego nie przypuszczą do żadnego wybierania, czy to na sejm, czy na inne starszeństwa. A co byłoby niesłuszne, gdyż my za konstytucję gotowi życie położyć, dlatego wszyscy chcemy podpisywać, kto umie pisać, a kto nie umie, to znakiem krzyża świętego; o co wysoką Delegację usilnie upraszamy.

Co jeszcze powiadają: czy wy wiecie, co jest konstytucja? To my deklarujemy, że wiemy. Jak nas ojcowie nauczyli, jak było za królów polskich, żeby niesprawiedliwie nie wojować, tylko swojego bronić, a który kraj chce się przyłączyć, to dobrze, a nie, to wolna droga. Jeszcze żeby było prawo sprawiedliwe, coby go wszyscy słuchali, żeby była pobożność, uczciwość i dla każdego człowieka ludzkość, tudzież wojsko polskie koniecznie.

Jeszcze my tak myśleli, jak będzie konstytucja, żeby z respektem dla naszego Cesarza trzymać się w sprzymierzeństwie z Napoleonem, nie oglądając się na Austryjaków i Prusaków.

Nie podpisujemy swych nazwisk dla niepewności, jak wysoka Delegacja naradza się, czy z sekretem, czy bez sekretu. A jak będzie potrzeba, to Delegacja łatwo do nas trafi, a my na rozkaz możemy się stawić. Przyjdzie jeden albo pięciu, a co powiedzą, to jakby powiedziało pięćset.

Zatym deklarujemy dla miłości Ojczyzny, widząc godne osoby, słuchać Delegacji we wszystkim, co rozkaże.

Majstrowie tudzież czeladnicy.

8 marca 1861. r.

Zjazd horodelski.

Z głównego ogniska wojsk, otaczających miasteczko, oddzielił się hufczyk niewielki i najwidoczniej zbliżał się ku nam... Lawina głów ludzkich płynęła nieustannie naprzód. Ruch jej jednak został wstrzymany, gdy się zbliżył do niej hufczyk, złożony z grona wyższych oficerów, na którego czele jechał poważny, siwiejący już gienerał. Był to wódz całej tej małej armji, broniącej wstępu do Horodła, gienerał Chruszczew. Obie strony stanęły.

Zetknięcie się czoła armji z tłumami miało miejsce o parę kilometrów od miasteczka, wśród obszernej równiny, która wówczas była ścierniskiem po zżętych już zbożach.

Fala niezmiernych tłumów zakołysała się i po paru minutach wstrzymała bieg swój. Cisza tak wielka rozpostarła się ponad tym morzem głów ludzkich, iż zdawało się, że echo skrzydeł ptaka, szybującego w przestworzu, byłoby słyszane.

Gienerał Chruszczew wstrzymał konia, zażądał rozmówienia się z przywódcami tłumów. Wysunął się na czoło pochodu ks. Laurysiewicz, unita, Bazyljanin, mąż wielkiej wymowy; on wistocie przewodził tym masom.

— Dokąd dążycie? — rzucono pytanie.

— Do Horodła... chcemy tam uczcić pamięć wielkiej historycznej rocznicy zbratania ludów — brzmiała odpowiedź.

— Mam stanowczy rozkaz niewpuszczania was do miasta i spełnię go z całą ścisłością — rzekł gienerał z lekkim giestem prawej dłoni, a po chwili dodał: — Macie pola...

Na tym rokowania skończono.

W jednej chwili pochód cały zwrócił się na lewo z gościńca i olbrzymia fala ludu zalała szerokie przestworza ściernisk. Jakgdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zwinięte chorągwie z herbami województw i ziem rozwinięto; obok krzyży i chorągwi kościelnych, które dotąd jedynie były widoczne, powiewać zaczęły godła, budzące pamięć przeszłości, pieśń religijną zamieniono na hymny religijno-patryjotyczne; obchód przybrał cechy uroczystości narodowej.

Był to widok jedyny w swoim rodzaju: tysiące ludu o różnobarwnych strojach, zalewające obszary pól, nad niemi powiewają sztandary i godła narodowe, a w ich oku i sercu tyle zapału, tyle wiary w lepsze jutro, iż się to wypowie-

dzieć nie da. Potrzeba było żyć wówczas, patrzeć na to własnemi oczyma, odczuwać tę potęgę ducha, która podnosiła społeczeństwo na nieznane przedtym wyżyny, aby zrozumieć, czym były owe godziny „zjazdu horodelskiego".

Udano się na najwyższy szczyt tych pól i otoczono wzgórze chorągwiami narodowemi; środek wyżyny zajął ołtarz polowy, przy którym kapłan starzec, Kapucyn, odprawił mszę św. Bardzo znaczny zastęp kapłanów świeckich obu obrządków i zakonników przeróżnych zgromadzeń otaczało ołtarz, a hymn religijno-narodowy „Boże, coś Polskę", który wówczas wszędzie się spotykał, ulatywał z wielu tysięcy piersi... Wszystkie te masy, których liczbę trudno było określić, bezbronnie tam się stawiły, acz w nich była świadomość, że w każdej chwili mogą się stać ofiarą szeregów zbrojnych. Długie linje wojsk i działa, a przy nich kanonjerzy z dymiącemi lontami dawały się widzieć zdala. Widok dział, groźba kuli, bagnetów nie zastraszały owych tłumów, mniemających, że gotowość do ofiary bezbronnej odkupieniem stanie się społeczeństwa. Tę myśl niejednokrotnie wypowiadano w owej epoce, tę myśl i w czyn wcielono... Tym uczuciem przejęte były i owe tysiące, klęczące, rozmodlone dokoła ołtarza, na ścierniskach horodelskich łanów.

Gdy podczas Podniesienia wyniosła postać kapłana hostję uniosła ku górze i tak ją dłuższą chwilę trzymała, pieśń ust i piersi w przestworzach zamarła; śpiewały jeno wśród ogólnej ciszy dusze owych tysięcy, a łkały serca...

Po mszy św. były przemowy: ks. Laurysiewicza i dwie ludzi świeckich: mecenasa z Lublina i jednego z młodzieży. Chwila wielkiej dziejowej przeszłości w początkach XV w. i chwila ówczesna, na tychże polach Horodła święcona, dostarczały wspaniałych tematów dla mówców. Wrażenia przemówień były wielkie, gdy zaś jeden z mówców wezwał do podpisania manifestu, w którym oświadczono, że protestują przeciw rozdarciu społeczeństwa, rzucono się tłumnie do podpisów...

Miano chwilowe złudzenie, że to, co zdziałały dziesiątki lat i moc niezmierna klęsk, już nie istnieje. Szły zastępy po kilku, lub bodaj samowtór, czy samotrzeć, do podpisu z różnych województw i ziem.

— My z Nowogródzkiego — wołano — z Nowogródzkiego!... i przeciskały się przez zwartą masę Podlasiaków i San-

domierzan promienne młodością, w kontusiki przybrane dziarskie postacie sąsiadów kolebki Mickiewicza.

— My ze Żmudzi — wołano z innej strony — i sunęli do podpisu Żmudzini.

— A ja z pod Gdańska, tu jestem — w tłumie wołał Tokarski, ziemianin z Pomorza, ówczesny poseł do sejmu pruskiego, i kładł swój podpis.

I tak szły z owej różnobarwnej masy, zalegającej ścierniska pól horodelskich, jednostki i grupy z ziem dalekich, od dawna rozjednanych, w których już zapominano, z jakich to części ta prastara ich macierz się składała.

Podpisywano na improwizowanych stołach: deski i drągi z bryczek, z wozów licznego taboru owych tłumów dostarczały materjału na dorywcze stoły... Podpisywano śpiesznie, łącząc nieraz łzę rozrzewnienia z atramentem, zalewając łzą to, co pióro skreśliło.

Jednocześnie z podpisami pracowano nad utrwaleniem tej chwili jakimś pomniczkiem. Postanowiono usypać kopczyk, a na nim wznieść krzyż... Myśl, przez kogoś podjęta, znalazła wnet wykonawców. Rzucono się z zapałem do sypania kopca; dłonią, czapkami noszono ziemię — i wkrótce w tym miejscu, gdzie stał ołtarz, wzniósł się kopiec, usypany rękoma tysięcy... Na kopcu ustawiono krzyż dębowy, z kory nie odarty.

(„Z przeszłości. 1861-62" — M. Dubiecki), r. 1910.

Protest

spisany na pograniczu Miasta Horodła nadbużnego dnia 10 października 1861 r.

Działo się na pograniczu Miasta Horodła nadbużnego, położonego w Województwie Lubelskim Ziemi Chełmskiej w dniu 10 października 1861 r.

Zgromadziwszy się w dniu dzisiejszym przez swoich delegatów ziemię, składającą Polskę w czasie zjazdu naszych przodków do M. Horodła w r. 1413 dokonanego, który Polskę, Litwę i Ruś węzłem niewzrószonym jedności połączył, a mianowicie: Poznańskie etc. — i wszelkich Korporacji Duchownych, Deputacja Towarzystw Literackich, Uniwersytetów i zakładów wyższych naukowych, Akademii Medyko-Chirurgicznej w Warszawie, Redakcyi Polskich i Ruskich Dzienników, niemniej Deputacyi wszystkich Cechów Rzemieślniczych i wszelkich Ciał społecznych, mających swoją organizację, wraz z kilkatysięcznym zastępem ludu wszelkich wyznań, gdy większa jego część otoczona siłą zbrojną, przedostać się tutaj niemoże, pod Sztandarem Zbawiciela i właściwych godeł Religijnych w swym uroczystym i procesyonalnym pochodzie udawali się do tego miasta, ażeby zarówno 448 letnią rocznicę ich połączenia podziękować Wszechmocnemu, że ich mimo szkodliwego wpływu trzech nieprzyjacielskich Rządów i jednakim usposobieniu zachował i u stopni Jego ołtarzy doprosić się naszego wspólnego Zmartwychwstania. Niemogąc jednakże odparci przez Wojska Rossyjskie przybyć do Horodła na pograniczu tego słynnego zjednoczenia się trzech ludów miasta odnawiając Akt Horodlański w całej swojej rozciągłości protestujemy przeciwko pogwałceniu naszych swobód i niewolniczej formie Rządu; protestujemy przeciwko samowolnym rozbiorom Polski i żądamy powrócenia jej niepodległości.

Akt niniejszy gdy niemoże w obecnem położeniu rzeczy być przesłany gdzie należy — jako zdziałany w kraju rządzonym despotycznie i pozbawionym narodowej reprezentacyi ma być zamieszczony we wszystkich pismach zagranicznych dla obznajmienia z nim zaborcze Rządy i wiadomości Mocarstw, których jęki ujarzmionego ludu obchodzą.[1])

Dan jak wyżej.

(Następują podpisy).

---

[1]) Zachowana pisownia oryginału.

15 październik 1861 r. w Warszawie.

Nadszedł nakoniec dzień 15 października, dzień na zawsze pamiętny w rocznikach naszych nieszczęść. Rano ukazała się nowa proklamacja namiestnika Lamberta do „mieszkańców Królestwa Polskiego", w której tłumaczy się, dlaczego ogłosił stan wojenny... Proklamacji tej nikt nawet czytać nie chciał. Miasto przybrało charakter uroczysty i świąteczny, choć był to dzień powszedni; sklepy, wbrew rozporządzeniu policji i zapowiedzianej karze stu rubli, były pozamykane, a gdzie właściciel wahał się, umiano go do tego zmusić. Tłumy ludności, kobiet i mężczyzn czarno ubranych dążyły do kościołów, zwłaszcza do archikatedry św. Jana i Bernardynów, gdzie mieli celebrować biskupi, oraz do św. Krzyża, kościoła, który w tej porze był modnym...

W katedrze, po nabożeństwie, właśnie zaczynano śpiewać „Boże, coś Polskę", gdy rozeszła się wieść, że wojsko obległo kościół dokoła. Gdy zobaczono błyszczące przed drzwiami bagnety, zrazu zapanował popłoch, kto mógł, wymykał się,... lud pozostały, ulegając namowom młodzieży, postanowił nie wychodzić. Miano przekonanie, że wojsko nie ośmieli się wejść do kościoła, że opór ten zmusi władze do ustępstwa i do oswobodzenia wszystkich. Nawet kobiety i dzieci wychodzić nie chciały.

Wieść o otoczeniu kościołów przez wojsko, oraz o postanowieniu zamkniętego w nich ludu rozbiegła się błyskawicą po mieście i wywarła niesłychanie potężne wrażenie. Rozdrażniony namiestnik nakazał rozpuścić po mieście około trzystu kozaków, którzy mieli polecenie rozpędzania wszelkich zbiegowisk. Latali więc oni po ulicach, jak szaleni, bili batami każdego, kogo napotkali, nie pytając, winien czy niewinien, nie zważając na wiek, płeć ani stan. Oczywiście, kto mógł, chronił się do domów, miasto zaległa posępna, głucha i przygnębiająca cisza.

Tymczasem, gdy się to na ulicach dzieje, gdy tam hula, niby horda barbarzyńców średniowiecznych, napół dzikie kozactwo, lud z kościołów nie myśli wcale wychodzić. Czas upływał i dłużył się obu stronom niesłychanie, zwłaszcza, że tak lud jak i rząd nigdy nie przypuszczali, żeby sprawa taki wzięła obrót. Lud zrazu sądził, że wojsko przyprowadzono na postrach tylko i że po paru godzinach odejdzie

ono sobie; rząd mniemał, że lud nie wytrzyma i pocznie wychodzić. Inaczej się jednak stało: lud wciąż pozostawał w kościołach.

U św. Jana kobiety poumieszczały się po ławkach, konfesjonałach, rozesłano dla nich kobierce z prezbiterjum i siedziały smutne, modląc się i drzemiąc. Najgorszy był los dzieci, które z głodu i pragnienia już koło godziny piątej po południu poczęły płakać i omdlewać.

Powoli noc zapadła chłodna, księżycowa. Wojsko, oblegające kościoły, ustawiło broń w kozły i rozłożyło ogniska na ulicach, co przy ciszy powszechnej, zupełnie pustych ulicach i nocy robiło wstrząsające wrażenie. W kościele św. Jana przed kratą zamkniętą u głównego wejścia zjawił się oficer i oznajmił zebranym, że kobiety i dzieci mogą swobodnie wracać do domu; odpowiedziano mu, że jeżeli wszystkich wolno puszczą, to wyjdą, inaczej z miejsca się nie *ruszą*.

W mieście umysły wrzały i głowy się paliły—wszystkim na sercu leżało oswobodzenie oblężonych. Noc późna, natężenie nerwów, wyobraźnia, uderzona niezwykłością wypadków, ekstaza patryjotyczna przyczyniały się do tego, że projekty różne przybierały fantastyczne rozmiary. Mówiono, że należy co żywo urządzić procesję nocną z chorągwiami, krzyżami, obrazami, z Najświętszym Sakramentem, z mnóstwem światła, podążyć wprost do kościołów i wyprowadzić stamtąd osaczoną ludność. Garść osób świeckich, różnej młodzieży czerwonej, która znajdowała się na tym posiedzeniu, odbywającym się w konsystorzu przy ulicy Miodowej, przyrzekała swój współudział. Wiedziano, że w mieście jest *straszne rozdrażnienie*, że nie trzeba będzie zbyt wielkich starań i zabiegów, by zebrać gromadę ludu, straceńców i entuzjastów, którzy pójdą wszędzie, na bagnety i działa nawet.

Wieści o tym, jak zwykle przesadzone, niejasne i mętne, doszły do uszów wojska, biwakującego na ulicach. Mówiono, że już gdzieś tam zgromadziły się ogromne tłumy ludu i tylko patrzeć, jak rzucą się na wojsko; że duchowieństwo, ubrane w stroje uroczyste, w ornaty i kapy, wyruszy na czele, niosąc monstrancje, krzyże, relikwje świętych.

W zamku tymczasem zwołano naradę wojenną i uchwalono „posłać do kościołów, otoczonych przez wojsko, oficerów na czele nie uzbrojonych oddziałów żołnierzy, którzy

zażądają od zebranych, ażeby wyszli; gdyby zaś lud tego nie posłuchał, wprowadzić oddziały zbrojne i wszystkich aresztować"...

W kościele Bernardynów żołnierze, rozdrażnieni oporem, po większej części pijani, gdy wezwanie do rozejścia się nie skutkowało, z wściekłością uderzyli na lud, bili kolbami, wielu potłukli mocno i poranili, i wśród nieustającego oporu, jęku i płaczu kobiet, krzyków i wrzawy wyprowadzili wszystkich mężczyzn na ulicę. Z zakrystji pokradli przytym klejnoty tam złożone, rozbiegli się po całym klasztorze, odbijali cele zakonników i dopuszczali się wszelkich gwałtów.

W miarę wyprowadzania aresztowanych na ulicę, łączono ich w partje po stu ludzi, wiedziono do zamku, a stąd do cytadeli. Kobietom dozwolono iść do domów.

Załatwiwszy się w ten sposób z kościołem Bernardynów, ruszono do św. Jana. Było około godziny trzeciej rano, noc była chłodna, księżycowa. Wysłano naprzód parlamentarza do zgromadzonych. Oficer, stanąwszy przed kratą, wezwał zebranych do wyjścia; gdy to nie skutkowało, wydelegowano sześciu ludzi z liczby aresztowanych u Bernardynów, żeby opowiedzieli, co się tam stało i namówili opornych do uległości. Ale i ta misja do niczego nie doprowadziła, owszem, zdawała się rozdrażniać obecnych. Wielu chciało się uzbrajać i stawiać czynny opór, ale większość osądziła, że w żadnym razie w kościele walki wszczynać nie należy, że naród prowadzi „wojnę ewangieliczną", niech więc Moskale robią, co chcą... Żołnierze, z karabinami w rękach, wprowadzeni do kruchty, poczęli toporami odbijać łańcuch od kraty... Krata pękła i błyszczące bagnety ukazały się na progu świątyni.

Widok, jaki uderzył zebranych gienerałów, miał w sobie coś uroczyście wspaniałego i groźnego zarazem. Cała wielka gotycka świątynia gorzała od światła, które ginęło gdzieś pod sklepieniem ostrołukowym lub łączyło się z blaskiem miesiąca, przedzierającym się przez okna, napół przesłonięte kirem. Na środku wznosił się olbrzymi katafalk, z baldachimem srebrzystym, a w jego ozdobach odbijało się i przelewało światło tysiąca świec. Lud zebrany klęczał twarzą zwrócony do ołtarza i śpiewał nerwowo, głosem rwącym się co chwila, stary psalm Dawidowy: „Kto się w opiekę poda Panu swemu"... Scena była pełna grozy i powagi; kościół dyszał blaskiem, świętością, modlitwą.

Któryś z gienerałów, stanąwszy na schodach, prowadzących z pod chóru do naw kościelnych, zawołał po polsku głosem doniosłym: „Panowie, wychodźcie! gdyż w przeciwnym razie dany będzie rozkaz aresztowania was!" Na słowa te nikt się nie odezwał. W kościele zaległa cisza grobowa, śpiew nawet się urwał. Zdawało się, że wszyscy, utaiwszy dech w piersiach, oczekują strasznej katastrofy. Na głośną komendę oficera dowodzącego żołnierze spuścili bagnety, jak do ataku, i ruszyli ku nawie lewej od wejścia. W kościele rozległ się jęk, płacz i krzyk. Większość przekonana była, że zostanie wykłóta. Tymczasem żołnierze, szturgając opierających się kolbami, pędzili ich przed sobą i, pojedyńczo lub grupami aresztując, wyprowadzali na ulicę, a stąd do zamku. Gdy już oczyścili tym sposobem nawę lewą i cały tłum skupił się w środkowej i prawej, nagle przed kratą od prezbiterjum, na schodkach, ukazał się ubrany w komżę i stułę, z krzyżem w ręku ksiądz Pyzalski i, podnosząc krzyż do góry, począł mówić głosem nerwowym do żołnierzy i do ludu, wzywając go do oporu. Wszyscy zatrzymali się, jak skamienieli, zdziwieni nadzwyczajnie tym niespodziewanym wystąpieniem, wszyscy wlepili w mówcę oczy i w kościele zaległo pełne grozy milczenie. Trwało to krótką chwilę, gdyż jeden z żołnierzy schwycił księdza za kark i pchnął go do grupy już aresztowanych...

Kobiety i dzieci spędzono do prezbiterjum, mężczyzn zaś wyprowadzono. Niektórzy dali się brać bez najmniejszego oporu, w milczeniu, jakby nieprzytomni lub senni, inni bronili się zawzięcie i kolbami zmuszeni dopiero ulegali. Tu i owdzie przyszło nawet do starć poważnych; żołnierze, rozdrażnieni oporem, bili już uległych i nieuległych. Coraz więcej wojska przybywało do kościoła, przetrząsali wszystko, zaglądali za ołtarze, za obrazy, za katafalk, pod dywany, do stalli, konfesjonałów, zakrystji; wdarli się na chór, na ambonę, tłukąc i niszcząc wiele drobnych sprzętów.

W chwili, gdy te straszliwe sceny odbywały się w kościele, ktoś dostał się na dzwonnicę i uderzył w dzwony, jakby na trwogę. Wśród ciszy, panującej w mieście, odgłos dzwonu rozlegał się żałośnie, rozpływał się na dalekie przestrzenie...

Cyfra aresztowanych tej pamiętnej nocy wynosiła 1678 osób.

Kapituła warszawska nakazała zamknąć wszystkie kościoły, co też w całej Warszawie dnia 17 października zostało dokonane.

(Z. L. S. — «Historja dwuch lat».)

Odezwa Administratora Archidjecezji Warsz. ks. Białobrzeskiego.

Do Pełniącego Obowiązki Namiestnika

z dnia 16 października 1861 r.

Sromota, wyrządzona w dniu wczorajszym kościołom: Archikatedralnemu św. Jana, O.O. Bernardynów i X.X. Misjonarzy, przez oddziały wojsk cesarsko-rosyjskich, następująca stąd zgroza i wrzenie w umysłach mieszkańców wszystkich wyznań tutejszego miasta i całego kraju nie pozwalają mnie milczeć. Postawiony na czele duchowieństwa Archidjecezji, mam obowiązek przełożyć Waszej Ekscelencji, że gwałt, wyrządzony wymienionym kościołom w czasie śpiewania po mszy świętej pieśni religijnej aprobowanej, przez otoczenie ich wojskiem, zatrzymanie w nich przez dzień i noc bez pokarmu ludności męskiej blizko dwutysięcznej, następnie wdarcie się do tychże wśród nocy przez złamanie kraty, wyrąbanie bramy, żołnierzy z bronią, z nakrytemi głowami, bicie kolbami i potrącanie pięściami osób wzbraniających się wyjść z obawy niezasłużonego aresztu, są czynami, których żadnemu regularnemu żołnierzowi, tymbardziej w rządzie, zaręczającym szczególną opiekę religji katolickiej, i to podczas najzupełniejszego pokoju, dopuszczać się nie godzi, są czynami, które raczej do wieku Attylów, niżeli do naszego, należą. Te czyny zmuszają mnie, ażebym, kiedy lud bezbronny w kościele i na modlitwie nawet nie jest bezpiecznym przed bagnetem żołnierzy, użył w myśl prawa kościelnego środków, któreby nie wystawiały tegoż roznamiętnionego już ludu na straszną pokusę rozpaczy, a przecież obudziły w nim zgrozę dla dokonanych czynów barbarzyńskich. Środkami temi jest zamknięcie wszystkich kościołów w Warszawie i wzbronienie uroczystych nabożeństw. Brak pociech i pomocy religji jakie wywoła usposobienie i następstwa w zburzonych do głębi umysłach, nie chcę się domyślać. To wiem, że tylokrotnie i tak boleśnie zrywane węzły zaufania między rządzonymi a rządem niczym się skuć ani nawiązać nie dadzą. Tymczasem oczekiwać i wyglądać będę przyszłych zarządzeń, dających niewątpliwą i niewzruszoną pewność bezpieczeństwa ludu wiernego w kościołach przed zbrojną ręką siły wojskowej.

Ks. Białobrzeski

Administrator Jeneralny Archidjecezji Warszawskiej.

Założenie Komitetu Centralnego w r. 1862.

Religijno-patryjotyczne manifestacje 1861 r. obudziły ruch ogólny na całym obszarze Rzeczypospolitej Polskiej od Odry po Dniepr i Dźwinę. Nawet w roku 1831 nie było takiego jednomyślnego ruchu, tym groźniejszego dla rządów zaborczych, że należały do niego wszystkie warstwy ludności, chociaż głównym siedliskiem jego były miasta i główną działającą siłą polskie mieszczaństwo wszystkich wyznań.

Rząd rosyjski, przeciw któremu ten ruch był głównie skierowany, znajdował się wówczas, po sewastopolskiej porażce, w stanie prawie zupełnej niemocy: wojska nie było, zapowiedziane reformy wywołały w całej Rosji niebezpieczne i ogólne wrzenie umysłów, nie było więc mowy o poskromieniu przemocą polskiego ruchu, tymbardziej, że przejawiał się zupełnie legalnie i działał w kierunku proponowanych przez samego Aleksandra II reform i ulepszeń. Rząd był skłonny do nadania Polakom pewnych ulg i przywilejów, ale pod żadnym warunkiem nie mógł ich rozprzestrzenić na wszystkie ziemie całej Rzeczypospolitej, które się przyznawały *do wspólności* dążeń i tradycji, które żądały połączenia, chociażby pod berłem rosyjskim; o ten pierwszy i główny szkopuł rozbijały się zawsze wszystkie próby porozumienia się Polaków z Rosją, tak w 1863, jak w 1831 i 1815 roku.

. . . . To też w r. 1861, jednocześnie z gwałtownym karceniem manifestantów za Bugiem i Niemnem, o ile na to sił starczyło w braku wojska, puszczono cugle w Warszawie, obiecując najszerszą autonomję dla Królestwa Kongresowego, bodaj czy nie powrót do konstytucji 1815 r., rozumie się, bez wojska polskiego.

Tak powstały po d. 27 lutego 1861 r. delegacje warszawskie, mające przedstawić „Najjaśniejszemu" swoje żądania, a później wyłoniła się misja Wielopolskiego. Rząd się spodziewał, że takim sposobem oderwie od ogólnego ruchu żywioły umiarkowane w Królestwie Polskim i zabije taką polityką wszystkie dążenia do ogólnej niepodległości, do odbudowania Rzeczypospolitej, składającej się z „Królestwa Polskiego, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Ruskiego".

....Udało mu się to po części. Powolność żywiołów umiarkowanych, które utworzyły tak zwaną organizację białą i przyciągnęły do siebie niektórych z głównych inicjato-

rów ruchu, np. Edwarda Jurgensa i Karola Majewskiego, natchnęła rząd moskiewski otuchą, że niema się czego obawiać zbrojnego ruchu, że można poprzestać na pewnej dozie miejscowych reform i przy pomocy samych Polaków poskromić wszystkie dążenia do zupełnej niepodległości.

. . . . Piszący te wspomnienia należał od samego początku do tej garstki, można powiedzieć, ultrakonserwatywnej, dla której wszystko, co się stało od rozbioru, a nawet od Sasów, było nielegalne, dla której cały obszar Rzeczypospolitej był wyłączną własnością ludów polskich; którzy zaznaczali tę konserwatywność na każdym kroku, ubiorem, wieczną protestacją, wiecznym odwoływaniem się do republikańskiej przeszłości. Dla nas nawet konstytucja 3-go maja, hasło ówczesnych czartoryszczyków, była reakcyjną, bo odstąpiła od konstytucji XVI-go wieku i od zasad Unji Lubelskiej. Nie byłem w Warszawie podczas manifestacji ludowych, służąc w Białymstoku przy budującej się kolei Petersburskiej, i skorom przyjechał do stolicy na zjazd młodzieży, podczas tworzenia delegacji, odezwałem się z kilkoma innymi o potrzebie przygotowania zbrojnego powstania. Zostaliśmy oczywiście przekrzyczani, jako szaleńcy.

Wróciłem do Białegostoku, wiedząc z góry, że cała ta niby legalna, a podług moich zasad nielegalna robota młodzieży i inteligiencji warszawskiej spełznie na niczym, i zacząłem, jak mnóstwo innych w kraju, organizację kółka na własną rękę, biorąc najżywszy udział we wszystkich manifestacjach kościelnych i innych, nawoływując do zbierania pieniędzy i broni dla niechybnego i wkrótce mającego nastąpić powstania.

Z manifestacji w tym zakątku największą była zorganizowana przez nas procesja z Białegostoku i Tykocina dla bratania się z Królewiakami, a która była powodem nadesłania wojska, bo go przedtym wcale w mieście nie było. . . . . Dla zilustrowania ducha, który nas ożywiał, dość powiedzieć, że na telegram o rzezi 8-go kwietnia zorganizował Leonard Pluciński, urzędnik ruchu w Białymstoku, pociąg, mający nas dowieźć na Pragę; wyprawa została wstrzymana jedynie drugim „słuchowym" telegramem, oznajmiającym, że już po wszystkim.

. . . . Nie dziw, że po stłumieniu manifestacji w październiku 1861 roku ci, którzy trzymali się naszej, narodowej, konserwatywnej zasady i chcieli organizować porządny spi-

sek, znaleźli wszędzie na prowincji gotowe żywioły. W Warszawie robota szła trudniej, bo większa część młodzieży trzymała się z Jurgensem i Majewskim niby legalnej organizacji, komitetu białych, którego firmą był hr. Andrzej Zamoyski.

Stronnikami ruchu czerwonego, powstańczego, była zatym głównie młodzież z zabranego kraju; pierwszym mianowicie założycielem komitetu powstańczego, mającego się stać później Centralnym, był poeta Apollo Korzeniowski z Ukrainy, szwagier Stefana Bobrowskiego; do niego przyłączyli się: Ignacy Matuszewicz, także Ukrainiec, i Kaliszanin Bolesław Denel, najczynniejszy ze wszystkich.

...Ze wszystkich warszawskich kółek, mniej albo więcej radykalnych, tylko czerwony komitet odznaczał się konsekwencją w robocie, jaką taką energją, a głównie działaniem na całym obszarze zaboru rosyjskiego; inne więc grupy, zawiedzione w swoich nadziejach co do reform legalnych i doprowadzone gburowatością i absolutyzmem Wielopolskiego do wściekłości, uczuły potrzebę połączenia się z czerwonymi, bo powstanie stawało się coraz bardziej nieuniknionym. Nie brak było i takich, którzy, nie mogąc powstrzymać zbrojnego ruchu, chcieli go przynajmniej uregulować, by nie zszedł na drogę ludowego powstania, proponowaną przez Mierosławskiego; do takich należał głównie Agaton Giller. Koncentrację wszystkich kółek przyśpieszyło dostanie się komitetu czerwonego pod wyraźny wpływ Ignacego Chmieleńskiego, terorysty z usposobienia. On to na własną rękę urządzał zamach na Lüdersa, a później na Konstantego, on parł do natychmiastowego ruchu .... Chmieleński sam był pochodnią albo lontem, ale w połączeniu z Jarosławem Dąbrowskim stawał się potęgą.

W samej organizacji czerwonej, wcale jeszcze nie karnej, wyłączny teroryzm Chmieleńskiego wywołał silną opozycję, z której skorzystał Dąbrowski dla skoncentrowania wszystkich sił rewolucyjnych, karmazynowych, czerwonych i różowych, nie wyłączając nawet wcale bladej organizacji litewskiej, której Jarosław był niby reprezentantem w Warszawie, będąc zarazem organem wojskowego spisku Zygmunta Sierakowskiego. O ile pamiętam i mogłem się domyślać, głównemi kółkami w maju 1862 r. były, oprócz komitetu Chmieleńskiego: 1) Koło Akademickie (studentów Szkoły Głównej) pod kierownictwem Daniłowskiego; 2) Uczniowie Szkoły

sztuk pięknych, prowadzeni przez Szachowskiego, mającego wpływ decydujący na warszawskich rzemieślników, ale nie chcącego dotąd się wdawać w szerszą akcję; goretsi, razem z Frankowskimi, Janem, Leonem i Stanisławem, przeszli do Chmieleńskiego; 3) Mierosławczycy, u których rej wodził między innemi Władysław Jeska z Biechońskimi, żądający głównie dyktatorstwa gienerała Ludwika, ale mało zajmujący się prowincją, a jeszcze mniej zabranym krajem; 4) tak nazwani Sybiracy, pod przewodnictwem Agatona Gillera i Ruprechta, daleko umiarkowańsi, składający się z ludzi starszych, przeciwni wszelkim wybrykom, a w gruncie i zbrojnemu powstaniu, ale mający wpływ ogromny na warszawską inteligiencję, bo w ich szeregach było kilka znakomitości naukowych i cały zastęp niewieścich sił literackich. Oni stanowili przejście do Jurgenszczyków (tak zwanych od bardzo uczciwego, bardzo patryjotycznego, bardzo umiarkowanego i niepraktycznego Edwarda Jurgensa), którzy nie należeli jeszcze do organizacji białej, ale stanowczo byli przeciwni powstańczemu spiskowi. Nie wiem, dlaczego ten właśnie odłam patryjotów był Sodomą i Gomorą dla krańcowych, tak, że przezwisko Jurgenszczyka było w ustach Chmielińszczyka skrajną obelgą.

Perspektywa dziejowa pozwala mi się teraz domyślać, że nasi zapaleńcy, nie mogąc zarzucać tym umiarkowanym ani wstecznictwa, ani zdrady, a nie umiejąc zwalczać ich oportunistycznych dowodów, czuli się wobec nich poniekąd upokorzonemi, co w ich gorących, ale nie uregulowanych mózgach budziło wstręt jak największy. Te właśnie braki djalektyczne pozwoliły Jurgensowi odciągać od stronnictwa ruchu wiele młodzieży bardziej wykształconej, a przynajmniej mającej pretensję do wykształconości, co, oczywiście, musiało oburzać naszych zapaleńców.

Poza temi żywiołami mniej więcej rewolucyjnemi była liczna, bogata, źle uorganizowana i bardzo mało czynna organizacja biała, którą tylko nietakt i szalona zarozumiałość Wielopolskiego popchnęły później do wzięcia udziału w powstaniu — niestety!

. . . . Dla zorganizowania nieuniknionego już powstania trzeba było z tych najrozmaitszych żywiołów stworzyć coś prostego, karnego i energicznego, nie dającego się łatwo zgnieść i mogącego się łatwo dopełniać w razie ubytków. Taka koncentracja odbyła się w maju i czerwcu w Warsza-

wie, lecz nie wiem dokładnie, jak, gdyż byłem podówczas w Białymstoku. Musiałem stamtąd uciekać w roku 1862, ostrzeżony przez panią kapitanową od żandarmów, i dowieziono mię towarowym pociągiem aż pod samą Pragę.

W Warszawie znalazłem już gotową koncentrację, bezwątpienia dzięki niezmordowanym staraniom Jarosława Dąbrowskiego. Poświęcił on Chmielińskiego — i odbyły się wybory nowego Komitetu Centralnego przez delegatów najrozmaitszych kół i kółek rewolucyjnych. Czy Chmielińskiego wyrzucili, czy też, jak mi opowiadano, sam nie chciał należeć do takiej „reakcji", tego nie wiem: dość, że go już w Komitecie nie zastałem. Spadłem im, jak z nieba, dla dopełnienia po długich sporach nowego składu Komitetu z siedmiu członków. Mojemi towarzyszami byli wówczas: Władysław Daniłowski, uczeń medycyny, Jarosław Dąbrowski, kapitan generalnego sztabu rosyjskiego, Agaton Giller, Sybirak, literat, wydawca pism ludowych w Warszawie, Władysław Koskowski, urzędnik, Witold Marczewski, naczelnik ruchu przy kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, Jan Wernicki, urzędnik pocztowy.

. . . . Pierwszą sprawą, którą się Komitet zajął, była organizacja spiskowa. Niceśmy nowego nie wynaleźli, a wróciliśmy do dawnego szeregowania karbonarskiego, przyjętego po r. 1830 we wszystkich spiskach rewolucyjnych zachodniej Europy. Była to organizacja dziesiątkowa: dziesiątki, setki, z odpowiedniemi dziesiętnikami i setnikami, potym okręgi, na prowincji powiaty i województwa (najczerwieńsi, np. Lisikiewicz, chcieli koniecznie tę ostatnią nazwę odesłać do piekła), w Warszawie wydziały. Tajemniczość, przysięga, uzbrojenie się, musztrowanie, jak zwykle w takich wypadkach.

Przy wybuchu powstania okazał się fatalny brak, na który przez zbytnią łatwowierność nie liczyliśmy. Otóż dla zachowania tajemnicy nie można było sprawdzić szeregowych, a musiano poprzestać na dowódcach, tak, że w niezliczonych wypadkach dziesiątki istniały tylko w naszej wyobraźni, a gdy większa część tych sumiennych dziesiętników także nie stanęła, łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądał nasz bilans w styczniu 1863 r.!

. . . . Na tę robotę straciliśmy dość czasu i została ona porządnie przeprowadzona jedynie w Warszawie. Wypadki szły, kraj burzył się, a nie mogliśmy się jeszcze zgodzić na dwie najważniejsze kwestje: na organizację wojenną i na

BIBL. WOJSK. 58 P. P. Wlkp.

stanowisko nasze wobec kwestji włościańskiej. Do rozstrzygnięcia pierwszej kwestji parli głównie Koskowski z Daniłowskim, w drugiej ja byłem głównym rzecznikiem. Ani Giller, ani Dąbrowski nie życzyli sobie dyktatury, a cały Komitet bał się wogóle sprawy włościańskiej, jak ognia, pamiętając o tym, co się stało za Kościuszki. Jedynie ja, „wolny" obywatel „wolnej" Rzeczypospolitej [1]) (chociaż przekształciła się wówczas w prawie absolutystyczne cesarstwo), nie mogłem zrozumieć, dlaczego się ociągają z takim prostym zadaniem, tym bardziej, że Oleś sam bez nas groził załatwieniem całego interesu; wszak we Francji Robespierre jednym zamachem zniósł całą własność szlachecką, a że nie umiał jej ochronić od szponów mieszczańskich — ha! to nas nauczy rozumniejszego działania.

(Bronisław Szwarce. »W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego«.)

[1]) Szwarce był obywatelem francuskim. (Przyp. Red.)

Program Komitetu Centralnego.

Panowie! Charakter dzisiejszego narodowego ruchu nie jest przez wszystkich Rosjan należycie zrozumiany. Wszystkie wiadomości o nim czerpane bywają z urzędowych odezw lub z niemieckich dzienników, często przedajnych a zazwyczaj nieprzychylnych naszej sprawie—a nareszcie z niektórych pism francuskich, mało z nią obeznanych. Z tego to powodu wielu Rosjan trzyma się zakorzenionych pojęć o odrodzeniu się staro-szlacheckiej Polski, dążącej całemi siłami do odzyskania historycznych granic.

Tak nie jest.

Związek Polaków z Rosjanami w sprawie wspólnego oswobodzenia się przedstawia tyle oczywistych korzyści dla stron *obu, że postanowiliśmy użyć waszego* pośrednictwa, panowie, dla wyjaśnienia waszym braciom podstaw narodowego ruchu polskiego.

Myśl zasadnicza, z którą Polska zmartwychwstać dziś pragnie, zależy na zupełnym uznaniu prawa włościan do posiadania ziemi przez nich uprawianej, jako też na przyznaniu każdemu narodowi najzupełniejszego prawa do rozrządzania swoim losem.

Celem tego listu jest dać wam możność twierdzenia stanowczo, że nasze pojęcia o tych kardynalnych punktach są wam wiadome.

Polacy wszelkich stronnictw politycznych zgodni są co do sposobów rozwiązania kwestji włościańskiej; przyznają wszyscy, że włościanom należy oddać na warunkach wykupu ziemię, w ich posiadaniu będącą. Powszechna zgoda w tej mierze dała nam, stojącym na czele ruchu, możność wyrażenia w naszym politycznym programacie, że organizacja narodowa w pierwszej chwili powstania odda obywatelom wiejskim ziemię przez nich obecnie uprawianą, rząd zaś narodowy będzie indemnizował dzisiejszych właścicieli ziemskich z publicznego skarbu.

Dalej powiedzieliśmy w programacie tym, że organizacja dąży do zniesienia wszelkich praw kastowych i do podniesienia klas dotąd pokrzywdzonych do równych praw z klasami uprzywilejowanemi—tak aby w nowym społeczeństwie

polskim był jeden naród, złożony z wolnych i równych między sobą obywateli.

Widzicie więc, panowie, że zasadnicze myśli polskiego ruchu wypływają z ducha narodowego, i że niemasz w nich ani śladu szlacheckiego konserwatyzmu; że one dążą do zniesienia różnicy stanów i do zapewnienia ziemi włościanom.

Różnica pojęć co do kwestji włościańskiej między nami a wami pochodzi z rozmaitości podstaw społecznych i okoliczności, wśród których się znajdujemy. Podnietą ruchu rosyjskiego jest chęć posiadania ziemskiej własności; nasz zaś jest czysto narodowym. Przewrót socjalny w Rosji rozwinie wolność polityczną; u nas reorganizacja społeczna może być tylko skutkiem odzyskania wolności i niepodległości naszej ojczyzny.

Oto są zasady, w imię których mamy nadzieję, że bracia wasi pójdą z nami ręka w rękę, pójdą tak, jak szli ci rosyjscy bohaterowie, którzy krwią męczeńską dali świadectwo o świętości naszej sprawy i uświęcili nasz związek z niemi, zawiązany w imię naszej wolności i waszej sprawy społecznej (dosłownie gruntowej).

Przejdźmy do drugiej z kolei kwestji. Przekonacie się, że i we wzajemnych poglądach naszych na prawo, służące wolnym narodom rozrządzania losami swojemi, nie zachodzi przypuszczana dotąd różnica.

My utraciliśmy nasz byt polityczny przez gwałt i bezprawie. Gwałtu tego nigdyśmy nie uznawali, nie mogliśmy i nie możemy go uznać. Z tego powodu nie uznajemy ani nowych granic, ani rządów, zbudowanych na ruinach naszej wolności. My nie pojmujemy Polski podzielonej, ale pojmujemy Polskę całą, tę, która się składa ze związku Polaków, Litwinów i Rusinów, bez hegiemonji któregobądź z tych trzech narodów.

Wychodząc z tego punktu, dążymy do odbudowania Polski w dawnych jej granicach, pozostawiając narodom w nich zamieszkującym, to jest Litwinom i Rusinom, wolność zupełną pozostania w związku z Polską lub też rozrządzenia sobą podług własnej woli. W dzisiejszych jednakże działaniach przygotowawczych poczytujemy sobie za najświętszy obowiązek wszelkich dołożyć starań, ażeby Litwa i Ukraina postępowały równolegle z Polską i ażeby powstanie narodowe objęło jednocześnie wszystkie części naszej uciśnionej rodziny.

Wypowiedziawszy nasze zasady w programacie, wypowiadamy je i teraz otwarcie i szczerze, bez żadnej ukrytej myśli, i zaręczamy raz jeszcze, że najzupełniej szanujemy w narodach z Polską połączonych, a dziś jej nieszczęsny los dzielących, zupełną wolność rozrządzania swojemi losami. Wymagać od nas, abyśmy pod naciskiem wroga, bez wolności i możności rozrządzania sobą, wyrzekli się jedności, która dziś pomimo podziałów istnieje, żądać, abyśmy na zasadzie praw, które szanujemy u innych narodów, nie dążyli do odbudowania Polski w przedrozbiorowych granicach, byłoby żądać od nas uznania podziałów Polski i wyrzeczenia się tej siły, którą nadaje naszej sprawie związek trzech narodów, jedną całość stanowiących.

Wyjaśniwszy panom, jako przedstawicielom wolnej myśli rosyjskiej, zasady, w imię których wzywamy nasz naród do wielkiej walki, jesteśmy przekonani, że związek braterski między Rosjanami i Polakami, na polskiej ziemi zawarty, doda obu stronom siły do wypełnienia celów, ku którym dążą wyzwalające się narody.

Przyjmijcie, panowie, zapewnienie głębokiego naszego szacunku dla prac waszych i rzetelnego współczucia dla waszych usiłowań.

Warszawa 20 (8) września 1862 r.

(List do redakcji «Kołokoła». Przegląd rzeczy polskich. — Paryż d. 15-go października 1862 r.).

Wielopolski i jego działalność.

Margrabia Aleksander Wielopolski pochodzi z jednego z najstarożytniejszych rodów w Polsce i zarówno z zasad, jakie wyznaje, jak i z charakteru swego, może być uważany za typ skończony magnata i arystokraty. Karjerę swą polityczną rozpoczął on w r. 1830 jako poseł rządu rewolucyjnego polskiego przy gabinecie londyńskim, lecz po upadku powstania wrócił do kraju, usunął się zupełnie od życia publicznego i, zamknąwszy się na wsi w dobrach swoich, oddał się wyłącznie agronomji. We wszystkich spiskach, jakie w tym czasie w Polsce miały miejsce, Wielopolski nie tylko nie brał udziału, ale potępiał je zasadniczo, a będąc w najwyższym stopniu dumnym, arbitralnym i gwałtownym, był powszechnie nielubiany.

Wobec Moskali zachowywał się on mniej więcej tak samo, jak wobec swoich, to jest nie miał z niemi żadnych stosunków, a jeżeli konieczność zmusiła go do zetknięcia się z jakim wysokim dygnitarzem rosyjskim, to nieomieszkał dać mu poczuć całą swą magnacką butę i dumę.

Chociaż Wielopolski był ogólnie nielubiany, opinja publiczna nie miała go wcale za stronnika moskiewskiego, lecz tylko za arystokratę, nie rozumiejącego innej Polski, jak tylko taką, w którejby arystokracja rządziła i miała wszystkie dawne przywileje, i za przeciwnika namiętnego wszystkich zasad wolnomyślnych i postępowych. Nieszczęsna rzeź, dokonana w r. 1846 w Galicji przez chłopów na szlachcie kilku obwodów, a którą opinja publiczna w Polsce uważała za dzieło rządu austryjackiego, była powodem, że Wielopolski przerwał dotychczasowe milczenie i wystąpił z broszurą, noszącą tytuł: „Lettre d'un gentilhomme polonais au prince de Metternich", która w swoim czasie niemałe zrobiła wrażenie. W broszurze tej Wielopolski występuje jako arystokrata i konserwatysta, zrozpaczony tym, że rząd austryjacki, który był dotąd podporą konserwatyzmu w Europie, uciekł się do przymierza z demagogją, i dochodzi do wyniku, że wobec takiego postępowania Austrji Polsce konserwatywnej i szlacheckiej nic innego nie pozostaje, jak szukać zbawienia w połączeniu z Rosją, a przez nią z całą słowiańszczyzną.

Ponieważ broszura ta Wielopolskiego nie znalazła żadnego odgłosu w polskim społeczeństwie, lecz wywołała, przeciwnie, powszechne oburzenie, a autor jej okrzyczany za odstępcę od idei narodowej, Wielopolski usunął się jeszcze bardziej od wszelkiego udziału w życiu publicznym i został zupełnie osamotniony.

Chcąc czynem poprzeć zasady, które w piśmie wypowiedział, oddał on syna swego do wojska rosyjskiego, czym jeszcze bardziej oburzył na siebie opinję publiczną. Do Towarzystwa Rolniczego on prawie jeden z pomiędzy całego grona posiadaczy ziemskich nie należał, a kiedy w początkach r. 1861 podał się na członka Towarzystwa, przyjęto go wprawdzie, lecz zaledwie paru głosami większości.

Widzimy więc, że w chwili, kiedy ruch narodowy zaczął przybierać w Polsce doniosłość wielkiego dziejowego wypadku, Wielopolski był najniepopularniejszą osobistością w kraju i uważany był za przedstawiciela polityki i zasad wręcz przeciwnych narodowym dążnościom i sympatjom. Projekt adresu, popierany przez niego, tylko zwiększył jego niepopularność, a namiętne obstawanie przy zdaniu swoim i zjadliwa krytyka dążności, najbardziej drogich narodowi, doprowadziły ogólne przeciw niemu oburzenie do ostateczności.

Zastanawiając się nad osobistością i charakterem Wielopolskiego zupełnie bezstronnie, każdy przyznać musi, że człowiek ten posiadał niepospolitą wiedzę, energję charakteru, jasność poglądu politycznego i niezłomną wolę dojścia do zamierzonego celu, bez względu na największe trudności i przeszkody. Lecz jeżeli przyznajemy mu te wielkie zalety, bez których niepodobna być mężem stanu, to z drugiej znów strony niepodobna nie widzieć, że posiadał on wady, które zniweczyły te zalety i stały się główną przyczyną tego, że mąż ten nie tylko nie zdziałał nic pożytecznego dla kraju, ale, przeciwnie, stał się powodem największych klęsk, jakie nań spadły, i przejdzie do historji obarczony złorzeczeniem całego narodu polskiego.

Wady te, o których wyżej mówimy, są: namiętność i duma, dochodząca do pogardy całej ludzkości i lekceważenia, a raczej zupełnego ignorowania przeciwników, a stąd nieograniczona, dochodząca do zaślepienia wiara w swoją nieomylność, nie liczenie się z charakterem i przekonaniami społeczeństwa swego i z dążnościami epoki, w której żył i działał, a nakoniec obelżywe odpychanie od siebie wszystkich,

którzy mu ślepo nie hołdowali, i mniemanie, że on sam wszystkiemu podoła i zdoła całemu narodowi narzucić swoje zasady i przekonania, bez względu na to, że te zasady i przekonania były wbrew przeciwne i wrogie zarówno narodowej tradycji, jak i sympatjom kraju całego. Słowem, obok niepospolitych politycznych wolności Wielopolski był namiętnym i zawziętym doktrynerem, który umiał obmyśleć doskonale praktyczny plan działania politycznego, ale nie umiał w wykonaniu planu tego nagiąć się do okoliczności i obliczyć przeszkody i zawady, jakie mu na drodze stały. Chciał on skruszyć wszystko, co mu stało na drodze, chciał, oparty na Moskalach, narzucić całemu narodowi swoje osobiste zasady i przekonania, i nie tylko, że sam przepadł w tej walce, ale pociągnął za sobą kraj swój w wir klęsk i nieszczęść, przechodzących to wszystko, o czym wspomina historja.

Z dalszego opowiadania naszego czytelnik się przekona, że każdy krok Wielopolskiego nosi na sobie podwójną cechę doskonałości pomysłu, a namiętności i niepraktyczności w wykonaniu.

(Do cara wysłany został adres, zredagowany przez Ed. Stawiskiego, nie zawierający żadnych wyraźnych żądań, lecz ograniczający się do wyliczenia potrzeb kraju i jego cierpień pod rządem moskiewskim; adres ten miał na myśli Polskę całą i niepodległą wraz z Litwą i Rusią. W końcu marca w odpowiedzi na ten adres przyszła z Petersburga nominacja Wielopolskiego na naczelnika komisji (ministra) spraw wewnętrznych i duchownych Królestwa Polskiego, wraz z rozkazem rozwiązania Towarzystwa Rolniczego. Równocześnie zaczęły się represje rządowe, a 8 kwietnia wojsko moskiewskie bez uprzedniego wezwania do rozejścia dało salwę do manifestującego tłumu, poraniło i położyło trupem sto kilkadziesiąt osób, a uprowadziło do cytadeli około tysiąca).

Krwawa ta represja i rozwiązanie Towarzystwa rolniczego, które miały miejsce zaraz w pierwszych dniach objęcia władzy przez Wielopolskiego, a którego opinja publiczna nie bez podstawy uważała za głównego autora obydwuch tych środków represji, wywołały powszechne oburzenie przeciw niemu. Imię jego stało się odrazu równie nienawistne, jak imiona najbardziej znienawidzonych odstępców sprawy na-

rodowej i służalców moskiewskich; a wobec tego powszechnego potępienia nawet mała liczba ludzi, zapatrujących się na rzeczy zimno i trzeźwo i pragnących, aby naród zaprzestał manifestacji, a korzystał bodaj z małych koncesji, jakie Wielopolski od Moskali uzyskał, musiała zamilknąć. Wielopolski od pierwszego swego wystąpienia w karjerze urzędowej rzucił rękawicę opinji publicznej i uniemożliwił poparcie go przez ludzi najbardziej umiarkowanych i konserwatywnych, jeżeli nie byli oni jawnemi odstępcami, lub przynajmniej zupełnie obojętnemi patryjotami. Otoczył się samemi biurokratami, nie mającemi żadnych przekonań i pogardzanemi przez wszystkich, lecz kto tylko miał się za dobrego Polaka, stronił od niego bezwarunkowo.

Obejmując władzę w podobnych warunkach, które on sam sobie stworzył, Wielopolski uniemożebnił tym samym *powodzenie zadania, które sobie zakreślił*, i z góry zwichnął całą swą karjerę polityczną. Pozbawiwszy się przez rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego możności uzyskania poparcia całego żywiołu konserwatywnego, który nieomieszkałby go poprzeć, gdyby Towarzystwo nie zostało rozwiązane, Wielopolski skazał się na samotne szamotanie się w walce z partją ruchu i w walce tej roznamiętnił się aż do śmieszności i zużył się, nic nie zdziaławszy.

.... Krwawe stłumienie manifestacji 8-go kwietnia, rozwiązanie Delegacji i cały szereg policyjnych bardzo surowych rozporządzeń, które Moskale wydali, nie przyczynił się jednak bynajmniej do powściągnięcia agitacji, lecz wpłynął tylko na zmianę jej charakteru. Wobec rozwoju znacznych sił moskiewskich i ciągłych aresztowań za lada najmniejszym pozorem, uliczne manifestacje ustały na chwilę, lecz propaganda rewolucyjna szła tym żywiej i stronnictwo ruchu .zaczęło się organizować.

... Wielopolski w tym czasie uskutecznił kilka ważnych i korzystnych dla kraju reform, w liczbie których pierwsze miejsce zajmuje wprowadzenie języka polskiego do szkół i administracji, usunięcie wszystkich urzędników Moskali i zastąpienie ich przez Polaków. Chociaż reformy te odpowiadały najzupełniej potrzebom i żądaniom kraju, zadowolić go w zupełności nie mogły, raz dlatego, że społeczeństwo rozgorączkowane szło w swych żądaniach znacznie dalej, a powtóre dlatego, że Wielopolski swoją arbitralno-

ścią, dumą i lekceważeniem wszystkich wywoływał powszechną niechęć i nienawiść.

Reformy te opinja publiczna przyjęła jako zadatek i początek ustępstw koniecznych ze strony Moskali, lecz nie wywołały one ani radości, ani nawet zadowolenia, gdyż naród pragnął i spodziewał się nie reform administracyjnych a niepodległości, do której były i są zawsze skierowane wszystkie jego dążności i usiłowania.

.... Na czele rządu moskiewskiego stał wówczas niedołężny i w najwyższym stopniu ograniczony Suchozanet, który zastąpił zmarłego Gorczakowa, ale właściwym kierownikiem wszystkiego był Wielopolski, który zarówno przewagą swych zdolności, jak i siłą charakteru imponował Moskalom niepospolicie i pozyskiwał z dniem każdym coraz więcej wpływu i znaczenia.

Wiadomą jest dziś rzeczą, że w owych czasach, zarówno w sferach rządu moskiewskiego, jak i francuskiego, dążono do zawarcia ścisłego przymierza między temi dwoma krajami i że w gabinetach paryskim i petersburskim budowano na tym przymierzu rozległe plany przeobrażenia Europy. Przymierzu temu i planom, będącym z nim w związku, ruch polski stanął wpoprzek, a ponieważ ruch ten był we Francji nader popularny i miał za sobą powszechną sympatję, dano więc z Paryża wyraźnie do zrozumienia rządowi rosyjskiemu, że dopóki Polska nie będzie w żądaniach swych zaspokojona, rząd napoleoński nie będzie mógł przystąpić do zamierzonego przymierza.

Z tego to powodu po chwilowej represji Moskale znowu zwolnieli w ucisku, a w Wielopolskim widzieć zaczęli jedynego człowieka, mogącego przeprowadzić uspokojenie Polski bez zbyt wielkich ofiar i utworzyć stronnictwo, przyjazne związkowi tego kraju z Rosją. Z charakterystyki Wielopolskiego, jaką daliśmy wyżej, zarówno jak i z dalszego postępowania jego, łatwo się przekonamy, jak dalece ta rachuba była mylna, gdyż Wielopolski do niczego mniej nie był zdolny, jak do stworzenia stronnictwa, a zachowaniem się swym gwałtownym, arbitralnym i dumnym odepchnął od siebie nawet tych, którzy podzielali jego zasady i cele.

(Postępowanie rządu w tym okresie było chwiejne; namiestnikiem został mianowany hr. Lambert, człowiek o europejskiej kulturze, Francuz z pochodzenia. Równocześnie naczelne dowództwo wojsk w Kongresówce

powierzono gien. Gerstenzweigowi, brutalnemu żołdakowi, który w d. 15 października kazał aresztować lud modlący się po kościołach i spowodował zamknięcie świątyń przez duchowieństwo katolickie. Wskutek tego Lambert wyzwał Gerstenzweiga na pojedynek. Gerstenzweig zginął, Lambert, pod pozorem choroby, wyjechał za granicę. Wtedy rząd moskiewski oddał władzę namiestniczą gien. Lüdersowi, zalecając mu jak najsurowsze wykonywanie przepisów stanu oblężenia. Wobec tego Wielopolski nie mógł pozostać przy władzy, wziął dymisję z posady ministra spraw wewnętrznych i duchownych i wyjechał do Petersburga w listopadzie 1861 r.).

Pobyt Wielopolskiego w stolicy carstwa i całe tam działanie należy bezwątpienia do rzędu najtrudniejszych przedsięwzięć, jakie kiedykolwiek udało się dokonać zręcznemu dyplomacie, a talent, zręczność, wytrwałość i energja, jakie okazał w tych trudnych okolicznościach, zasługują na bezwzględne uznanie. Niezrażony niepowodzeniem, jakiego doznał w przeprowadzeniu myśli swej w czasie kilkomiesięcznych rządów swych w Królestwie, odepchnięty i znienawidzony przez własnych swych rodaków, którzy w dążeniach jego widzieli najlepszy środek zabicia idei niepodległości kraju i związania go na zawsze z Rosją, Wielopolski postanowił wytrwać pomimo wszystko na raz obranej drodze i, nie mogąc dojść do celu swego za pomocą stronnictwa, wytworzonego z łona swego narodu, postanowił oprzeć się wyłącznie na rządzie rosyjskim i przezeń osiągnąć to samo.

Pomimo niechęci i niewiary, jaką napotkał u wszystkich Moskali w Petersburgu, Wielopolski po kilku tygodniach potrafił pozyskać zaufanie cara Aleksandra i wytłumaczyć mu, że dobro samej Rosji, możność powodzenia jej planów na zewnątrz i cała jej przyszłość polityczna zawisła jedynie od tego, czy Polska pozostanie, jak dotąd, niewolnikiem, okutym wiecznie w kajdany i czyhającym tylko na chwilę, dającą mu sposobność skruszenia takowych, czy też, uzyskawszy zabezpieczenie swego narodowego rozwoju i swobody do tego niezbędne, zamieni się w kraj, połączony z Rosją jednością dynastji i interesów, w sprzymierzeńca jej i awangardę w wielkiej misji zjednoczenia Słowiańszczyzny.

Talentem swoim, siłą wymowy i niepospolitą energją swoją potrafił Wielopolski tak zaimponować słabemu i niedołężnemu Aleksandrowi, że wkrótce stał się najzaufańszym jego powiernikiem, a, jak to zwykle bywa w społeczeństwie, tak niewolniczym, jak moskiewskie, za carem poszli wszyscy wielcy i mali dygnitarze, i nie przeszło dwuch miesięcy, jak wpływ Wielopolskiego stał się w Petersburgu wszechpotężny. Ideja pogodzenia z Polską na podstawie autonomji Królestwa Kongresowego stanęła w Petersburgu na porządku dziennym, ci zaś, którzy przed niedawnym czasem byli najgorliwszemi stronnikami systemu represji w Polsce, stali się odrazu równie gorliwemi propagatorami zgody i braterstwa z Polakami.

Kto zna Rosję, ten się pewno nie zdziwi tą zmianą przekonań, bo wie dobrze, że opinji publicznej w tym kraju niema i że zdania zmieniają się tam, jak dekoracje, za skinieniem wszechwładnego cara i jego otoczenia. Bądź co bądź, już w końcu stycznia 1862 r. car zażądał, aby Wielopolski przedstawił mu plan reorganizacji Kongresówki według swej myśli, czego też ten natychmiast dokonał. Plan ten zawierał w sobie mniej więcej te prawa i swobody, których Polska używała przed r. 1830, na mocy konstytucji, zagwarantowanej jej przez Kongres wiedeński, z tą różnicą, że nie miała mieć narodowego wojska. Na radzie stanu projekt Wielopolskiego był rozpatrywany; ponieważ zaś wiedziano, że car mu jest przychylny, nikt więc prawie nie miał nic do zarzucenia a tylko kanclerz państwa ks. Gorczakow robił podobno przeciw niemu pewne uwagi. W lutym r. 1862 było już rzeczą niewątpliwą, że plan Wielopolskiego będzie przyjęty, a w kwietniu wyszły ukazy carskie, mianujące w. ks. Konstantego Namiestnikiem Królestwa Polskiego, a Wielopolskiego Naczelnikiem rządu cywilnego, którą to posadę umyślnie dla niego stworzono, a która dawała mu w ręce władzę niemal nieograniczoną.

Zanim jeszcze Wielopolski opuścił Petersburg, wyjednał u cara mianowanie ludzi, przez niego samego wybranych, na wszystkie ważniejsze posady, tak że z przybyciem jego do Warszawy cała machina rządowa znalazła się odrazu w ręku ludzi, na których Wielopolski mógł liczyć i którym ufał. Powodzenie misji Wielopolskiego w Peterburgu należy bezwątpienia głównie przypisać jemu samemu, lecz nie trzeba

też zapominać, że względy polityki zewnętrznej, a głównie wpływy Francji, wiele mu dopomogły.

(Za wpływem Wielopolskiego mianowany został nowy arcybiskup, Feliński, który odrazu stał się niepopularny, gdyż publicznie w kazaniu potępił ruch manifestacyjny i wzywał do posłuszeństwa carowi, który miał mieć jak najlepsze zamiary względem Polski.

Zamach na w. ks. Konstantego, dokonany bez wiedzy i woli Centralnego Komitetu, roznamiętnił i rozdrażnił do najwyższego stopnia Wielopolskiego; od tej chwili zaczyna on prześladować całe stronnictwo ruchu i to w sposób o wiele dotkliwszy, niż za czasów Lüdersa, gdyż prześladowaniem kierują ludzie, lepiej kraj znający. Wskutek tego Komitet Centralny, który w pierwszych chwilach objęcia władzy przez Wielopolskiego trzymał się tej taktyki, żeby go nie popierać, ale mu i nie przeszkadzać, ogłasza odezwę, w której rządy Wielopolskiego uznaje za tak samo nielegalne, jak wszystkie te, które je poprzedziły i po nich nastąpią, aż do chwili uzyskania niepodległości; źródłem ich jest gwałt i siła, a wykonywane są w imieniu cara Rosji, który jest zdobywcą, a nie prawym monarchą.

Wielopolski tracił coraz bardziej takt i rozum polityczny, rzucał się ze wściekłością przeciw każdemu, kto nie był jego ślepym narzędziem. Wywołało to dwa zamachy, skierowane przeciwko jego osobie. Potęga Komitetu Centralnego wzrastała, a Wielopolskiemu coraz bardziej usuwał się grunt z pod nóg).

W tym czasie Wielopolski dokonał dwuch najważniejszych reform w dziedzinie administracji Królestwa—zreorganizował całe wychowanie publiczne i uregulował stosunki między włościanami i większemi właścicielami ziemskiemi. Każdy to przyznać musi, że plan reorganizacji szkół, wypracowany przez osobną komisję pod prezydencją Wielopolskiego, należy do rzędu najlepiej pomyślanych i najbardziej odpowiadających potrzebom kraju i wymaganiom nowożytnej pedagogji.

.... W kwestji uregulowania stosunków włościańskich Wielopolski okazał daleko mniej zdolności i zmysłu politycznego, gdyż zamiast rozwiązania odrazu wszystkich trudności przez uwłaszczenie włościan, czego chciała wykształcona i patryjotyczna część narodu, wolał zadeklarować oczynszowanie,

które nie zadowoliło nikogo, wcale kwestji nie rozwiązało, a co gorsza, zostawiło cały stosunek między włościanami i szlachtą niejako w zawieszeniu, dając tym możność Moskalom niecenia nienawiści stanowej i rozwiązania kwestji włościańskiej za pomocą *bezprawia i grabieży*.

Oprócz tych dwuch reform Wielopolski powziął w końcu września 1862 r. myśl przeprowadzenia najzgubniejszego i najbardziej dla Polski doniosłego w skutkach rozporządzenia, którym wywołał przedwczesne powstanie i pogrążył naród cały w klęski i nieszczęścia, z których dotąd podnieść się nie może. Mamy tu na myśli nieszczęsny ukaz o brance, czyli raczej proskrypcji, który jest dziełem Wielopolskiego, gdyż wiadomą jest powszechnie rzeczą, że zarówno w. ks. Konstanty, jak i cały rząd, byli przeciwni temu ukazowi i że Wielopolski jeden uparł się przy nim i sam go w życie wprowadził.

Historja i gieneza ukazu tego są następujące: widząc, że, pomimo ucisku, aresztowań i ciągłego wysyłania na Sybir, organizacja ruchu nie tylko nie słabnie, lecz rośnie do tego stopnia we wpływy i siłę, że paraliżuje wszelkie rozporządzenia rządu i walczy z nim skutecznie na każdym kroku, Wielopolski w zawziętości swej postanowił użyć następującego środka dla jej zgnębienia i rozbicia.

Oto podał on w. księciu i carowi projekt ukazu, na mocy którego w dniu pewnym, którego oznaczenie pozostawiał sobie, miał się odbyć we wszystkich miastach Królestwa pobór do wojska nie w zwykły a prawem określony sposób, ale na podstawie najzupełniejszej samowoli policji. Powiedziane bowiem było, że poborowi temu ulegną ci tylko z mieszkańców miast, których policja uzna za źle myślących pod względem politycznym, pobór zaś sam miał się odbyć w nocy i to w ten sposób, że policja będzie tajemnie wchodziła do domów, chwytała z góry oznaczone osoby i odstawiała je do cytadeli, poczym odesłane one zostaną do bataljonów, konsystujących na Kaukazie i w stepach Orenburskich. Liczba osób, które w ten sposób miały być porwane, nie była wcale oznaczona, a powiedziane było tylko, iż zależy ona od liczby podejrzanych politycznie ludzi w każdym mieście; szlachta i chłopi mieli być wolni od tego poboru... Ukaz ten groził krajowi ogołoceniem go za jednym zamachem z całej młodzieży patryjotycznej i inteligientnej, sąd o tym, czy kto jest źle czy dobrze myślący, powierzał po-

licji, złożonej z ludzi przekupnych i niemoralnych, a nadobitek wszystkiego złego nie oznaczał nawet ilości lat, które nieszczęśliwi, w ten sposób porwani, mieli przepędzić poza krajem w szeregach nienawistnego im wojska rosyjskiego.

(Ukaz ten stał się bezpośrednią przyczyną przedwczesnego wybuchu powstania, a zawierucha wojenna zmiotła zarówno władzę Wielopolskiego, jak i dokonane przezeń reformy).

Z papierów po ś. p. Włodzimierzu Milowiczu.
(Wydawnictwo materjałów do historji powstania T. IV. Lwów r. 1894).

Odezwa wzywająca do powstania.

Komitet Centralny jako tymczasowy Rząd Narodowy.

Nikczemny rząd najezdniczy, rozwścieklony oporem męczonej przezeń ofiary, postanowił jej zadać cios stanowczy: porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie.

Polska nie chce, nie może poddać się bezopornie temu sromotnemu gwałtowi; pod karą hańby przed potomnością powinna stawić energiczny opór. Zastępy młodzieży walecznej, młodzieży poświęconej, ożywione gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i w pomoc Boga, poprzysięgły zrzucić przeklęte jarzmo lub zginąć. Za nią więc, Narodzie Polski, za nią!

Po straszliwej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku, Centralny Narodowy Komitet, obecnie jedyny legalny Rząd Twój Narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa, które Ci da i przez imię Boga na niebie dać przysięga, bo wie, że Ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem!

Tak, Ty wolność Twoją, niepodległość Twoją zdobędziesz wielkością takiego męstwa, świętością takich ofiar, jakich lud żaden nie zapisał jeszcze na dziejowych kartach swoich. Powstającej Ojczyźnie Twojej dasz bez żalu, słabości i wahania wszystką krew, życie i mienie, jakich od Ciebie zapotrzebuje.

Wzamian Komitet Centralny Narodowy przyrzeka Ci, że siły dzielności Twej nie zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmuje, silną dzierżyć będzie ręką. Złamie wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory, a każdą nieprzychylność dla świętej sprawy, nawet brak gorliwości, ścigać i karać będzie przed surowym, choć sprawiedliwym trybunałem obrażonej Ojczyzny.

W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszej chwili rozpoczęcia świętej walki, Komitet Centralny Narodowy ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnemi i równemi obywatelami kraju. Ziemia, którą lud rolniczy posiadał dotąd na prawach

czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkowo jego własnością, dziedzictwem wieczystym. Właściciele poszkodowani wynagrodzeni będą z ogólnych funduszów Państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały, rodziny ich otrzymują z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi.

Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni! bo godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła, stary miecz nasz wydobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinięty.

A teraz odzywamy się do Ciebie, Narodzie Moskiewski: tradycyjnym hasłem naszym jest wolność i braterstwo ludów, dlatego też przebaczamy Ci nawet mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadeli. Przebaczamy Ci, bo i Ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony, trupy dzieci Twoich kołyszą się na szubienicach carskich, prorocy Twoi marzną na śniegach Sybiru. Ale jeżeli w tej stanowczej godzinie *nie uczujesz w sobie zgryzoty* za przeszłość, świętszych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas, a depcze po Tobie! biada Ci, bo w obliczu Boga i świata całego przeklniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli, i wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni europejskiej cywilizacji z dzikim barbarzyństwem Azji.

Warszawa, dnia 22 stycznia 1863 r.

Odezwa o uwłaszczeniu włościan.

Centralny Narodowy Komitet

jako tymczasowy Rząd Narodowy.

Zważywszy: że uwłaszczenie włościan, pomimo ogólnej chęci kraju, z powodu stawianych przez rząd najezdniczy przeszkód, dotąd do skutku nie doszło — obok tego

zważywszy: że oddanie gospodarzom rolnym na własność gruntów, dotąd przez nich tytułem czynszów, pańszczyzny lub innych obowiązków posiadanych, zmniejsza mienie dotychczasowych właścicieli—

postanowił i stanowi:

Art. I. Wszelka posiadłość ziemska, jaką każdy gospodarz dotąd tytułem pańszczyzny, czynszu lub innym tytułem posiadał, wraz z należnemi do niej ogrodami, zabudowaniami mieszkalnemi i gospodarskiemi, tudzież prawami i przywilejami, do niej przywiązanemi, od daty niniejszego dekretu staje się wyłączną i dziedziczną dotychczasowego posiadacza własnością, bez żadnych jakichkolwiekbądź obowiązków, danin, pańszczyzny lub czynszu, z warunkiem jedynie spłacania przypadających z niej podatków i odbywania należnej służby krajowej.

Art. II. Dotychczasowi właściciele nadanych gospodarzom rolnych gruntów otrzymają odpowiednią wartości tychże indemnizację z funduszów narodowych za pośrednictwem długu Państwa.

Art. III. Zasady do oznaczenia wysokości szacunku ziemi, oraz rodzaj instytucji kredytowej w osobnych dekretach wskazane będą.

Art. IV. Wszelkie ukazy, reskrypta, przez rząd najezdniczy w przedmiocie tak zwanych stosunków włościańskich wydane, znoszą się, a tym samym nikogo nie obowiązują.

57

Art. V. Dekret niniejszy stosowany być winien tak do własności prywatnych, jako też i do własności rządowych, donacyjnych, kościelnych i wszystkich innych.

Art. VI. Ogłoszenie i wprowadzenie w wykonanie niniejszego Dekretu Centralny Narodowy Komitet, jako tymczasowy Rząd Narodowy, Naczelnikom wojskowym i wojewódzkim poleca.

Dan w Warszawie, 22 stycznia 1863 r.

Hramota dla ludu wiejskiego.

Złota Hramota.

Powstawszy wraz z Polską i z Litwą przeciw panowaniu moskiewskiemu, aby zyskać wieczną wolność i szczęsną dolę dla całej naszej ojczyzny, oświadczamy przed Bogiem, całym światem i narodem, że innego szczęścia nie pragniemy dla drogiej naszej ojczyzny i nie szukamy go w niczym więcej, jak tylko w wolności, swobodzie, równości i szczęściu wszystkich mieszkańców, jakiejkolwiek są wiary i stanu. A pragnąc najwięcej szczęścia dla ludu wiejskiego, postanawiamy na wieczne czasy:

1) Lud wiejski w siołach i futorach pańskich i rządowych, jednodworcy, czynszownicy i inni od tego dnia są wolni, swobodni i równi co do praw innym obywatelom ojczyzny.

2) Mogą i mają prawo przechodzić z miejsca na miejsce według upodobania i nikt im w tym przeszkadzać nie będzie.

3) Mogą i mają prawo uczyć się we wszystkich szkołach i być w krajowej służbie zarówno z innemi obywatelami ojczyzny.

4) Wraz z innemi mają prawo wybierać z pomiędzy siebie deputowanych do sądów, rad i urzędów wiejskich, powiatowych, ziemskich i najwyższych publicznych.

5) Sądzić się i rządzić będą na równi z innemi tylko przez swoje sądy i urzędy, złożone z deputowanych, mających strzec świętej sprawiedliwości, praw i bezpieczeństwa osób i mienia każdego.

6) Podatki narodowe, ziemiańskie powinności i ludzi do wojska narodowego będą dawać tylko za postanowieniem sejmu państwa, złożonego z deputowanych całej ojczyzny.

7) Ziemie orne, sianożęcia i sadyby pańskie i skarbowe, które za czynsz albo za odrobek, albo za wykup trzymali włościanie, będą od niniejszego dnia po wieczne czasy własnością każdego gospodarza, bez żadnej za nie zapłaty. Dziedzicom za te ich ziemie zapłaci Skarb Narodowy.

8) Co do udzielania ziemi włościanom, którzy jej dotąd nie mieli, jako to: budnicy, komornicy, chałupnicy, ludzie dworscy i t. d. postanowi w swoim czasie najwyższy sejm państwa.

9) Jednodworcy i szlachta czynszowa będą na równi z włościanami na wieczne czasy mieć ziemię sadybną i gruntową z ziem pańskich, gdzie jej będzie poddostatkiem, za zapłatą ze skarbu narodowego albo z ziem koronnych.

10) Wiejskim księżom prawosławnym, oprócz ziemi cerkiewnej, naznaczamy płacę w pieniądzach, aby nie potrzebowali żądać od ludu zapłaty za duchowne posługi, a ile przypadnie płacy każdemu księdzu, orzecze najwyższy sejm państwa.

11) Oprócz tego, co się wyżej powiedziało, każdemu, kto chwyci z nami za oręż przeciw panowaniu moskiewskiemu i albo zdrów wyjdzie albo rannym zostanie, udzieli się najmniej sześć morgów ziemi i sadybę w ziemiach koronnych, albo dożywotnią płacę ze skarbu narodowego.

12) Nadając ludowi wiejskiemu wyżej wskazane prawa wolności i obywatelskiej równości wszystkich wobec każdego, poręczamy i na wieki obiecujemy swobodę praw i wiary, jakiej się kto trzyma, i używanie swego języka w szkołach, sądach i innych ziemskich urzędach.

Co wszystko wyż wypisane oddając wiejskiemu ludowi *Podola, Wołynia i Ukrainy, zachowanie* i obronę praw, tą hramotą nadanych, zaprzysięgamy wobec narodu, całego świata i Boga Wszechmogącego. Bożej opiece poruczając dolę ludu, któremu wiecznego życzymy dobra, dajemy tę oto hramotę do wołosnego urzędu na każdą włość.

Tymczasowy Rząd Narodowy.

(Tłumaczenie z ruskiego).

W przeddzień wybuchu (22 stycznia 1863 r.).

Dnia 17 stycznia w polskiej kwaterze głównej dawano ostatnie, nieodwołalne rozkazy do boju. Rozkazy aż na 22 stycznia. Nieodwołalny rozkaz na całych pięć dni przed bojem! Już w tym jednym odczuć się daje ogromna osobliwość warunków wojny i boju. Sto kilkadziesiąt godzin ma dzielić rozkaz od wykonania, i to w położeniu, w którym każda z tych setek godzin przynieść może zmiany zasadnicze, uniemożliwiające wypełnienie rozkazu. Bo też osobliwą była ta główna kwatera!

Nic w niej nie przypominało zwykłego obrazu miejsc, gdzie się ważą i rozstrzygają w ostatniej instancji losy bitew i wojen. Ani błyszczących mundurów, ani dźwięku ostróg, ani tętentu koni adjutantów, pędzących z rozkazami lub raportami, żadnej wreszcie osłony siłą zbrojną, żadnej, najkonieczniejszej bodaj warty, strzegącej wodzów. Kwatera wyglądała jak najzwyczajniejsze mieszkanie prywatne najbardziej cywilnych ludzi. Jeżeli co różniło ją od mieszkania jakiegoś urzędnika lub kupca, to chyba nieokreślony niepokój, który wiał z twarzy i ruchów obecnych, to zarazem nieco przyciszony sposób obcowania, - szepty zamiast głośnych rozmów, wsłuchiwanie się w odgłosy ulicy, jakby ciche, lecz niespokojne zmaganie się z otaczającym niebezpieczeństwem. Od czasu do czasu z kwatery wymykali się adjutanci-kurjerzy. Najczęściej były to — całkiem niewojenny obraz—kobiety, unoszące nieraz w najtajniejszych skrytkach damskiej garderoby rozkazy, pisane na cienkim świstku papieru. Od czasu do czasu błysnął mundur wojskowy, lecz— o dziwo! — mundur wrogiego wojska: byli to oficerowie rosyjscy, należący do spisku.

Dziwna wojna, dziwna kwatera główna, której najważniejszym zadaniem zdawało się być utrzymanie tajemnicy i ukrywanie się przed okiem otoczenia. Nie było tam nic z tej buty i pewności siebie, jaką daje oparcie się o gotową i posłuszną na każde skinienie siłę zbrojną, zdolną do nagięcia otoczenia odpowiednio do planów i myśli wodza. Owszem, widoczna była chęć przystosowania się do otoczenia i rozpłynięcia się w nim.

Bo też główna kwatera polska pracowała w sferze działania wroga. Ba, nawet oddalona była od głównej kwatery

jego zaledwie o kilkadziesiąt kroków, o zwykły strzał karabinowy. Gdy jedna w każdej chwili mogła mieć na usługi tysiące tych karabinów, druga działać była w stanie tylko, nie będąc dostrzeżoną, a. nie mając nic dla swej osłony, w każdej chwili stawiała na kartę samo swe istnienie. Nic więc dziwnego, że twarze sztabu były niespokojne. Wódz ówczesnej Polski — Zygmunt Padlewski — nerwowo chodził po pokoju. Wahał się: jechać do puszczy Kampinoskiej, czy też zostać w Warszawie? Po raz dziesiąty wracał do obliczeń, spisanych na skrawku papieru.

— Do Lewandowskiego na Podlasie rozkaz wysłany. Rozkaz trzymania się na szosie brzeskiej, przerwania komunikacji z głębią Rosji, z Moskwą. Czy rozkaz doszedł? Kto zaręczy? — przemknęło mu przez głowę.

— Ma w swym rozporządzeniu 3—4 tysiące ludzi. Jakie ma rozporządzenie?—znowu wyrastała w głowie wątpliwość. — Ludzie w chatach, po dworach rozsypani, czy staną na wezwanie, by kłaść, ot tak, zdrową głowę pod ewangielję? Kto ich zmusi? A gdy musu niema, to ilu z tych niby liczonych da się policzyć na placu boju?—A wreszcie, co najgorsza, z czym ludzie pójdą do walki? Śmieszne! Z kijami, kosami, w dobrym wypadku z marną dubeltówką, na karabiny i armaty! W ostatnim raporcie Lewandowski wymieniał nawet liczbę tej najlepszej broni — strzelb myśliwskich. Całych 300! To w najlepiej uzbrojonym województwie! A tych karabinów rosyjskich, nie licząc jazdy i artylerji, w województwie jest mniej, niż 5 tysięcy. Zresztą, nawet ta marna broń czy jest pewna? Może już dzisiaj albo w jednej z tych setek godzin, dzielących nas od boju, wróg położy swą rękę na wszystko, albo na dużą jej część, zostawiwszy do boju dziesiątki, zamiast setek sztuk broni palnej? Może przez ten czas wyaresztują wybitniejszych spiskowych i reszta, zostawszy bez głowy, wcale do apelu nie stanie!

— Wszystko w tym przedsięwzięciu takie niepewne, takie chwiejne! — mruknął z rozpaczą. — Takie niepodobne do niczego, czegom sam uczył innych! Czy to nawet wojna? Rzeź niewiniątek, klęska pewna!

Myślą przebiegał wszystkie województwa, cały kraj. Langiewicz w Sandomierskim, Kurowski w Krakowskim, Bończa w Płockim. Te same niepewne tysiące spiskowych, te same wątpliwości, gorsze, bo broni mniej jeszcze, niż na Podlasiu. Zaledwie 300 sztuk broni palnej w całym kraju,

tyle, co w jednym województwie Podlaskim. A cały zachód, nie zorganizowany wcale wojennie, pewnie się nie ruszy bez wodzów i naczelników. To samo w Lubelskim.

— Czemuśmy o tym wcześniej nie pomyśleli? – myślał z goryczą. — Odkładaliśmy zawsze na potym przygotowania ściśle wojenne, baliśmy się, że dolejemy tym oliwy do ognia, gorejącego już w duszach ludzkich.

— A teraz...

Znowu czarna rozpacz osiadła mu w duszy; dręczyły go wyrzuty sumienia. Przecież sam dawał rozkazy do powstania, przecież sam wysyłał na śmierć te setki i tysiące ludzi. A za tydzień, po niechybnie nie udanej operacji, jakiemiż oczyma będzie spotykał pytania i wyrzuty? Jakie da rozkazy, jakie polecenia 23 czy 24 stycznia, gdy do Warszawy zbiegną się zwiastuny klęski? Nie, lepiej śmierć, śmierć razem z niemi! Raczej śmierć, niż ta odpowiedzialność i stąpanie po chwiejnym, niepewnym gruncie!

Przez chwilę przemknęło mu przez myśl, że jednak ktoś na miejscu zostać musi, że na kogoś przecież spadną wszystkie pytania i wątpliwości dni następujących po bitwie, dni ciężkich i trudnych, a tym trudniejszych, im bitwa będzie mniej szczęśliwa, lecz górę brała rozpacz, zwyciężało zniechęcenie.

— Więc jechać!— pomyślał z westchnieniem ulgi.

Koledzy z Komitetu Centralnego proponowali mu, aby objął dowództwo nad zebranemi już w lasach okolicznych spiskowymi, którzy, uniknąwszy branki, koczowali teraz w puszczy Kampinoskiej na lewym brzegu Wisły i w Serockiej na prawym, w oczekiwaniu wodza i... broni.

Z tą gotową już decyzją przyjął najbliższego swego przyjaciela i kolegę z Komitetu— młodego Stefana Bobrowskiego.

Bobrowski przyszedł pożegnać się z wodzem i przyniósł mu dokumenty podróżne, mające go osłonić przed aresztowaniem podczas drogi.

— Śpieszyć trzeba – dodał — Potieknin [1]) mi mówił, że jutro rano wyrusza wyprawa dla wyłapania w lasach uciekinierów od branki. Bądź dobrej myśli. Ludzie są ożywieni dobrym duchem, a gdy dostaną wodza tej miary, co ty, dadzą sobie rady z wrogiem. A jedno zwycięstwo poruszy

---

[1]) Oficer, Rosjanin, stojący na czele spisku wojskowego w Królestwie.

tysiące chłopów, wtedy pewnikiem górą nasza! Trudno nam tu będzie dać sobie rady bez ciebie, zostajemy przecież sami niewojskowi, ale jakoś to będzie. Zresztą, po opanowaniu Płocka, tam przeniesiemy rząd i ty go osłonisz, wodzu! Ty lud wolny poprowadzisz do boju!

Mówił z zapałem i gorącą wiarą, nie przekonał jednak przyjaciela.

— Lud prowadzić do boju!—twierdził ze zniechęceniem— cóż temu ludowi damy do ręki? Kije, marne kosy? Nie, mój drogi, z tym nie zwyciężymy. Jedna, druga bitwa, krwią własną i wroga zlejemy obficie pole – oto wszystko, co zrobić mogę, co zrobić obiecuję.

Bobrowski pozostał przy swoim.

— Nieprawda, Zygmuncie, nieprawda! Niechybnie położenie nasze ciężkie, ale nie wszystko stracone! Nie może być wszystko stracone, gdy z jednej strony stanie do walki człowiek wolny, o wolność walczący, z drugiej niewolnik, pędzony batem, a do wolności wzdychający skrycie. Zapominasz o naszych przyjaciołach w obozie wroga.

Padlewskiemu twarz się nieco rozjaśniła. Przypomniał sobie zebranie spiskowych oficerów, wśród których sam, były oficer, czuł się pewniej, niż gdzieindziej. Wszystko tam wydawało się pewniejsze, stalsze, silniejsze wreszcie. Charaktery, opanowane przez wychowanie i dyscyplinę wojskową, nawet przy rozgorączkowaniu spiskowym, dawały grupom oficerów pozory spokojnej siły. Nieraz zmęczony krzykliwemi i burzliwemi zebraniami spiskowych cywilnych, gdzie nerwy szarpał mu gorący powiew podnieconego tłumu, gdzie tak łatwo było o niesłuszne oskarżenie, o zwycięstwo pustego słowa czy górnolotnego frazesu — nieraz Padlewski odpoczywał na spokojnych zebraniach kolegów wojskowych. Tam każde słowo zdawało się być opoką nienaruszalną, a szable przy boku zebranych dawały poczucie gotowej już siły zbrojnej, którą gdzieindziej budować dopiero wypadało, budować, przełamując ogromne trudności i olbrzymie przeszkody.

Jako wódz powstania — jedyny fachowiec wojskowy pośród członków rządu rewolucyjnego — liczył na wojskowe grupy rewolucyjne, jako na niezawodną siłę, jako na wielki atut w polityce powstańczej. Główna, co prawda, nadzieja powstania: spisek oficerski w Modlinie — fortecy i składzie broni — rozwiała się niedawno przez aresztowania i trans-

lokacje podejrzanych, lecz pozostało jeszcze całe mnóstwo oficerów, wciągniętych do spisku, szczególnie wśród artylerji, broni najgroźniejszej dla Polaków chociażby dlatego, że sami jej nie posiadali i nie łatwo mogli ją stworzyć.

I teraz więc, gdy myślał o tych swoich sojusznikach, może przyszłych towarzyszach broni — uspokajał się powoli. Zresztą oddziaływało nań zawsze towarzystwo młodszego kolegi z Komitetu, Bobrowskiego, rozkochanego w wodzu bez zastrzeżeń, a stanowiącego dlań oparcie moralne wobec siły charakteru i woli, którą się odznaczał.

— Śpiesz, śpiesz—powtarzał Bobrowski — nie poddawaj się rozpaczy! Nam cofać się nie wolno! Przedwcześnieśmy powstali do boju, ale lepiej tak, niż nigdy! Wierz w potęgę moralną powstającego ludu. Jedź do obozu, odzyskasz siły i energję. Zamówiłem już konie dla ciebie. Za chwilę ruszysz w drogę. Czy masz jeszcze jakie zlecenia?

— Żadnych — odpowiedział Zygmunt — pamiętaj tylko o tym, że w fortecach, Brześciu i Zamościu, mamy przyjaciół oficerów. Lewandowskiego o tym zawiadomiłem i dałem mu odpowiednie wskazówki. Gdy do Lubelskiego wyznaczony będzie wojewoda, prześlij mu dane o Zamościu. Nie udaje nam się z Modlinem, może się udać z inną fortecą. To bardzo ważne!

Do pokoju wpadł, jak bomba, młodzieniec w czamarce. Był to Rogiński. Przyjechał z Białej, gdzie go rano zastał rozkaz powstania. Nie wierzył swym oczom, wydawało mu się to niemożliwe. Pędził ekstrapocztą, by sprawdzić rozkaz u źródła.

— Co czynicie?—zawołał.— Przecie nas rozbiją w puch. Nie mamy sił ani oręża. Czyż nie wykładałeś nam w szkole, Zygmuncie, że tylko żołnierz z dobrą bronią zwycięża?

— Stało się! — odpowiedział spokojny już Padlewski. — Śpiesz z powrotem. Jeśli Bóg da, zwyciężymy. Niepodobna zresztą, by Europa dała nam zginąć. Bywaj zdrów! Być może, że ostatni raz się już widzimy, lecz pamiętaj, cośmy przysięgali, iż się nie cofniemy. Ja jadę natychmiast!

Przykrą mu była ta rozmowa. Z goryczą myślał, że jeszcze przed paru tygodniami ten sam Rogiński, wspólnie z drugiemi spiskowymi oskarżał go i jego kolegów z Komitetu o brak energji, o rozmyślne odwlekanie powstania, niedołęstwo, ledwie nie zdradę.

I wówczas te same argumenty przeciw natychmiastowemu wybuchowi padały z jego ust, by się odbić o rozgorączkowane, nierozważające głowy, jak groch o ścianę. Teraz, gdy fakt był dokonany, gdy się stało podług myśli najgorętszych, własne jego argumenty wracały, ale już jako zarzut przeciw niemu.

— Tłum jest zawsze niesprawiedliwy i zna tylko dzisiaj, dzień wczorajszy dla niego nie istnieje — myślał.

Józef Piłsudzki.

Z powstania w Siedleckim.

Rozkaz porwania za oręż odebrałem w Białej dnia 17-go stycznia 1863 r. [1]) Pomimo papieru, jaki się dostał do rąk moich i umówionych na nim znaków, którym uwierzyć musiałem, nie ufałem oczom własnym, iżby taki rozkaz dany był na serjo.

Poleciałem do Warszawy, gdzie zastałem jeszcze Padlewskiego.

— Co czynisz?—zapytałem.—Czyż nie rozumiesz, że nas rozbiją w puch, że nie mamy ani sił, ani oręża! Czyż nie wykładałeś nam w Cuneo, że tylko żołnierz z dobrą bronią zwycięża?

— Stało się!—rzekł mi na to Padlewski. — Śpiesz z powrotem. Jeśli Bóg da, zwyciężymy. Niepodobna, by Europa pozwoliła nam zginąć! Bywaj zdrów! Być może, że ostatni raz się już widzimy, lecz pamiętaj, cośmy przysięgli, iż nie cofniemy się!

Uścisnęliśmy się. Zygmunt siadł na bryczkę, a z nim adjutant jego, oficer artylerji rosyjskiej Sejfried.

Pobiegłem jeszcze do Awejdy.

— Czemuś się zgodził?—spytałem.

— Zygmunt przegłosował nas. Wiem, że to za wcześnie, ale kość rzucona; jeśli upadniemy—spotkamy się na rusztowaniu, lecz iść trzeba, niema czasu na rozprawy .... (Ten to Awejde uląkł się stryczka i zdradziwszy sprawę, opisał historję organizacji, za co darowano mu życie. Zesłany do Wiatki, żyje tam obecnie jeszcze, jako obrońca przy sądach.[2])

Pożegnawszy się z Awejdą, pobiegłem na pocztę, by zamówić konie. Tu spotkałem Leona Frankowskiego—największego z pośród nas entuzjastę. Rzucił mi się na szyję z okrzykiem:

— Więc jedziemy bić się za kraj!

— Ba!—odrzekłem—bić nie sztuka, ale czym?

---

[1]) Rogiński mianowany był przez Komitet Centralny Komisarzem województwa Podlaskiego, do którego zaliczone były powiaty: Bialski, Siedlecki, Łukowski i Radzyński. Przyp. Red.

[2]) Umarł przed kilkunastu laty na raka na języku. Przyp. Red.

— Czapkami ich zarzucimy!—zawołał. — Całe Lubelskie, jak jeden mąż, powstanie! Jadę tam! Bywaj zdrów!

I rozbiegliśmy się. Ja, by jeszcze pożegnać się z rodzicami i siostrą, tak jak się żegna jedynak z najdroższym na świecie skarbem.

Pobłogosławili mnie, jam ich za nogi uścisnął, siadłem na brykę i pojechałem w Podlaskie.

Nocą stanąłem w Siedlcach. Zastałem tam Lewandowskiego, oficera z kampanji węgierskiej, emigranta. Był on wyznaczony w stopniu podpułkownika na dowódcę województwa Podlaskiego. Prócz niego spotkałem się tam z kolegą moim z Cuneo, Wł. Jabłonowskim, studentem uniwersytetu kijowskiego. Osadziłem go w Sokołowie, by tam młodzież organizował wojskowo. Czasu było tak mało, żeśmy zaledwie ogólnikowo mogli się porozumieć co do dalszego trybu działania. Z narady wypadło, że Lewandowski miał uderzyć na Siedlce, do czego mieli służyć ludzie w mieście zorganizowani, ludzie z Sokołowa i Węgrowa pod dowództwem Wł. Jabłonowskiego, z pod Siedlec, ze wsi okolicznych z Matlińskim na czele, a także część szlachty zaściankowej z okręgu Łosickiego pod wodzą Czarkowskiego. Wszystkich powstańców, gdyby się byli stawili na czas, winno było być około dwuch tysięcy, uzbrojonych w kosy i nieco w broń myśliwską.

Tak załatwiwszy się z Lewandowskim, pozostawiłem go dalszemu losowi, a sam pośpieszyłem do Łukowa, by zakomunikować Ks. Brzosce o uchwalonym powstaniu. Brzoska miał ludzi w organizacji dosyć, lecz trudno mu było zebrać ich na godzinę oznaczoną. Miał on w nocy uderzyć na miasto, licząc na współdziałanie kilkudziesięciu żołnierzy Polaków, zorganizowanych w szeregach wojska rosyjskiego.

Do Deskura posłałem rozkaz, by uderzył na Radzyń z ludźmi, jakich zdoła zebrać, sam zaś wróciłem śpiesznie do Białej. Na ten punkt najwięcej liczyłem, gdyż przez parę miesięcy mego pobytu tamże udało mi się wszystkich mieszczan wciągnąć do organizacji; w powiecie zaś, oprócz oficjalistów i służby dworskiej, wszystkie zaścianki szlachty były złączone tak, że można powiedzieć, iż nie było jednego w owej gromadzie, któryby duszą całą nie należał do organizacji.

W Białej powinienem był zastać oficera od saperów, Mroczka, jako dowódcę powiatu bialskiego, lecz rachuby

moje nie sprawdziły się. Na skutek przesłanego przez naszych z Petersburga żądania, Komitet Centralny wysłał nagle Mroczka do Kazania, gdzie spodziewał się wywołać dywersję, przez rozniecanie ruchów nad Wołgą. Mroczek w rzeczy samej pojechał, lecz okazało się, że tam w Kazaniu zebrało się wszystkich rewolucjonistów osiemnastu, przez których zaczęto ogłaszać złote hramoty. Ujęto ich wszystkich i Mroczka z trzema spiskowymi rozstrzelano w Kazaniu.

* * *

Musiałem przeto radzić sobie na własną rękę. Z chwilą powstania zadaniem moim było: tworzyć oddziały, gromadzić je i posyłać tam, gdzieby wymagała potrzeba. Celem naszym było opanowanie dwuch linji: warszawskiej, brzesko-litewskiej i warszawsko-lubelskiej w kierunku Uściługa, Wołynia i Rusi. Gdyby się nie udało odrazu utrzymać na której z tych linji, mieliśmy przerzucić się za Bug, by powstanie rozniecić na przestrzeni jak najrozleglejszej, a tym samym i rozdrobnić siły nieprzyjacielskie. W organizacji naszej w Białej mieli udział dwaj oficerowie w rosyjskiej służbie: dowódca baterji Suchodolski i adjutant jego Zalewski. Oprócz tego było szesnastu kanonjerów Polaków w owej baterji i kilku żołnierzy z piechoty. Siły rosyjskie w Białej składały się z baterji artylerji z dowódcą Suchodolskim i adjutantem Zalewskim, roty piechoty (250-iu ludzi), roty inwalidów (200 ludzi), sotni kozaków i żandarmów, wszystkiego 800 ludzi, dowodzonych przez gien. Mamajewa. W powiecie zaś rozlokowani byli: w Łomazach szwadron ułanów, w Kodniu nad Bugiem pułk artylerji—400 ludzi uzbrojonych w karabiny, w Międzyrzeczu dwa szwadrony ułanów z pułkownikiem. Czwarty szwadron stał w Siedlcach.

. . . . Na pierwszą noc pozostałem sam w Białej. Oprócz mieszczan, powinien był przybyć zaścianek z pod Łosic, do którego wysłałem Baltazara Wolanina, nauczyciela powiatowej szkoły bialskiej, a od Janowa Podlaskiego powinno było przybyć około 400 powstańców, pod wodzą ks. Rozwadowskiego, proboszcza z Niemirowa nad Bugiem, wreszcie od Zalesia około 100 ludzi z Kazimierzem Bogusławskim. Mogłem tym sposobem liczyć na posiłek 800 ludzi, oprócz tych, którzy się w mieście znajdowali.

Zanim miałem czas wydać powyższe rozporządzenia nastąpił pamiętny dzień 22 stycznia... Należało ludzi w mie-

ście zawiadomić, że to dziś w nocy o godz. 12-ej powinniśmy uderzyć na rosyjskie wojska. Dwudziestu ze mną miało wtargnąć do mieszkania Mamajewa, a inni, stosownie do rozlokowanego wojska i do siły rozporządzalnej—na baterję, stojącą na krańcu miasta, część na sotnię kozaków, w oddzielnych koszarach konsystujących, inni na piechotę. Liczyłem na popłoch, jaki wywołamy tym niespodziewanym napadem. Oprócz tego Suchodolski i Zalewski zobowiązali się w razie alarmu nie opuścić swych kwater, kanonjerzy zaś, należący do organizacji, mieli wystraszyć strzałami konie, by ich trudno było użyć artylerzystom. Nie byłem przeto pozbawiony widoków powodzenia. Lecz widocznie inaczej było zapisane w księdze wyroków Opatrzności.

* * *

Gdym objawił mieszczanom, że nadszedł dzień powstania, rzucili się do kościoła, by wyjednać sobie błogosławieństwo i rozgrzeszenie. Nie było to tchórzostwo, lecz prawdziwie chrześcijańskie uczucie. Księża Reformaci przestraszyli się i na spowiedzi nie chcieli dać rozgrzeszenia, odmawiając ich od fatalnego kroku i mordowania bliźnich. Dano mi o tym znać. Można sobie wyobrazić, w jakie mię to wprawiło rozdrażnienie. Wpadłem no kościoła, za mną tłum ludzi. Widzę, że księża rozprawiają, nie dają się przebłagać... W uniesieniu zapowiedziałem, że ich żywcem spalę, jeżeli rozgrzeszenia odmawiać będą. Księża ustąpili i rozpoczęła się spowiedź, lecz dla sprawy fatalne to miało następstwa, gdyż z 200 ludzi zaledwie 80 wieczorem znalazło się na probostwie.

Suchodolski i Zalewski, gdy u nich wieczorem byłem dla ostatecznego porozumienia się i zapowiedziałem, że nad ranem dowództwo obejmuje Suchodolski—stchórzyli i po moim odejściu pośpieszyli do Mamajewa z zawiadomieniem, że za parę godzin wybuch nastąpi, że należy wyprowadzić armaty na rynek i zebrać wojsko...

Godzina dziesiąta wieczór... Alarm.. Trąbki grać zaczynają, zbierają wojsko na rynku, rozkładają ogień, a ja z osiemdziesięcioma ludźmi na skraju tego rynku, na probostwie, czekam posiłków z zewnątrz, które o godz. 12-tej powinny były nadciągnąć.

Na alarm zbiegli się do mnie wszyscy kanonjerzy. Ci nie zdradzili i przystali do nas... Wtedy spostrzegłem, e

WOJSK
58 P. P.
Wlkp.

choć kos na probostwie było dosyć, jednak broni palnej mieliśmy wszystkiego jedenaście sztuk: siedem dubeltówek i cztery pojedynki. Ja jeden miałem rewolwer belgijski i sztylet....

Siły nasze były zbyt nierówne, bym się odważył uderzyć na rynek... Czekam więc do 12 ej na posiłki, lecz 12 ta wybiła, a nikt się nie zjawił. Spóźnili się — myślę — cóż dziwnego! Toć to nie żołnierz, znający komendę. Ten i ów chciał się pożegnać z rodziną, może na zawsze... Lecz i południe przeszło, a posiłków jak niema, tak niema. Wysyłam więc trzy ekstrapoczty z rozkazami. Wojska na rynku przepuszczają je. Rozkazałem, by oddziały pośpieszyły i skierowały się z Janowa do Białej. Tam miałem zamiar je spotkać, jeśli mi się uda wyjść z miasta. Czekałem jeszcze do godz. 1-ej—bezskutecznie. Trzeba było więc coś stanowczego przedsięwziąć. Licząc na popłoch między wojskiem rosyjskim, jaki powstanie, gdy nas zobaczą, wyciągnąłem linję moich kosynjerów, jednego kanonjera ustawiłem na brzegu z kosą i zawołałem: „Przewódź! Pójdziemy przez rynek, nie zaczepiając wojska. Zanim się opamiętają, przejdziemy miasto w kierunku Janowa i tam spotkamy swoich, z któremi, jeśli będzie można, wrócimy do miasta.

Sam zaś, mając za sobą jedenastu strzelców i wznosząc rewolwer w górę, zawołałem: „Bez mego rozkazu ani jednego strzału.. Bracia! Naprzód! W imię Boże!...”

Tak wyszliśmy na rynek .. Stał tam gien. Mamajew z całą swoją, dziesięć razy większą siłą, z ośmiu armatami, 400-tu karabinami i stu lancami!!

Przechodzimy o 30 kroków zdala przed frontem wojsk rosyjskich — głuche milczenie, słychać tylko odgłos naszych kroków miarowych. Tak przeszliśmy ulicę Janowską do skraju miasta...

Wtedy dopiero Mamajew, straciwszy nas z oczu, opamiętał się i wysłał za nami kozaków, którzy z piskiem swym rzucili się na nas, lecz już byliśmy siebie pewni. Jedno: stój! na cel! i kozacy poszli w rozsypkę. Znowu: Naprzód, chłopcy! Nie strzelać, bo szkoda prochu! i znów poszliśmy dalej... Tak nas kozactwo przeprowadziło 5 wiorst po drodze janowskiej do wsi Rozkoszy, nie zrobiwszy nam strzałami szkody. Tu spotkałem oba oddziały: Rozwadowskiego z Janowa i Wolanina z pod Łosic, razem ze trzystu ludzi. Rozbijamy tu obóz —rozpalamy ognie, rozstawiamy czaty i cze-

kamy dnia białego, by oddział jako tako uporządkować. Wojska rosyjskie za nami nie poszły, tak, że mogliśmy do rana pozostać w Rozkoszy.

Stąd przeszedłem na szosę, z Białej do Brześcia idącą, ku Zalesiu.

. . . . Rozłożywszy się obozem pod Zalesiem, pozostawiłem naszych pod dowództwem Wolanina, a sam w kilkanaście koni udałem się do zaścianków: Tuczna, Wiski i Huszcza, by się dowiedzieć, co się tam zrobiło i by stamtąd zabrać ludzi. Przybyłem do Tuczny, gdzie zastałem Neckiego, który w nocy uderzył na Kodeń. Rosjanie byli nieprzygotowani. Wystrzałem z pistoletu powalił żołnierza na odwachu i uderzył w bęben na alarm. Szlachta rzuciła się z kosą na postój i zdobyła odwach. Rosjanie rozbiegli się ze swym komendantem, tak, iż Necki, zdobywszy Kodeń, zabrał ze 300 karabinów, wprawdzie starych, przerobionych ze skałkowych, lecz zawsze — z bagnetami. Więc była już i broń palna, mnóstwo gotowych ładunków i pistoletów, co było najważniejsze, wziął przytym do niewoli 80 żołnierzy, których przyprowadził do Tuczny.

Radość moja była wielka, gdyż to mogło dodać nowej otuchy naszym. Zebrawszy szlachtę, rozkazałem jej gotować się do wymarszu, a sam pocwałowałem do Huszczy, głównego zaścianka, który miał za zadanie uderzyć na Łomazy. Wiedziałem już, że i tam się choć w części udało. Huszcza jest to długi na parę wiorst zaścianek, po jednej jego stronie stoją domy mieszkalne, po drugiej zabudowania gospodarcze.

Gdym wjechał do zaścianka, przedstawił mi się widok następujący. Przy każdym domu, stosownie do tego, ilu ludzi szło zeń do powstania, stały kosy, oparte o ściany domu. Była to ulica kos! Przebiegłem całą długość Huszczy do kościoła i probostwa, a za mną podążyli wszyscy, porwawszy za kosy. Na probostwie zastałem trochę ludzi, mieszczan z Łomaz: Czapińskiego i Szaniawskiego, obywatela z Krasówki, który na hasło powstania zebrał czeladź dworską i ruszył ze szlachtą na Łomazy. Sam energiczny, odważny i rzutki — mimo lat 50-ciu—był duszą napadu na Łomazy, wraz z ks. Nawrockim. Rosjanie, i tu nie przygotowani, nie zdążyli osiodłać koni, a kiedy nasi z kosami rzucili się na nich, uciekli do Międzyrzecza, pozostawiwszy w rę-

kach naszych wachmistrza, trzech żołnierzy, siodeł na 70 koni, pałaszy i lanc mnóstwo.

Tak więc szlachta nasza dzielnie się owej nocy spisała. Gdyby była broń i choć setny między nią obeznany z taktyką wojenną, by owe masy odrazu zorganizować, to — mówię to po latach przeszło 30-tu, gdy już zapał minął i chłodno człowiek na przeszłość spogląda — wierzę silnie, że bylibyśmy górą! Był taki między nami poryw, a takie jakieś nieokreślone między Rosjanami osłupienie, że przewaga była po stronie naszej. Brak broni wszystko zniweczył... Dziś, gdy patrzę w przeszłość i przypominam sobie ów zastęp, co poszedł za mną z trzech zaścianków, z kosami tylko w ręku przeciw armatom i sztucerom, zostawiwszy żony, starców i dziatki w domu, bez opieki — łza mimowoli nabiega mi do oczu, jako wyraz czci dla owych ludzi, którzy z miłości dla kraju gotowi byli zdobyć się na najwyższe poświęcenie. Byli to nieodrodni bracia owych Maćków Dobrzyńskich z Pana Tadeusza... Naród, co takich posiada synów, nie zginie nigdy!

(Pamiętnik Romana Rogińskiego. Kraków, 1898 r.)

Atak kosynjerów na koszary w Rawie.

...O godzinie wpół do dwunastej [1]) byliśmy pod miastem; noc widna, księżyc w pełni. Koszary piechoty moskiewskiej, na krańcu miasta położone, ukazały się nam po lewej stronie.

Zbliżywszy się do miasta, wysłałem sześciu strzelców z przewodnikiem na zwiady. Powróciwszy dali znać, że na ulicach miasta spokój, ale w koszarach światło tak na dole, jak i na pierwszym piętrze, i że niezwykły ruch tam panuje.

Pomyślałem: wiedzą o naszym zamiarze.

Rozsypawszy w tyraljerkę pierwszą kampanję strzelców, składającą się z 60 ludzi, kazałem im podejść pod koszary, ale nie strzelać, dopóki Moskale ich nie zaczepią lub ja nie dam rozkazu.

Kosynjerów umieściłem za wzgórzem, dobrze ich osłaniającym, w pobliżu po prawej stronie koszar.

Strzelcy stali po lewej stronie, także w pozycji zasłoniętej pagórkiem. Kazałem im wejść na pagórek. Ledwie wykonali mój rozkaz, Moskale z przygotowanych na ten cel dziur w ścianach budynku dali ognia — kule, świszcząc, przeszły ponad głowami strzelców, nie zrobiwszy im żadnej szkody.

Kazałem im cofnąć się z pagórka.

Tyraljerzy moi zaczęli strzelać do okien i dziur w ścianach. Moskale odpowiadali, nie wychylając się z budynku. Przeszedłem na lewą stronę do kosynjerów i rzekłem do nich:

— Dzieci! Trzeba z niemi skończyć — ta pukanina nie na wiele się przyda. Widzicie te sterty słomy, około wiatraka, stojące blizko stąd; ruszajcie żwawo, każdy niech po jednym albo dwa pęki słomy przyniesie.

Przewodnikowi dodałem po kilku kosynjerów, aby poszli do miasta i stamtąd przynieśli łuczywa i co znajdą łatwego do podpalenia.

Niezadługo kosynjerzy przynieśli słomę. Ludzie, wysłani do miasta, znieśli łuczywo, wióry stolarskie i cieniutkie suche deszczułki.

---

[1]) W końcu stycznia 1863 r. Przyp. Red.

— Dzieci — zawołałem — niech każdy z was weźmie pęk słomy w jedną, a w drugą rękę kosę i bez zatrzymania się, co który wyskoczyć może, biegnijcie pod koszary! Spalimy tych łotrów, kiedy tchórze boją się wyjść i bić się z nami.

Żwawo ruszyli, ani jeden nie pozostał za wzgórzem.

Strzelców rozpuściłem dowolnie, aby każdy, jak będzie mógł ostrożnie podsunął się pod koszary.

Wkrótce wszyscy znaleźliśmy się tuż pod koszarami. Strzały z przygotowanych w ścianach budynku otworów nie raziły nas wcale, stojących tuż pod samemi ścianami koszar.

Kosynjerzy poodrywali okiennice, okna wybili. Ujrzawszy wewnątrz Moskali, stanąłem bokiem koło futryny jednego z okien i zawołałem:

— Poddajcie się, bo was każę podpalić!

Nic nie odpowiadali.

Godlewski [1]), jakby szukał śmierci, stanął w jednym z okien i zaczął wzywać, żeby się poddali.

Obaczywszy go stojącego tak bez żadnej osłony, Moskale dali ognia. Dwie kule pierś mu przeszyły.

— Niech żyje Polska! — były ostatnie słowa z całej duszy miłującego ojczyznę młodzieńca.

Stojąc przy drugim oknie, widziałem padającego, słyszałem ostatnie jego słowa.

— Palić! — zawołałem. — Zabłysły gorejące już na ten cel łuczywa, słoma wokoło koszar buchnęła płomieniem. Dorzucali deski, wióry, w jednej chwili ogień objął cały drewniany budynek.

Moskale zaczęli wybijać drzwi. Tak się byli silnie z wewnątrz zatarasowali, że teraz wydostać się szybko nie mogli. Wyskakiwali z okien pierwszego i drugiego piętra.

Kosynjerzy, obaczywszy kilku swoich poległych, zaczęli niemiłosiernie ciąć Moskali świeżo wyostrzonemi kosami, nie zważając na ich wołanie o pardon...

Napróżno usiłowałem wstrzymać ich od tego; w zaciekłości nie słyszeli głosu mego, ni komendy. Musiałem zatym zacząć tęgo płazować, aby ich do opamiętania i posłuszeństwa przyprowadzić. — — — Ledwie udało nam się tym sposobem zapalczywość ich powstrzymać.

---

[1]) Franciszek Godlewski, były członek Rządu Narodowego. Przyp. Red.

...Zdobyłem kilkadziesiąt sztuk karabinów, kilkanaście koni, cokolwiek amunicji i białej broni.

Oddział stracił, prócz Godlewskiego, 4 strzelców i 2 kosynjerów zabitych, 11 rannych, między ostatniemi dowódca strzelców Sokołowski. Dzielny ten oficer, widząc śmierć Godlewskiego, skoczył oknem do koszar z pałaszem w ręku, i tam, przez Moskali bagnetami skłóty, ze trzydzieści ciężkich ran odniósł. Rannych kazałem odwieźć do okolicznych wsi. Księdzu w Rawie dałem polecenie, aby pogrzebał zabitych.

Kilkunastu mieszczan rawskich powiększyło oddział.

Młody żołnierz nie posiadał się z radości.

(Pamiętniki gien. Antoniego Jeziorańskiego. Część I. Lwów 1880 r.).

Sołowijówka i uwłaszczenie.

Dekret uwłaszczenia nazywał się na Rusi Złotą hramotą. Dla ogłaszania Złotej hramoty ukraińskim włościanom sformowano osobną drużynę, złożoną z synów szlacheckich, kształcących się w uniwersytecie kijowskim.

Było ich kilkunastu. Pod naczelnictwem Antoniego Jurjewicza szli od wsi do wsi i w każdej zwołanemu ludowi odczytywali Złotą hramotę.

Zbliżyli się wreszcie do wsi Sołowijówki, nie wiedząc o przygotowanej tam przez carskiego asesora zasadzce na nich, chłopi podpici wystąpili nieprzyjaźnie. Napróżno do nich przemawiał Jurjewicz po bratersku. Rzucili się na przynoszących im wolność i uwłaszczenie.

Młodzież ta mogła się bronić. Kilkanaście strzałów byłoby rozpędziło tę tłuszczę. Oni jednak nie chcieli do ludu strzelać.

— Nie chcemy was zabijać — rzekli do chłopów — bo wy jesteście naszemi braćmi; wolimy zginąć z rąk waszych, niż stać się winnemi wobec was. Krwią naszych braci rąk naszych nie zmażemy. I złożyli broń przed chłopami.

Widok wzniosły takiego zaufania, takiej miłości, byłby zapewne w jednej chwili rozproszył uprzedzenia, gdyby nie szatańska podmowa i przykład obecnego asesora. Podbudzeni przez niego, rzucili się na apostołów wolności i w okrutny sposób bezbronnych wymordowali.

Jurjewicz jednak ocalał, bo okrytego ranami i nie dającego znaku życia uprowadzono i z ran wyleczono po to, aby go powiesić. Podkopem jednak uciekł z fortecy kijowskiej i w kilka lat potym z ran sołowijeckich umarł w Paryżu.

Mogiła sołowijecka na Ukrainie—to mogiła przebłagania.

Przykładów takiego poświęcenia, takiej wierności zasadzie, miłości i braterstwa niewiele znają dzieje powszechne.

...Sprawa włościańska, której rozwiązaniu stale i uporczywie rządy rozbiorcze opierały się, została więc ostatecznie załatwiona przez powstanie polskie 1863 r.

Uwłaszczenie było już faktem dokonanym, gdy w rok potym car Aleksander II, pod presją tego faktu zostając i nie mogąc go cofnąć, wydał dnia 2 marca 1864 r. ukaz o uwłaszczeniu.

Ukaz ten był tylko potwierdzeniem dekretu Rządu Narodowego, na to wydanym, ażeby przywłaszczyć najazdowi korzyści, jakie z załatwienia kwestji uwłaszczenia wyniknąć mogły i musiały dla sprawy polskiej.

Gdyby nie powstanie, nie byłoby ukazu. Sam rząd moskiewski przyznał to w artykule urzędowego Ruskiego Inwalida z d. 9 marca 1863 r.

Powiada w nim bowiem, że jeżeli z przeprowadzenia ukazu wynikną jakie niekorzyści dla szlachty polskiej, niechaj sama sobie winę przypisze, gdy bowiem rząd polski rewolucyjny wydał dekret uwłaszczenia, ani jeden protest ze strony tej szlachty nie nastąpił, ani jednego nie było odwołania do prawowitego carskiego rządu o pomoc i osłonę.

(Agaton Giller. — Z ostatnich prac przedśmiertnych).

W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego, Lwów 1903.

O znaczeniu Rządu Narodowego.

...Naród nasz, oddawna uważany za anarchiczny i z trudnością powodujący się wszelkiej naczelnej władzy, skłaniał głowę przed tą władzą powstańczą, tajemną, której zewnętrznym wyrazem była tylko pieczęć. Powolność rozkazom wszelkich władz narodowych, które przez Rząd Narodowy mianowane były i od niego jedynie moc i powagę swą brały, pochodziła z głębokiego poważania idei władzy narodowej.

Raz uznawszy tę władzę, urosłą w chwilach wielkiego podniesienia duchowego, za swoją, narodową, za kość z kości i krew z krwi swej, za wyraz swych pojęć, zasad, potrzeb, uznając ją dobrowolnie, poślubiwszy jej wierność na polu walk, trudów, pasowań się ciężkich — naród pozostał jej wiernym aż do końca... Tym poddaniem się bezwarunkowym władzy narodowej, tajemnej, przez pieczęć reprezentowanej, naród złożył dowody dojrzałości i zdobył chlubne świadectwo, iż umie być karnym, gdy mu przewodniczy władza własna, pracująca i ginąca dla jego dobra.

Osoby były wciąż okryte zasłoną tajemnicy; naród nie pragnął wiedzieć o ich nazwiskach; szanując Rząd Narodowy, zwracało społeczeństwo swe uczucia nie ku osobom, które się zmieniały, ale ku idei władzy narodowej, trzymającej w swej dłoni i niosącej wysoko sztandar niepodległości narodu.

Rząd ten rządził w warunkach najtwardszych, wśród najgroźniejszych niebezpieczeństw, które tymbardziej urastały, im walka dłużej trwała.

Jeden z organów władz narodowych ówczesnych taką daje charakterystykę, słuszną zaiste, bojowania cichego, które toczył Rząd Narodowy, skupiony w ostatnim półroczu walki w jednej osobie, w osobie „tajemnego Dyktatora", Romualda Trauguta... „Wśród szubienic, świeżych grobów, wśród jęku katowanych w cytadeli, płaczu drobnych sierot, krzyku pokrzywdzonych niewiast rządzi i panuje najwyższa władza — Rząd Narodowy, któremu kraj powierzył swe losy... Dopóki Rząd ten działa, dopóki ramionami obejmuje kraj cały, sprawa nasza niezłamana..."

...Cała machina rządowa była nader skomplikowaną, a niemniej misterną. Tarany władz najezdniczych biły w ową budowę długo, gwałtownie a uporczywie, zanim zdołały

szczerby dotkliwe jej zadać. Dopiero konanie powstania rozluźniło zręby organizacji i spowodowało jej ostateczny upadek...

Gdy w polu rozlegał się szczęk oręża, organizacja, chociaż wstrząsana wielekroć, wszakże odnawiała budowę zachwianą; w szeregach urzędników Rządu Narodowego każdy ubytek zastępowano nowemi siłami, które imały się pracy z takim zapałem, jak gdyby dni spokoju, lecz nie prześladowania, nie męki, nie śmierć stawały przed niemi... Pomimo nacisku władz najezdniczych, wszystkie gałęzie władzy narodowej funkcjonowały w Warszawie i z całą możliwą akuratnością załatwiały sprawy bieżące, w ruch wprawiały tę machinę wielką, skomplikowaną, którą, wobec wroga i tajemnicy nader trudno było utrzymać dni kilka, gdy tymczasem przy wysiłkach poświęcenia misterna owa machina więcej roku funkcjonowała w Warszawie, istniała w miastach, miasteczkach, wsiach nawet, na wielkich kraju przestrzeniach. Każdy dzień, niemal godzinę istnienia owych władz okupywać potrzeba było tysiącznemi wysiłki, które tylko przy bezbrzeżnym poświęceniu i władz narodowych i kraju całego, możliwemi być mogły.

Pełnienie funkcji urzędowych w szeregach organizacji *powstańczej chociaż pochłaniało cały* czas, chociaż nie pozwalało czym innym się zająć, absorwowało nie tylko całą *teraźniejszość*, ale i przyszłość każdego z pracowników na polu urzędowo-powstańczym (przyszłość — to szubienica, *Sybir, bądź* tułactwo pełne nędzy i wielorakich utrapień wśród obcych; nie mogło pomimo to zapewnić znośnego istnienia... Pracownicy ci, oddający często więcej, niż mieli i *dać mogli, bo przyszłość i teraźniejszość* swoją i swych rodzin... często nie mieli środków na codzienne życia potrzeby. Rujnując siebie materjalnie, nie posiadali pospolicie w dostatecznej ilości chleba powszedniego... a tu tymczasem spokój ich rodzin, spokój całych pokoleń w proch się rozsypywał... dzieci ich w kolebkach, wobec eksterminacyjnej polityki wroga, miały całą swą przyszłość zachwianą, zburzoną... Pracownicy organizacji narodowej bądź żadnego żołdu nie pobierali, bądź małą jedynie gażę, jako niezbędną djetę dla siebie.

(«Słowo wstępne» z «Materjałów do Historji Powstania»).

Biały Janek.

W organizacji powstańczej Rządu Narodowego bardzo ważną jej częścią była policja narodowa.

Zadaniem narodowej policji było przeważnie, a nawet śmiało rzec mogę, wyłącznie przeciwdziałać i paraliżować tajemne i podstępne usiłowania policji moskiewskiej w staraniach o odkrycie organizacji powstańczej. Oprócz tego, podobnie jak rząd moskiewski przez swoją policję usiłował wcisnąć się w organizację narodową i tą drogą dowiadywać się o działaniach i zamiarach Rządu Narodowego, tak samo i Rząd Narodowy przez swoją policję musiał szukać zetknięcia ze wszystkiemi urzędami i władzami nieprzyjacielskiemi od najniższych do naczelnych. Były to zwyczajne wojenne miny i kontrminy. To podwójne zadanie policji narodowej czyniło ją właśnie jedną z najważniejszych instytucji powstańczych. Zorganizowanie jej było trudne i niebezpieczne. Wymagało bardzo wielkiej przezorności, przenikliwości i odwagi, obok rozumnej i rozważnej ostrożności.

W pierwszych miesiącach powstania organizowanie i samo działanie policji narodowej było o wiele łatwiejsze. Z wyjątkiem władz czysto wojskowych, wszystkie inne władze i urzędy były polskie. Cała policja była przeważnie z Polaków złożona. Wypadki poprzedzające powstanie podniosły potężnie ogólny nastrój i poczucie patryjotyczne całej ludności aż do najniższych jej warstw, szczególniej w miastach. W Warszawie nastrój patryjotyczny doszedł do zenitu. To usposobienie mieszkańców ułatwiało bardzo rozwój organizacji powstańczej we wszystkich kierunkach. Wynalezienie ludzi chętnych i oddanych nie było tak trudne. Niewtajemniczeni i nie należący nawet ściśle do samej organizacji, chętnie jednak spełniali powierzone im pewne zadania i czynności. Posłuch dla Rządu Narodowego był niemal ogólny. Sama policja moskiewska dostarczała policji narodowej i wogóle powstaniu chętnych i oddanych ludzi.

Jakoś w miesiącu kwietniu jednej nocy wyszło do powstania osiemdziesięciu żołnierzy policyjnych z oficerami. Ja sam miałem sposobność zetknięcia się z niemi i udzielenia im potrzebnych instrukcji i wskazówek, gdzie, jak i do którego oddziału udać się mają.

Zarodki organizacji policji narodowej istniały jeszcze przed powstaniem. Organizacja ta jednak nie miała charakteru ściśle ograniczonego. Organizacja w tej formie, w jakiej przetrwała przez całe powstanie, została dokonaną już po jego wybuchu.

Nie miejsce tu do szczegółowego opisu tej organizacji. Nadmienię tylko, że w głównych zarysach odpowiadała ona równolegle organizacji policji nieprzyjacielskiej. Był więc naczelnik policji ze swoim pomocnikiem. Warszawa podzielona była na dzielnice odpowiednio cyrkułom — byli komisarze, rewirowi, ajenci. Oprócz tego w każdym urzędzie, nie wyjmując władz i urzędów wojskowych, nie wyjmując nawet gieneralnego sztabu i przybocznej kancelarji namiestnika, byli ludzie, oddani zupełnie sprawie narodowej. Wszystkie nici tej organizacji skupiały się w ręku naczelnika policji, a prócz niego w ręku naczelnika miasta i jednego z członków Rządu Narodowego.

Trudne i niebezpieczne stanowisko naczelnika policji narodowej Komitet Centralny [1]) w początkach powstania oddał w ręce Jana Karłowicza, znanego jeszcze z organizacji przedpowstańczej; pomocnikiem naczelnika był Jan Masson. Karłowicz dla jasnych włosów nazywany był „Jankiem białym" — Masson zaś, silny brunet, „Jankiem czarnym". Obadwaj ludzie młodzi, nie mający nawet lat trzydziestu, obaj przyjaciele, mieli wiele cech wspólnych w charakterze i w usposobieniu. Obaj gorący i gorliwi patryjoci, energiczni, odważni aż do zuchwałości, gdy tego zachodziła potrzeba, a przytym roztropni, mężni, rozumnie ostrożni, doskonale się uzupełniali. Janek biały, więcej stanowczy, szybko się orjentujący, był rzeczywistym i doskonałym naczelnikiem. Janek czarny, posiadający więcej sprytu i przebiegłości, był wybornym wykonawcą.

Dwaj ci ludzie założyli podstawy organizacji policji narodowej, która, jak powiedziałem, przetrwała do końca powstania, a po jego upadku rozpłynęła się, że się tak wyrażę, najmniej stosunkowo dając ofiar Moskalom na pastwę. Składała się przeważnie z ludzi młodych. Jeżeli kto z jej

---

[1]) Komitetem Centralnym nazywała się naczelna władza organizacji ruchu przed powstaniem. Nazwa ta faktycznego rządu narodowego po wybuchu powstania utrzymała się i przetrwała aż do miesiąca maja 1863 r., w tym bowiem dopiero czasie Kom. Centr. przybrał tytuł Rządu Narodowego.

członków tak się na miejscu skompromitował, to jest ujawnił, że dalsza działalność jego stawała się nie tylko nieużyteczną, ale i niebezpieczną — to szedł do szeregów powstańczych walczyć z bronią.

Walka z bronią była niewątpliwie stokroć, można powiedzieć, bezpieczniejszą, niż działanie w organizacji cywilnej. Na polu walki otwartej każdy widział nieprzyjaciela. Organizacja cywilna była też walką, ale z nieprzyjacielem ukrytym, chytrym, przebiegłym. Często członkowie organizacji cywilnej, znużeni i wyczerpani tą skrytą walką, sami domagali się wyprawienia ich do oddziału, w otwarty bój!

W krótkim czasie oba te imiona — Janek biały i Janek czarny — a szczególniej pierwsze, stały się ogólnie znane i były niemal na ustach wszystkich. Janek biały, jak powiedziałem, śmiały, odważny, był wszędzie i nigdzie; gdzie najniebezpieczniejsze było zadanie do spełnienia, tam szedł sam, nie dając się wyręczyć.

Prędko też policja nieprzyjacielska, słysząc to imię, nabyła przekonania o ważności w organizacji osoby, imię to noszącej. Nie znała jednak nazwiska, a że fotografja w owym czasie nie była tak rozpowszechniona, więc i wygląd osoby nie mógł być tak łatwo policji znany. Ktoś, gdzieś jednak mógł go wskazać. Rozpoczęło się zatym polowanie na owego Janka białego.

W kwietniu już Janek biały, tropiony i ścigany, musiał się pozbawić własnego dachu, musiał się ukrywać, mieszkając i nocując przygodnie.

Podziwiać istotnie należało odwagę i wytrwałość tego człowieka. Siłę mu dawała jedynie głęboka i gorąca miłość ojczyzny i to wysokie zrozumienie ważności pola działania, które mu przypadło w udziale.

Takie życie tułacze z wiszącą nieustanną groźbą i niebezpieczeństwem, nie ustając ani na chwilę, prowadził aż do miesiąca listopada 1863 r.

Zdawało się nieraz Moskalom, że już go opętali w swe sieci, że już go mają — wpadają do domu, gdzie miał nocować, często zastają tylko ciepłe jeszcze łóżko; wpadają do kawiarni, do restauracji, gdzie miewał schadzki i narady — ale już przyszli o 5 minut za późno.

Janek biały zbierał osobiście owoce z przeprowadzonej przez siebie organizacji. Wiedział on doskonale o każdym kroku nieprzyjacielskim, prawie że wiedział naprzód nie to,

co nieprzyjaciel postanowił zrobić, ale to, co dopiero zamyślał uczynić. Sieć jego organizacji była zarzucona wszędzie, donoszono mu wszystko.

Należy tu oddać sprawiedliwość już nie tylko Jankowi białemu jako naczelnikowi, ale wszystkim jego podwładnym, bo wszyscy spełniali swoje trudne obowiązki gorliwie i sumiennie. Janek biały umiał wszystkich natchnąć tym duchem, tą miłością ojczyzny, która całą jego istotę ogarniała i przejmowała. Wszyscy go kochali, ufali mu, byli mu posłuszni i ulegli na skinienie.

Opowiem tu epizod, który najlepiej uwydatni postać tego prawdziwego bohatera, choć z wyglądu młodzieńca, małego wzrostu, wątłej budowy, jasnego drobnego blondyna.

Po wyjeździe z Warszawy w. ks. Konstantego i objęciu rządów w Królestwie przez gien. Berga, działanie organizacji stawało się coraz trudniejsze. Berg przedewszystkim zreorganizował policję. Obsadził najważniejsze posterunki Moskalami. Miało to dla nas pewną dobrą stronę, bo byli to ludzie nowi, obcy, zupełnie nie znający ani kraju, ani stosunków, a odznaczali się brutalstwem i dzikością; byli niemi prawie wyłącznie oficerowie gwardji.

Ponieważ ci przybysze nie znali gruntu, na którym mieli działać, musiano więc pozostawić na stanowiskach tak w jawnej jak w tajnej policji wielu Polaków, wybierając jednak takich, którzy odznaczali się niby najgorętszą służbą. Wielu jednak z tych pozostawionych należało do organizacji narodowej; służyli oni i nadal tej samej sprawie, choć z większą ostrożnością. Byli tam jednak i tacy, którzy, służąc przedtym wiernie nieprzyjacielowi, teraz tym gorliwiej chcieli tę swoją służbistość i wierność okazać. Były także pomiędzy niemi charaktery słabe, zbłąkane; obroża silnie zaciśnięta przytłumiła w nich wszelkie jakieś szlachetniejsze uczucia, choć gdzieś tam w głębi duszy tlała jeszcze jakaś iskierka.

Jednym właśnie z takich był służący w tajnej policji moskiewskiej niejaki Zagórski. Był to człowiek bardzo niebezpieczny, zajadły i nieubłagany tropiciel, posiadający nieograniczone zaufanie swoich przełożonych, używany do najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych wypraw. Janek biały usiłował wszelkiemi sposobami pozbyć się go lub uczynić nieszkodliwym. Nie było jednak możności do niego trafić. Był zręczny, chytry, przebiegły, umiał zawsze się wymknąć, przewąchać niebezpieczeństwo i tym zajadlej jeszcze broił.

Janek biały postanowił jednak za jakąkolwiekbądź cenę jeżeli go nie zjednać, to przynajmniej obezwładnić. Postanowienie takie mógł powziąć tylko człowiek tej miary, co on. Przeczuł on w Zagórskim owego człowieka zbłąkanego, w którego sercu tliła się jeszcze jakaś iskierka lepsza, szlachetniejsza, do której należało trafić i rozdmuchać ją.

Janek biały, tak ścigany przez Moskali, przez tego samego Zagórskiego, za którego uchwycenie nie wiem jakąby dali Moskale nagrodę, postanowił osobiście rozmówić się z Zagórskim.

Postanowił i wykonał.

Poszedł sam do Zagórskiego, przedstawił mu się, że jest Jankiem białym, którego tak szukają. Zagórski wobec tej prawie tytanicznej odwagi człowieka, którego tak tropił, a który sam oddawał mu się w ręce, struchlał i oniemiał.

Janek biały miał w sobie tyle siły ducha, tyle potęgi, tyle zapału, które dać może tylko gorąca miłość ojczyzny, że potrafił w przemowie swojej u tego, zdawało się, skończonego zdrajcy odszukać i rozniecić tę iskierkę szlachetności i miłości, tlejącą jeszcze w głębi jego serca. Zagórski z płaczem rzucił mu się do nóg, Zagórski był już zjednany.

Pozostał on w służbie moskiewskiej, lecz odtąd wiernie służył sprawie narodowej.

Moskale zachodzili w głowę, nie mogąc trafić na ślady zdrady.

Wkońcu podejrzenie padło na Zagórskiego. Uwięziono go. Zagórski jednak tak mądrze i przebiegle działał, że mu nic dowieść nie zdołano. Wysłano go jednak na Sybir i tam umarł.

Takim był Janek biały — cześć jego pamięci!

Jan Karłowicz na tym trudnym stanowisku naczelnika narodowej policji wytrwał aż do miesiąca listopada 1863 r. Znużony, zmęczony, nie mając gdzie głowy złożyć choćby do chwilowego odpoczynku — ustąpił. Do karabina nie był zdolny, wyjechał więc za granicę. Po upadku powstania znalazł się w Paryżu. Tam musiał pracować, jak się dało, na kawałek chleba.

Po kilku latach tułaczki udało się Karłowiczowi powrócić na ziemię rodzinną, do Galicji. W r. 1881 umarł na suchoty w San-Remo i tamże pochowany został.

(W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego).

J. K. Janowski.

Udział ludu wiejskiego w powstaniu 1863 r.

.... W szeregu naszych powstań, począwszy od usiłowań barskich aż do r. 1863, żaden ruch narodowy nie posiadał w swych szeregach ludu, wyjątki tylko stawały pod sztandarem narodowym. Dopiero w r. 1863 widzimy większy udział ludu, i to bardziej w północnych węgłach ziem dawnej Rzeczypospolitej, na Żmudzi, w litewskich województwach, wreszcie na Podlasiu, „na Kurpiach", niż w gniazdowych ziemiach Polski... Lud litewski i żmudzki złożył wielką ofiarę cierpień na ołtarzu ojczyzny. Najezdniczy rząd, widząc, że myśl ruchu narodowego, wchodząc do głębi mas, zdobywa dla siebie trwalsze podstawy, z całą wściekłością rzucił się na litewskie sioła i zaścianki...

Wsie litewskie, za współczucie jedynie, za małą pomoc, niesioną powstaniu, najazd rosyjski z rozkazu Murawjewa palił; miejsce, gdzie wieś stała, zaorywał, mieszkańców zaś pędził tłumami na Sybir... Tak spalono Jaworówkę, Ibiany, Szczuki i inne... Tysiące ludu z województw litewskich i ze Żmudzi uprowadzono w głąb północnej Azji, jakby na świadectwo, że powstanie 1863—64 r., rozlawszy się na przestrzeniach szerszych, niż poprzednie nasze ruchy powstańcze, po raz pierwszy występowało z ludem, chociaż lud ten jeszcze w stosunku zbyt małym stawał pod sztandarem wyzwalającej się ojczyzny.

Z ludu litewskiego pochodzili dowódcy oddziałów powstańczych; fakt ten dzieje powstań naszych po raz pierwszy na kartach swych zapisać mogły. Łukaszunas, wieśniak litewski, podczas ciężkiej zimy 1863–64 r., na czele garstki stu włościan walczył rozpaczliwie i na nieprzyjacielu zdobywał efekta wojskowe. Rząd Narodowy w odezwie do dowódców oddziałów podnosił jego zasługi... Ksiądz Mackiewicz, znany bohaterski dowódca, prowadził do boju przeszło 500 chłopów żmudzkich.

Udział ludu w walce z najazdem w r. 1863 nie był tak małym, jak mniemać można, gdyż najezdniczy rząd zdołał z jeńców-wieśniaków oddzielne tworzyć osady galernicze na Syberji (w Taurji Nerczyńskiej).

... Po raz to pierwszy w dziejach naszych lud szerszy brał udział w usiłowaniach wydobycia się na niepodległość, szedł do boju ze swą kosą tłumniej, niż za dni Kościuszki,

i ze zdumiewającym stoicyzmem znosił klęski wygnania. Chłopi z Kaszubskiej ziemi, od wybrzeży Bałtyku, już przy końcu powstania śpieszyli ku granicom Królestwa Kongresowego, by krew swą przelać w sprawie niepodległości, śpieszyli o własnym koszcie, a gdy żołd im proponowano, odparli: „za najem nie idziemy się bić, bić się chcemy za braci naszych; dajcie nam broń na Moskala, o resztę się nie troszczcie"....

Współczesny świadek tak o tym wypadku pisze: „I szli piechotą, podwód nie przyjmując, wśród zimy, własnym kosztem, z oczyma wytężonemi w stronę, skąd dusza ich zdawała się słyszeć jęki knutowanych współbraci; chwycili za broń, przeszli granicę, padli pod obuchem przemocy". „Dopiero gdy później i starszyzna wojskowa im powiedziała, że wszystko stracone, ze łzą w oku powlekli się znów o własnych środkach do domów".

Liczne wskazówki ówczesne stwierdzają, że z biegiem czasu, gdy walka z wrogiem liczyła już więcej niż rok istnienia, lud wiejski zaczął się budzić z uśpienia i bardziej się garnąć ku narodowym sztandarom... Niestety, było już za późno... Wyczerpane siły, zgasła energja, zniszczone zasoby, zburzona organizacja, strata najcelniejszych obezwładniały ruch zbrojny... Konał on szybko, wszystko się rozprzęgało. Wiosenne słońce 1864 r. już przyświecało nie obozowiskom, lecz grobom na pobojowiskach, mogiłom, co u stóp szubienic kopano, i ponuremu przechodowi pędzonych na Sybir... Budziła się z wiekowego uśpienia dusza i myśl ludu, stał on już jednak osamotniony, bez broni, bez przewodników... Chwilowo odemknięte oko jego samowiedzy zamknęło się—nie na wieki wszakże. Pamięć ludu... lepiej pono od nas szanuje wspomnienie tych, co legli w rozpacznych bojach 1863 r... W głębi puszcz litewskich, w głuchych ostępach, do dziś jeszcze na mogiłach owych bojowników możemy znaleźć świeże polne kwiaty... Kładzie je ręka wieśniacza.

(«Słowo wstępne» z «Materjałów do historji powstania»).

Chłopska deputacja u Czachowskiego.

... Podczas pobytu Czachowskiego w Krakowie (w czerwcu 1863 r.) przybyła do niego deputacja chłopska z puszczy Kozienickiej, którą do niego sami chłopi wyprawili, żądając, by wracał do kraju i dalej prowadził powstanie. Oświadczyli mu oni, że bez niego i jego oddziału bardzo źle się u nich dziać poczyna. Proszą przeto, aby jak najprędzej do nich wracał i przyprowadził z sobą przynajmniej tysiąc ludzi dobrze uzbrojonych i wyćwiczonych w rzemiośle wojskowym. Oni natomiast za jego ukazaniem się obowiązują się dostarczyć zaraz na początek 5000 uzbrojonych samych chłopów. Nie chcą bowiem więcej znosić tych „psubratów" i nie mogą dłużej dopuszczać, by kalali swemi stopami świętą *ziemię rodzinną i prześladowali wiarę świętą.*

O broń nie trzeba się troszczyć, bo oni, chłopi, już ją mają. To samo i co do umundurowania, bo każdy pójdzie w swym ubraniu. Również i o prowjanty może być spokojny, bo gromady, co ludzi będą wyprawiać, biorą na siebie i ich przekarmienie.

Wielce charakterystyczny był warunek, by Czachowski „nie przystawiał do nich żadnych oficerów z „panów" (dosłownie): bo ci nawykli zawsze traktować chłopów z lekceważeniem lub pogardą. Pójdą bić się tylko pod wodzą Czachowskiego i starszych, których sami wybiorą z gromad. Gienerała rzeczą będzie wskazywać, gdzie się mają stawić, a ich „tłuc" Moskali.

Warunek zaś 1000 ludzi dobrze uzbrojonych na to położyli, bo chcą robić tak, jak to sobie postępuje dobry myśliwy, mianowicie: biorąc z sobą młode psiaki na pierwsze *polowanie na grubego zwierza*, zabiera z niemi i stare ogary, aby nauczyły, jak takiego dzika osadzić na miejscu. Czyli, mówiąc jaśniej, lud prosty sam proponował wojnę narodową, t. zw. w powstaniu pospolite ruszenie.

... Gdy gienerał uczyni zadość ich chłopskiej prośbie, to wkrótce ujrzy, że jak Pan Bóg im dopomoże w pierwszej bitwie z Moskalami, natenczas i reszta chłopów rzuci się do broni, którą każdy sam sobie przysposobi. „Bo już przyszedł kres ostateczny cierpliwości ludzkiej i wiara oraz ziemia „święta" być muszą raz na zawsze od gwałcicieli Moskali oswobodzone.

(Wspomnienia Czachowczyka z r. 1863 p. Antoniego Drążkiewicza). Lwów, 1890 r.

O wojnie partyzanckiej.

...Dziwny, zaprawdę, przedstawia nam widok ta wojna bez broni rozpoczęta, prowadzona przeciwko najpotężniejszemu militarnemu państwu świata przez osiemnaście miesięcy, bez planu, bez systematu, w tej nadziei, że trwałość je dozwoli rozwinąć się możności wydobycia wszystkich sił narodu i pokonać niemi strasznego wroga. Powstańcy śpieszyli do boju, przekradając się każdy wśród wojsk i policji moskiewskich, tajemnemi ścieżkami, przez tajemną administrację wspierani, w głębie borów, gdzie dawano im broń myśliwską, kosę i zaraz prowadzono w trudny marsz lub na bitwę.

Nie było czasu do musztry i nauki wojskowej; od pługa lub warsztatu oderwany młodzieniec, po raz pierwszy mający broń w ręku, w trzy dni, a często w krótszym czasie stać się musiał żołnierzem i to żołnierzem partyzantem, którym o wiele trudniej jest zostać, niż żołnierzem regularnej armji. Wróg na pierwszy odgłos formującego się oddziału słał zewsząd wojska swoje — i oto rozpoczyna się ten ciężki zawód polskiego partyzanta w 1863 r., któremu podołać mógł człowiek tylko wielką miłością ojczyzny i samodzielnością ducha ożywiony.

Dowódca pospolicie nie chcąc na bój narażać niewprawnego i strzelać nieumiejącego jeszcze powstańca, unikał bitwy i uprowadzał oddział manowcami i drogami, mając prawie zawsze za sobą nieprzyjaciela, który nie dopuszczał do odpoczynku i ścigał go nieustannie dniem i nocą. Nareszcie przyszło do spotkania, powstaniec walczy — pobity, rozprasza się i znowuż się zbiera i znowuż się chowa, i znowuż walczy bez odpoczynku; zwycięski dzisiaj, jutro ze świeżemi siłami nieprzyjaciela walczyć musi, i tak bez wytchnienia aż do śmierci. Jeżeli nie padł na placu boju a legł ranny pod drzewami swoich lasów, nie znalazł miejsca w ojczystej ziemi, gdzieby mógł bezpiecznie spiekłe gorączką usta orzeźwić, siły nabrać i blizny zasklepić — Moskal bowiem wszędzie zajrzał, burzył szpitale po domach obywatelskich, rozpędzał leczące kobiety, doktorów brał w Sybir, a rannych dobijał lub zabierał z sobą, ażeby ich wywyższyć na szubienicy lub popędzić pod biegun północny.

Nigdy pod dachem powstaniec nie spoczął; nie namiot też był mu przytułkiem wśród zimy, podczas deszczu i śniegu: legowiskiem jego była mokra ziemia w polu lub mech w lesie, a niebo pochmurne jego osłoną! Pokarm ubogi, a często nie było go zupełnie; gdy miał kieliszek wódki i kawałek słoniny, to była świetna już uczta! Tak więc niewyspany, w głodzie, źle ubrany, źle uzbrojony, ciągle ścigany, przechodząc dziennie po pięć lub sześć mil drogi błotnistej lub piaszczystej, codzień w alarmie lub bitwie, bez wszystkich tych sposobów, zachęty i ułatwień, jakie ma regularny żołnierz, dał dowody wytrwałości i męstwa niezwykłego. Zaprawdę, zawód polskiego powstańca 1863 r. ciężki, służba trudna, którejby nie podołał najdzielniejszy żołnierz regularny, najlepszej w Europie armji, zawód, któremu tylko podołać mógł Polak, kochający ojczyznę swoją.

Ileż to scen wzniosłych, oraz przykładów odwagi i poświęcenia widziały te czasy? Ileż oryginalnych pomysłów i sposobów wojskowych zrodziło się w tej wojnie, której nie prowadzono według pewnej teorji, lecz z natchnienia, co teorję rodzi? Jakaż wojna ta dla nauki wojskowej ze wszechmiar ciekawa!

Prowadzenie wojny podjazdowej w kraju zalanym armją 390000 było niemożliwe, według dotychczasowych teorji o partyzantce. Żaden ze znanych systematów nie dał się w tym położeniu, w jakim była Polska, zastosować. Zrodził się więc w tym rojowisku samodzielnie krążących oddziałów i oddziałków uciekających i zbierających się nowy system wojny, który nazwalibyśmy leśnym.

System ten z góry nie nakreślony, nie obmyślany przez nikogo, sam się z potrzeby wytworzył, przy pomocy ludzi, co o sztuce wojskowej nie mieli dokładnego wyobrażenia. Nie wiedzieli oni, jak i dotąd mało kto wie, że walczyli według nowego systemu — a jednak, mając w umyśle przytomnemi wszystkie starcia, marsze, kontrmarsze, wszystkie potyczki konne i piesze, ów szyk leśny, owe rozpraszania się i ucieczki — jednym słowem, mając w umyśle obraz ten, złożony z tysiąca niezależnie od siebie występujących szczegółów, łatwo dopatrzymy się w nim pewnej zasadniczej metody i myśli, co stanowi system.

Nie naszą rzeczą określać wartość wojskową tego systemu, to tylko chcemy wyrazić: że jego ruchliwość, która sprawiła, iż regularna armja nie mogła długo zwalczyć po-

wstania, a zasadzająca się na olbrzymich i znakomicie wykonywanych marszach i kontrmarszach, jak np. Józefa Jankowskiego, Czachowskiego, Calliera, Ramotowskiego, Wróblewskiego i Krysińskiego, na rozbieganiu się i zbieraniu żołnierzy, jak u Mielęckiego, Borelowskiego, Lelewela, ks. Mackiewicza i innych; dalej jego sposób prowjantowania oddziałów i poczty, komunikującej każdy ruch wroga, rozwinięty szczególniej wzorowo przez Taczanowskiego i F. Kopernickiego; i wreszcie jego szyk leśny, którego lepsze przykłady dali L. Narbutt, Dłuski, Jabłonowski, Jeziorański, Traugut, Heidenreich, Kruk, Chmieleński, Eminowicz, poczytane zostaną za sposoby nowe a dodatnie w tym systemie leśnej wojny.

Leśna wojna, jak i wszelkie inne rodzaje partyzantki, do zwycięstwa nie prowadzi — to pewna jednak, że trudniejsze w niej, niż w innych zwycięstwo silnego nieprzyjaciela; że gdy idzie o zyskanie czasu, o przedłużenie ruchu zbrojnego, żaden system nie okazałby się tyle odpowiednim, jak ów, który zrodziła wojna 1863 — 64 r. w Polsce, na Litwie i Rusi.

(III t. Historji powstania narodu polskiego. Agaton Giller, wstęp do «Marzeń», pamiętnika o ruchu partyzanckim w wojew. Grodzieńskim, przez Ignacego Aramowicza).

Odezwa Garibaldiego, ogłoszona w miesiącu lutym 1863 r.

Narody Europy!

Nie opuszczajcie Polski. Obowiązkiem wszystkich ludów jest pomóc temu nieszczęśliwemu narodowi, który daje w tej chwili świetny dowód siły rozpaczy. Bez broni, pozbawiony swej dzielnej młodzieży, wygnanej lub uwięzionej, powstał, jak olbrzym: mężczyźni opuszczają miasta i udają się do lasów, postanowiwszy zwyciężyć lub umrzeć. Kobiety rzucają się na stróżów więziennych, zabierających i oślepiających dzieci ich.

Nie opuszczajcie Polski. Nie czekajcie, aby was doprowadzono, jak ją, do rozpaczy. Nie dopuśćcie, aby dom waszego sąsiada spalił się, jeżeli chcecie, aby w razie pożaru, który może ogarnąć wasze mieszkanie, dano wam także pomoc.

Rumuni z nad Dunaju, Węgrzy, Niemcy, Skandynawi, wy jesteście przednią strażą ludów w walce na śmierć, która obecnie toczy się na sławnej ziemi Sobieskiego i Kościuszki. Walka ta jest to walka despotyzmu z prawem. Jest to epizod tragiczny z dziejów kradzieży, popełnionej przez trzy północne sępy nad wolnością i życiem jednego z najszlachetniejszych narodów Europy. Jest to rozstrój siły brutalnej przeciwko porządkowi, pod osłoną którego człowiek chce żyć we własnym domu i z własnej pracy; rozstrój ten trwać będzie dopóty, dopóki wolno będzie rzeźnikowi koronowanemu obalać toporem nieszczęśliwego sąsiada.

Nie opuszczajcie Polski. Naśladujcie przynajmniej waszych tyranów: oni nie opuszczają siebie.

Waleczni Węgrzy mieli niedawny tego przykład: zwycięzcy Austrji, zostali zgnieceni przez jej wspólniczkę, Rosję.

A ty, straży Alp, czoło Europy, następczyni Grutli, rzuć twój karabin republikański na szalę Europy, zobaczysz, ile on waży.

Nie opuszczajcie Polski. Jeżeli my wszyscy jej pomożemy, spełnimy święty obowiązek, i świat będzie mógł urządzić się zgodnie z powszechnym szczęściem, które jest celem ludzkości.

Nominacja gen. Mierosławskiego.

Rząd Tymczasowy Narodowy

wobec rozpoczętego powstania Polski zaprasza gienerała Ludwika Mierosławskiego na Dyktatora i Naczelnego Wodza tegoż powstania.

Warszawa d. 25 stycznia 1863 r.

Odezwa dyktatorska.

Rodacy!

Aktem uroczystym pod datą 25 stycznia wezwany przez Rząd Tymczasowy do kierowania powstaniem, wywołanym przez wszechwładne Sprzysiężenie Narodu, staję na tej świętej ziemi jego pełnomocnikiem z władzą dyktatorjalną.

Biorąc na moje barki ten zaszczytny trud, przysięgam w obliczu Boga i zbrojnego ludu nie użyć mocy udzielonej mi przez Sprzysiężenie, jak tylko ku ścisłemu i sumiennemu spełnieniu dzieła, które Polska powstająca sama rozpoczęła i szlakiem tylu krwi bohaterskiej już zakreśliła.

Wyzwolić polskie kraje od najazdu barbarzyńców, a ziemię polską przywrócić ludowi, co od wieków ją uprawia, bez krzywdy dla innych bratnich mu warstw społeczeństwa, oto zadanie ostatecznego wskrzeszenia Polski, a więc i granice władzy, jaką mi Sprzysiężenie narodowe powierzyło.

Rodacy! znam dzieje, ducha i wolę mojego narodu, bom je na sobie długim męczeństwem już za żywota wybolał! Wiem, że dyktatura powstańcza nie jest dostojeństwem, ale czynem, i z czynem dokonanym się kończy; czy żywego przeto, czy trupem, ujrzycie mnie rozbrojonym przed majestatem wyzwolonego Narodu.

Ale też, żeby taka dyktatura nie pozostała czczym wyrazem, musi wielki Naród, co ją obwołał, musi Naród cały stanąć zbrojno do jej boku, domyślnym i uprzedzającym wykonawcą wszystkich jej rozporządzeń. Polskiej Dyktaturze inni liktorowie na nic się nie przydadzą. Do broni zatym, Narodzie Polski! do broni wszelkiej i wszędy, jak rozległe dziedziny twoje, jak rozmaite warstwy twojego społeczeństwa, jak rozmaite wyznania twojej wiary w Boga jedynego i w jego sprawiedliwość.

A nie lękaj się, tylo-miljonowy Narodzie, ażeby ci zabrakło oręża, byle każdy kawał polskiego żelaza znalazł dłoń, co go podniesie przeciw garstkom bagnetów, ginących w powodzi wezbranego powstania. Po temu dość będzie braciom, silniejszym mieniem i rozumem, schylić się po te nieprzebrane chmary wiejskiego ludu, co od wieków, zdawało się, leżały biernemi świadkami potęgi narodowej i narodowej śmierci, a przecież na polach Racławic, na stosie Książa, w płomieniach Miłosławia i Wrześni, zmartwychwstały ze zwycięską kosą w ręku, na świadectwo zmartwychwstaniu kmiecej ojczyzny.

Tak, raz jeszcze, raz ostatni zmartwychwstańcie, Kmiecie; tylko wszyscy, tylko chmarą, tylko razem, od źródeł Wisły do ujść Dźwiny i Kodymy; zmartwychwstańcie w nieprzejrzanym lesie kos, pik, wideł i cepów waszych, z siekierą u pasa; zmartwychwstańcie w trop za tą waszą awangardą walecznej młodzieży, której Car kazał łzami wskazać wam drogę na Sybir i na Kaukaz, a która od tylu już niedziel wskazuje wam krwią swoją drogę do wolności i do Bożego błogosławieństwa; zmartwychwstańcie za jej świętym przykładem, a na łanach, których nikt już wam nie wydrze, bo strzeżonych *własnym* waszym zwycięstwem, wszyscy równi synowie jednej matki ojczyzny, wzniesiemy do wspólnego Ojca w niebiosach pieśń dziękczynną, od której Aniołowie Piastowi rozpłaczą się z radości, a bramy wszech piekieł wraz z jarzmem waszym pękną na zawsze.

Na Polskiej ziemi, 16 lutego 1863 r.

Dyktator *Ludwik Mierosławski.*

Dyktatura Langiewicza.

.... D. 9 marca pojechaliśmy z Krakowa do Goszczy, do obozu Langiewicza. Wybraliśmy się na bryczce, a za nami jechał wóz ogromny, wyładowany zapasami i przyborami wojennemi. Po wierzchu było wszystko obrzucone zlekka słomą, a na niej postawiono dla przyzwoitości kolebkę i nieco gospodarskich rupieci. Tym sposobem przejechaliśmy bez trudności przykomórek austryjacki... Budynek komory po stronie polskiej, o kilkanaście kroków od austryjackiej granicy, zajęty już był przez garstkę powstańców z oddziału Langiewicza. Przybyłem do Goszczy, gdzie Langiewicz w tamtejszym dworku główną miał kwaterę, około godz. 11 lub 12 z południa.

Ponieważ czas dosyć był łagodny, wszystko więc stało na dziedzińcu przed dworkiem w malowniczym pêle-mêle. Langiewicz, Waligórski, Jeziorański, różni inni pułkownicy z różnokolorowemi szarfami i kitkami u czapek, adjutanci, różnego autoramentu powstańcy, bledzi ze strachu i powiązani chłopi, których całą furą przywieziono dla ukarania za stosunki z nieprzyjacielem, żydzi, markietanki, furmani, obywatele i obywatelki, odwożący synów do obozu lub nawiedzający obóz narodowy i t. d. Wojsko powstańcze biwakowało na polach wokoło dworu.

.... Langiewicz zaprosił nas po kilku chwilach na obozowe śniadanie do dworku. Weszliśmy do ciasnego pokoiku, będącego główną jego kwaterą. W środku stał długi stół z masłem, szynką, wódeczką, cygarami, to wszystko pomieszane z bronią, czapkami, papierami, mapami, pieczęciami. Nawaliło się do pokoiku za nami z jakie 30 osób i powstańców w najrozmaitszych ubraniach, ale że mundurów nie było, więc rozeznać nawet nie umiałem, czy to są oficerowie i z jakiego tytułu w tak nadzwyczajny sposób gościnności i braterskości dowódcy nadużywają.

.... Kiedym się miał ku wstawaniu ze stołka, zrobiła się mała przerwa w gwarnej lub poufnej gawędce i dożynkach śniadania, z której Langiewicz korzystając, powstał, mówiąc: „No, moglibyśmy teraz przystąpić"... Jednocześnie wezwał tłumne nad wyraz towarzystwo w pokoiku, żeby ustąpiło do sieni, bo będzie narada. Jakoś mało kto zważał zrazu na to wezwanie; owszem, wyraźne powstawały szmery nieukonten-

towania. Wtedy Langiewicz stanowczym tonem rozkazał wypróżnić pokój i postawić u jego drzwi na warcie dwuch kosynjerów, którzyby nikogo nie wpuszczali. Kiedym się zabierał wynieść się wraz z powoli ciasnemi drzwiami upływającym potokiem, Langiewicz zatrzymał mnie, mówiąc: „Prosimy, niech poseł zostanie (tak mnie niekiedy, nie wiem dlaczego, zapewne honoris causa i z reminiscencji mego długoletniego posłowania w Berlinie, w obozie tytułowano)— radzi usłyszymy jego także zdanie."

(Przedmiotem narady była dyktatura Langiewicza—Bentkowski, szef sztabu Langiewicza, zapytany o zdanie, w następujący sposób uzasadniał potrzebę dyktatury):

„Trzy postulaty zdają mi się przedewszystkim wynurzać: potrzeba jakiegokolwiekbądź rządu; pożądaność rządu jawnego; konieczność niedopuszczenia dyktatury Mierosławskiego. Otóż, jak miarkuję ze wszystkiego, co nawet członek i komisarz pełnomocny dotychczasowego rządu powiada, rząd tak dobrze jak rozbity; przytym niewiadomo, jak i gdzie go zrestaurować, bo w Warszawie zdaje się być to już niepodobne i nikt nie zdaje się mieć wielkiej ochoty i wewnętrznego powołania do brania tak wielkiej na siebie odpowiedzialności. Jak dalece pożądany jest jakiśkolwiek rząd jawny, o tym i w kraju i za granicą sam się przekonałem. Całe warstwy ludności krajowej, dalej kapitały różnych zagranicznych finansistów, wreszcie przychylne lub nawpół przychylne nam rządy nie wprzódy przychylą się na rzecz powstania, aż ono w jawnym rządzie sankcję i gwarancję swoją moralną uzyska, aż przez ogłoszenie jawnego rządu przejdzie ze stadjum spisku w stadjum narodowego powstania... Oba postulaty dadzą się może najwłaściwiej rozwiązać, wywieszając sztandar widomy powstania — imienną i osobistą dyktaturę, w jednym miejscu, którym dysponujemy, to jest w obozie, pod strażą siły zbrojnej... Grożąca dyktatura Mierosławskiego jest dla mnie rozstrzygającym w tych wątpliwościach powodem, żeby ją uniemożebnić poprzednim faktycznym postawieniem innej dyktatury; jedynym zaś imieniem, które w obecnym powstaniu stanowczo na wierzch wypłynęło, wszędzie, tak w kraju, jak i za granicą rozgłosu i wziętości używa, jest imię gien. Langiewicza; jego też obóz jedynym, gdzie taka dyktatura ochronę swoją i straż znaleźć może. Ściągnie on wprawdzie wszystkie siły nieprzyjacielskie na swój oddział przez ogłoszenie się dy-

ktatorem, ale, będąc dyktatorem, rozszerzy też zakres swego dowództwa i będzie się mógł na wszystkie teatra wojny przenosić w miarę potrzeby."

(Po tej naradzie, na której ostatecznie zapadła decyzja ogłoszenia dyktatury Langiewicza, Bentkowski pojechał do Krakowa dla wyekwipowania się. Gdy powracał w dni kilka, Langiewicz stał obozem w Sosnówce).

.... W Sosnówce... wszystko było w nieco świątecznym usposobieniu, bo przed południem odbywało się na polu, przy improwizowanym ołtarzu, uroczyste składanie przysięgi dyktatorowi przez wojsko; opowiadano mi, jako pomyślny omen, że w chwili przysięgania zabłysło słońce z poza chmur i obok niego dwa inne pokazały się słońca, czy też jakieś inne podobne miraculum atmosferyczne.

.... Obok dworku, w którym się mieściła główna kwatera Langiewicza, był ścisk, gwałt i rwetes do nieopisania. Dyktatora zaprzątano co chwila najbłahszemi drobiazgami, któreby do jakiego feldfebla lub adjutanta należeć były powinny; to musiał co moment przykładać swoją pieczęć do kartek przepustnych z obozu, to decydować o świeżo przywiezionych kilku burkach i parach butów i t. d. Serdecznie mnie przywitał, mówiąc: „no, rozgość się między nami, szefie", ale ani sposobu było pomówić z nim spokojnie o służbie.

.... Docisnąwszy się wreszcie na kilkaminutową z Langiewiczem rozmowę, chciałem przedstawić do jego aprobaty wypracowany przez dwa dni ostatnie projekcik organizacji sztabu głównego w zastosowaniu do wielkości i natury oddziału, o ilem go poznał był w Goszczy, oraz do natury wojny. Ale Langiewicz dość słuszną w takim wirwarze zrobił uwagę, żebym to do wolniejszej odłożył chwili. Nadmieniam tu zawczasu, że, pomimo kilkakrotnie powtarzanych prób i usiłowań moich, ta wolniejsza chwila aż do końca tygodniowej naszej kampanji przedłużyła się.

(Bentkowski, jako naoczny świadek, opisuje potyczki pod Chrobrzem i Grochowiskami; ta ostatnia, z początku przegrana, zakończyła się zwycięstwem. W Wełeczu, gdzie się zatrzymał Langiewicz, odbywa się znów rada wojenna).

... Langiewicz zaczął od przemowy, że pragnie usłyszeć nasze zdanie w krytycznym położeniu; bo chociaż odnieśliśmy w dniach ostatnich kolejne nad Moskwą zwycięstwa pod Chrobrzem i pod Grochowiskami, to jednak położenie naszej

armji nieszczególne i zewsząd jesteśmy ścigani i otoczeni przez różne oddziały rosyjskie, tak, że niema już sposobu rekwirować w okolicy niezbędnego furażu i żywności;... ludzie i konie w najwyższym stopniu są pomęczeni i zgłodniali, tak że już prawie służby odmawiają; niechętne też intrygi mierosławczyków coraz to bardziej w wojsku nurtują i na jaw wychodzą... Przytym wyruszyła jeszcze świeżo z Radomia 10-tysięczna dywizja Urusowa.

Gien. Jeziorański dowodził, że trzeba armję rozdzielić na kilka części, gdyż w wojnie powstańczej utrzymać się mogą tylko drobne oddziałki, które się wszędzie prześlizgną i wszędzie wyżywią, i że dyktator nie powinien się nieodwołalnie identyfikować z żadnym z tych oddziałów, ale raczej przenosić się w miarę potrzeby i okoliczności z jednego teatru wojny na drugi. Bentkowski był przeciwny odjazdowi dyktatora, mówiąc, że jest coś ohydnego w tym, by wódz opuszczał tę drobną armijkę w położeniu najkrytyczniejszym. Langiewicz odparł, że armja jest właśnie po dwuch świeżo odniesionych zwycięstwach, że zatym odjazd jego żadnego niekorzystnego i deprymującego pozoru ani wobec wojska, ani wobec świata mieć nie może. Stanęło na tym, że dyktator ma wyjechać jeszcze tej nocy, zanim żołnierze się zbudzą; chciano uniknąć w wojsku wzburzenia i rozsypki— nie uniknięto jednak, jak pokazała niedaleka przyszłość. Langiewicz został ujęty przez władze austryjackie, gdy się przeprawiał przez Wisłę pod Opatowcem, i uwięziony w Tarnowie. Od tej chwili znika on zupełnie z widowni powstania).

(Notatki osobiste Władysława Bentkowskiego z r. 1863). Wydawnictwo materjałów do historji powstania, t. II.

Urywek z listu Langiewicza

do Ludwika Bulewskiego.

Wstręt mój do przyjęcia dyktatury nie był zasadniczym, bo w dyktaturze widzę jeden z najważniejszych środków do ratowania sprawy publicznej. Rzeczpospolita rzymska, tak bacznie kontrolująca swych urzędników i ścisłego przestrzegania praw, w czasach wielkiego niebezpieczeństwa wszechwładzę i prawo oddawała w ręce dyktatora. Garibaldi, tak nieczuły na rozkosze władzy, objął władzę dyktatorjalną. Gdziekolwiekbądź zaprowadzono dyktaturę, wszędzie ona okazała się pożyteczną, skoro tylko była rzeczywiście potrzebną i jej piastun posiadał potrzebne przymioty.

Otóż nie czułem w sobie sił do zajęcia takiego stanowiska i nie widziałem jeszcze nikogo, któryby swemi przymiotami osobistemi i zaufaniem znacznej części kraju kwalifikował się do tego urzędu. Nadto, w chwili ofiarowania mi dyktatury nie umiałem sobie zdać sprawy, czy ona już teraz jest potrzebna. Osoby deputacji przybyły z zaboru pruskiego, austryjackiego i moskiewskiego.

Osobiście ich nie znałem, ale wiedziałem o dwuch, że swym wykształceniem, swym charakterem prywatnym i obywatelskim i swoją przeszłością zjednały sobie były ogólne poszanowanie. Stąd wniosek, że nie wzięłyby udziału w żadnej sprawie brudnej, a bardziej szkodliwej interesowi narodowemu.

Znakomite osoby cudzoziemskie, z pominięciem Rządu Narodowego, udawały się wprost do mnie ze swemi radami i propozycjami.

Z wszystkich okolic dawnej Polski przybywali do mnie patryjoci, prosząc o instrukcje i upoważnienie do formowania oddziałów powstańczych. Odpowiadałem im, że jestem tylko naczelnikiem województwa sandomierskiego, że moja władza prawna nie sięga poza granice mego województwa, i radziłem im udać się do właściwych władz wojewódzkich. Na to pokazywali mi upoważnienia od swych władz, ale dodawali, że one nie znajdują dosyć uwzględnienia, że, przeciwnie, moje rozkazy będą wszędzie szanowane, ponieważ posiadam ogólne zaufanie.

Do mej odwagi przyjęcia dyktatury przyczyniało się najmocniejsze postanowienie zrzeczenia się jej i ślepego poddania się Rządowi, czy jawnemu, czy znów tajnemu. Taki krok, zdaje mi się, musiał znacznie powiększyć powagę nowego Rządu.

Przypuszczam, że tylko część szlachty chciała dyktatury, jak to głosi Mierosławski i jego zwolennicy. Ale moje odezwy z Ś-go Krzyża i z Pieskowej Skały, ale moje odpowiedzi, dawane szlachcie, użalającej się na mój sposób rekwirowania, moje zdanie, tak często wypowiadane, że wszystko, co jest potrzebne do prowadzenia wojny, uważam za własność narodową, moja gorliwość i wytrwałość powstańcza, nie dająca się zrazić żadnemi niepowodzeniami, wystarczały na to, ażeby szlachtę przekonać, że im więcej będę miał władzy, tym więcej powstanie musiało się wzmagać.

(Marjan Langiewicz. — «Relacje o kampanji własnej w r. 1863»).

Bitwa pod Stefankowem.

. . . . Było już dobrze po godzinie 7-ej (d. 20 kwietnia), gdy szpica nasza doszła w lasach wsi Skłoby, niedaleko zakładu fabryk żelaznych rządowych, domków górniczych, zwanych Stefanków. Naraz z lasu, po lewej stronie drogi, zagrzmiała do niej długą linją salwa karabinowa. Z tej przekonaliśmy się dopiero, że wróg, naprzeciw którego maszerowaliśmy, lepiej był od nas obsłużony przez szpiegów. My bowiem nie wiedzieliśmy dokładnie, jak obecnie daleko jest od nas. [1])

Ukrył swych żołnierzy poza drzewami, ażeby niewidzialnie mógł obserwować każdego, ktoby się zjawił na trakcie. Dlatego też Stamirowski z Gawrońskim (którzy jechali w szpicy) nie dostrzegli Moskali, choć już na sam środek ich szyku wjechali.

Za głowę Czachowskiego rząd carski wyznaczył wysoką cenę. Moskale, przed nami będący, a nawet i inni, nie znali osobiście naczelnika. Gdy przeto ujrzeli przed sobą ubranego tak kosztownie, z taką fantazją i ozdobami, a nadto przepasanego pułkownikowską szarfą Stamirowskiego, byli najpewniejsi, że mają przed sobą Czachowskiego.

Nie zważając przeto, że przez za wczesne danie ognia do dwuch tylko powstańców zdradzą własną zasadzkę, sypnęli ogniem całym frontem, aby tylko domniemany Czachowski im nie uszedł. Tym sposobem ocalili nas od klęski, jaką mogli byli nam zadać, a sami sobie zgotowali zgubę.

Stamirowski, tylko ranny lekko w lewą rękę, z Gawrońskim, którego kule ani drasnęły, zawrócili w miejscu i jak wiatr w tył do nas uszli. Pędząc zdaleka, Stamirowski wydawał już komendę swojej kawalerji, aby cofnęła się w tył; ale ta, nie czekając na komendę, zaledwie ujrzała i usłyszała piekielną salwę Moskali, sama dawno drapnęła za piechotą.

Grzmot, jadący konno w arjergardzie, zaledwie usłyszał ogień moskiewski, wnet pośpieszył do Czachowskiego, który znalazł się podczas niespodziewanego przywitania Moskali w samym środku i podążał teraz na czoło kolumny.

---

[1]) Dyonizy Czachowski, starzec 67-letni, porucznik kawalerji z przed roku 1830, jeden z najdzielniejszych partyzantów w r. 1863. Był nadzwyczaj gwałtowny i surowy; w oddziale swym umiał utrzymać wielką karność i porządek. Zginął, po bohaterskiej obronie, na gruntach wsi Wierzchowisk. Przyp. Red.

Dopadszy wodza, Grzmot [1]) zawołał:

„Ojcze, daj rozkaz, aby dwie kompanje kosynjerów, które tu nie będą potrzebne, poszły za mną. Moskale zrobili na nas zasadzkę, ja zaś swoją kompanją i kosynjerami tył im zabiorę, gdy ty ich tu zabawiać będziesz. Zwycięstwo pewne."

Czachowski wydał żądane rozporządzenie. Stawecki z kosynjerami przeszedł pod rozkazy Grzmota.

Przypadł do nas teraz z powrotem Grzmot, zsiadł z konia i oddał go kosynjerowi. Sam zaś stanął na czele naszej kompanji, stojącej zupełnie na widoku Moskali, a przeszło na 1200 kroków od nich oddalonej. Kompanja galicyjska, przez Łopackiego dowodzona, rozpoczęła ogień plutonami, a reszta kolumny ustępowała z gościńca za drzewa.

Naszą zaś kompanję sprowadził w lewo z traktu. Następnie poleca Staweckiemu cofnąć dwie kompanje kosynjerskie, które postępowały w środku kolumny, i za nami postępować.

Gdyśmy uszli około 600 kroków prostopadle od drogi na zachód, wydał komendę półgłosem, choć to było w głębi lasów:

„Kompanja lewym ramieniem naprzód marsz!"

A po wykonaniu tego dodał:

„Kompanja prosto naprzód marsz!"

Uczyniliśmy to, idąc teraz na północ, a równolegle do traktu. Kosynjerzy szli za nami.

Słyszeliśmy silne salwy karabinowe i okrzyki: „hurra!" i „urra!", które powstańcy i Moskale wciąż ku sobie wysyłali, a echo borów wiernie je oddawało i potęgowało.

Moskiewskie były silniejsze, bo kilka razy liczniejsze, a strzały głośniejsze, bo ciągłemi prawie salwami, jako nie oszczędzających amunicji; podczas gdy powstańcy, cierpiąc zawsze na brak jej, strzelali rzadko, ale celnie.

Gdy Grzmot obliczył, że kompanja nasza stanęła w głębi lasu równolegle poza frontem moskiewskiej linji bojowej, a czego dowodziły wprost przed nami odzywające się strzały

---

[1]) Dobrogojski, kapitan wojsk moskiewskich, syn majora Dobrogojskiego, który wspólnie z majorami Łukasińskim i Dobrzyckim przed rokiem 1830, z rozkazu ks Konstantego, w Zamościu był więziony i katowany. Kapitan Grzmot, z rozkazu Mikołaja, był w dzieciństwie oddany do korpusu kadetów, gdzie prawie zupełnie zapomniał polskiego języka. Przyp. Red.

i zbyt wyraźne, silne odkrzyki „urra! urra! urra!"—zatrzymał nas i kazał nam zrobić front do pleców nieprzyjaciela.

Następnie rozsypał kompanję w jedną linję tyraljerską. Za nami ustawił kosynjerów o trzy kroki odstępu, a w jedną linję równie długą, jak była linja strzelców. Kazał kosynjerom kierować się głównie na pozostawione przez nas luki; wszystkim zaś nam, broń Boże, dopuścić się jakiego wypadkowego strzału, rozmowy, łamania gałęzi i t. p. Kazał iść na palcach. Stanął sam z rewolwerem w ręku w środku i wydał półgłosem komendę: „naprzód!".

Ruszywszy z miejsca, posuwaliśmy się równo a bacznie i ostrożnie, zachowując nakazane przez ukochanego dowódcę odstępy. Moskale, zajęci ciągłym sypaniem ognia ze swego zakrycia do strzelających do nich Galicjan, którzy podczas naszego zachodzenia tyłów wroga bardzo mało naprzód się posunęli—żadnej rezerwy w tej stronie nie zostawili, przeto doszliśmy nieledwo na kilka kroków do ich pleców, całkiem niepostrzeżeni.

Grzmot, widocznie dla lepszego zamaskowania się do ostatniej chwili, podnosząc rewolwer, wydał ostatnią komendę z moskiewska:

„Koledzy! Moskwa przed nami, ognia!", i jednocześnie z nami, gdyśmy w plecy nieprzyjaciela sypnęli kulami, zaczął sam strzelać z rewolweru.

Ci, co nie mieli bagnetów, zaczęli szybko nabijać broń.

Kosynjerzy tymczasem przebiegli ze swą straszną bronią przez nasze luki i wraz z bagnetowymi wściekle rzucili się na wroga, tnąc go z tyłu kosami, kłując bagnetami

Tuż przed nami stał podoficer Moskal, który poznał Grzmota, gdyż służył z nim w jednym pułku.

„Ach! i ty, odstępco, tu! — wrzasnął — przeciwko nam!"

Dobrogojski, który dotąd trzy razy z rewolweru wypalił, widział to i chociaż łatwo mógł, dawszy skok w prawo, zasłonić się drzewem od rozwścieklonego podoficera, nie uczynił jednak tego, lecz, stojąc w miejscu i złożywszy się do niego, po raz czwarty wystrzelił. Lecz tym razem piston spalił a rewolwer nie wystrzelił. W ślad Moskal podoficer wystrzelił celnie i trafił w same piersi rycerskiego Dobrogojskiego: kula przeszyła go na wylot.

Szlachetny, waleczny a mężny wódz zachwiał się; poskoczyli do niego dwaj sąsiedni nasi strzelcy i chwycili go

w swe objęcia. Słabym, gasnącym głosem, opuszczając rękę z rewolwerem, ale zrozumiale jeszcze wyszeptał:

„Manowski! Tobie oddaję komendę!"

A gdy mu na piersiach mundur rozpięto, chcąc zatamować krew, buchającą na dwie strony, szukał konający bohater ukrytej na piersiach fotografji swej narzeczonej; umoczył ją we własnej krwi i podał, szepnąwszy:

„Koledzy, to jej na pamiątkę!" — i w objęciach strzelców stojąc, skonał.

Gdy strzelcy nabijający broń usłyszeli słowa podoficera i spojrzeli na jego złożenie się do Dobrogojskiego, z kolbami do góry, jak Boża pomsta, rzucili się w szeregi moskiewskie, rozbijając głowy wrogów. Moskale, o ile trupem nie padli od strzałów, strasznych kos, bagnetów i kolb — rzucali swą broń, błagając o pardon na klęczkach, z rękami nad głowami.

„Zmiłujcie się! moja matka była Polką!" — krzyczeli niektórzy.

Ale nieopisany szał wzięcia z nich strasznej pomsty za śmierć nieodżałowanego dowódcy-bohatera usunął z serc naszych wszelki ślad uczucia litości dla tej ciemnej dziczy. Mordowaliśmy wszystkich bez pardonu, jak wilki wpadłe do dołu.

Goniliśmy ich zawzięcie, a jako młodzi i lżej ubrani, niczym do tego nie obładowani, dopędzaliśmy żywo i każdy swego upatrzonego kładł trupem.

Czachowski, widząc, że Moskale po naszej salwie z tyłu już przestali strzelać do oddziału galicyjskiego i zaczęli przerażeni nieprzytomnie wyskakiwać z lasu na trakt i uciekać, jak zające, wstrzymał ogień i z resztą przy nim będących powstańców galopując, sam poprowadził ich biegiem na pierzchającego w nieładzie nieprzyjaciela.

Na całą długość naszego frontu żaden z Moskali, z wyjątkiem oficerów i szarży, nie wyszedł żywy. Jeńców zaś, których chwytaliśmy wprost za kołnierze, w lot rozbroiwszy, oddawaliśmy kosynjerom, z zakazem ich dobijania.

Część tylko lewego skrzydła moskiewskiego, jako o połowę przeszło od nas dłuższego, widząc, jaki los spotkał towarzyszy, nie czekając ostatniego rezultatu boju, zaczęła gwałtownie uciekać na północ; przed nią, również pośpiesznie, uciekały i furgony; a za temi jeszcze dalej w lewo kozacy, którzy pierwsi drapnęli z placu, nawet nie racząc

obejrzeć się w tył, co też tam się teraz dzieje; toż samo i rezerwy wspólnie zrobiły.

Bijący się na lewym naszym skrzydle strzelcy, widząc powyższą rozsypkę niezajętej przez nich reszty linji bojowej moskiewskiej, pozostawili dobijanie kosynjerom zajętego frontu wroga, a sami rzucili się w pościg za uchodzącemi Moskalami, wołając na gwałt o wysłanie w pomoc kawalerji, dla zaskoczenia i powstrzymania w ucieczce reszty nieprzyjaciela.

Wezwanie powyższe doszło uszu cwałującego z resztą oddziału Czachowskiego. Nie widząc przy sobie kawalerji Stamirowskiego, wysłał po nią na gwałt paru oficerów konno w tył.

Lecz kawalerja ta zawadjacka, gdy przy rozpoczęciu się bitwy przeleciała, jak wicher, po obu bokach kolumny w tył, ani weź nie dała się nigdzie w lesie odnaleźć. Gdy w miarę przedłużania się walki liczba strzałów i krzyków: „hurra! i urra!" wzrastała, a do tego echo okolicznych gór i borów do nieskończoności tę wrzawę potęgowało, tak że już i przerwy pomiędzy niemi rozpoznać trudno było, lęk ją zaczął taki opanowywać, że powiązała konie do drzew i gotowała się do drapnięcia w las. Skoro zaś usłyszała naraz zwiększoną ilość strzałów po wydanej nam komendzie Grzmota, a następnie ich przyciszenie i tylko pojedyńcze strzały, tchórze ci, sądząc, że Moskwa nas już zjadła i teraz tylko dogryza, śpiesznie od koni zaczęli uchodzić w głąb lasu. Oficerowie, wysłani przez Czachowskiego po nich, nie zastawszy ich przy koniach, zaczęli dopiero szukać ich po lesie i drżących do koni sprowadzać z powrotem.

W miarę jak który z nas walczących skończył w lesie z moskiewską linją, biegł zaraz na północ, w kierunku powtarzających się rzadkich jeszcze strzałów.

Wypadłem i ja z lasu i ujrzałem wreszcie, jak Suski, gieometra prywatny z Radomia, wraz z kilkoma powstańcami, ze sztućca belgijskiego z uchodzących wcwał przez pola niezmiernie daleko trzech furgonów nieprzyjacielskich siedzących na nich kilku Moskali, jak gruszki z drzewa, zbijali bez chyby.

Inni zaś strzelcy, którzy przede mną z lasu wypadli, w półkole rozsypani, otaczali jakieś ogromne głazy narzutowe, obficie pod wsią Stefankowem leżące, a po polach porozrzucane. Tu z poza ukrycia Moskale, co zdołali jeszcze uciec

z życiem z lasu, leżąc za niemi, pojedyńczo się odstrzeliwali. Połączyliśmy się z naszymi, przedłużając ich łańcuch a obchodząc miejsce, zasiane olbrzymiemi kamieniami, zaczęliśmy z boków razić strzałami ukrywających się za niemi nieprzyjaciół.

Ci podnieśli się wkrótce z ziemi i, poza domki górnicze uchodząc, zaczęli znów do nas strzelać.

Powtórzyliśmy powyższy manewr, biegnąc i strzelając wciąż, czym znów przerażeni uchodzili gwałtownie dalej traktem, biegnąc w kierunku północnym do mostu na rzece w tym miejscu głębokiej, jako już blizkiej wpadu do stawu zakładu huty żelaznej Stefanków.

Przyzywaliśmy wciąż na pomoc kawalerję, aby nam za wodę nie uciekli; oglądaliśmy się, biegnąc wciąż naprzód za nią, lecz tej, jak zaklętej, nigdzie widać nie było.

Piechota moskiewska, w liczbie 50—60 głów, uszła więc z rąk naszych przez rzeczony most, zrywając pokład jego za sobą, i pędziła na łeb na szyję dalej na północ, znikając nam nakoniec z oczu w lasach wsi Rzucowa.

Zerwany most i zniknięcie ich w lasach dopiero powstrzymały nasz pościg.

Dopadł nas Czachowski, a poświęciwszy słów parę rzewnych pamięci Grzmota, oddał dowództwo kompanji swej, stosownie do woli poległego bohatera, Manowskiemu; na mnie zaś zlał obowiązki starszego sierżanta (feldfebla) tejże. Pochwalił nasze znalezienie się, wierne wykonanie planów i rozkazów nieodżałowanego Dobrogojskiego.

Wtym przypadła depesza od organizacji do Czachowskiego, *zawiadamiająca*, *że gienerał już obecnie*, Czangiery, wyruszył z silną kolumną i działami z Kielc przeciwko nam i że ma znajdować się już niedaleko od pozostawionego przez nas obozu naszego pod Piekłem. Sformowaliśmy się więc natychmiast w kolumnę marszową i pośpieszyliśmy z powrotem do obozu.

Groźny widok uderzył nasze oczy, gdy w powrocie nadeszliśmy na dopiero co przez nas opuszczone pobojowisko i stanęliśmy na chwilę dla pozbierania leżącej tam broni carskiej, porozrzucanej pomiędzy drzewami, krzakami i trupami poległych.

Gdyśmy ścigali uchodzącą resztę Moskali, kosynjerzy, widząc, że w polu nie będą użyci, od skraju lasu zawrócili na plac bitwy i tu, mszcząc się za śmierć Grzmota i barbarzyń-

stwa, spełnione przez Moskali w Suchedniowie i Wąchocku, oraz za wszystkie krzywdy swoje, od carskiej dziczy doznawane, a zarazem chcąc się wprawić do dokładnego wykonywania cięć i pchnięć kosą — posiekali na kawałki poległych Moskali. Wśród tego piekielnego szlachtuza z ciał ludzkich zdołaliśmy w pośpiechu zebrać przeszło kilkadziesiąt sztuk karabinów, a pomiędzy temi kilka sztućców strzeleckich, kilka rewolwerów i tyleż szabel oficerskich oraz kilkanaście tasaków podoficerskich.

. . . Oddani przez nas w ręce kosynjerów jeńcy, gdyśmy powrócili, stali już tylko w bieliźnie i boso, a na co zaczęli się nam żalić, mówiąc, że kosynjerzy im zabrali, oprócz ubrania, i buty, furażerki a także i pieniądze. Nakazano natychmiast zwrócić im ich ubiory i buty. Pieniędzy zaczęto poszukiwać i sprawdzać, co kto im odebrał; z czego okazało się, że tych jedenastu jeńców posiadało przy sobie przeszło 11000 zł. polskich. Jeden starszy felczer posiadał sam przeszło pięć tysięcy złotych w samych półimperjałach, zaszytych w szynelu.

Gdy znaną jest powszechnie nędza wieczna każdego carskiego wojaka, przekonaliśmy się tu dowodnie, jak wiele w czasie powstania narabowali ci łotrzy. Pieniądze te odebrano kosynjerom i złożono do kasy oddziału.

. . . Tak skończyła się ta fatalna dla Moskali bitwa, w której, czyniąc na nas zasadzkę, tyle świetnych sukcesów z niej dla siebie się spodziewali, a tymczasem ponieśli jedną z najhaniebniejszych porażek w powstaniu.

Wzięło w niej udział przeszło 400 piechoty moskiewskiej i około 60 kozaków, a zatym do 500 Moskali.

My zaś mieliśmy z sobą: dwie kompanje strzelców, razem licząc ludzi 180, uzbrojonych w różnokalibrowe karabiny i dubeltówki. Dwie kompanje kosynjerów, w kosy tylko uzbrojonych, 200; kawalerji Stamirowskiego z Gawrońskim 46 oraz oficerów wraz z naczelnikiem naszym; razem ludzi 438.

(Antoni Drążkiewicz. — Wspomnienia Czachowczyka z r. 1863.)

Odezwa w sprawie amnestji.

Rząd Narodowy do Narodu Polskiego.

Rodacy!

Termin złożenia broni, naznaczony przez moskiewskiego cara, z dniem wczorajszym upłynął.

Żaden Polak nie złożył oręża; żaden się pod skrzydła moskiewskiej opieki nie schronił. Walka, rozpoczęta w d. 22 stycznia, nie ustała na chwilę: amnestja przebrzmiała, jak czcze i zdradą podszyte słowo, a naród cały z równie zimną wzgardą odepchnął i łaski, i groźby cara. Nie chcemy łask, bo walczymy o pogwałcone nasze prawa, o wydartą nam zdradziecko niepodległość naszą. Nie lękamy się gróźb, ojcowie nasi nauczyli nas walczyć za ojczyznę i za ojczyznę ginąć.

Niema wreszcie tak strasznej groźby, tak szalonego okrucieństwa, którymby car przerazić nas zdołał, bo dla nas moskiewskie tylko jarzmo jest straszne.

Dla zrzucenia to tego ohydnego jarzma wydaliśmy w dniu 22 stycznia święte hasło narodowego powstania. Bój z wrogami rozpoczął się, a dziś, jak Polska szeroka, jeden w niej słychać okrzyk: „do broni!”

Rodacy! Walczmy więc dalej, jakeśmy rozpoczęli walczyć. *Orężem tylko zdobywa się swobodę, krwią tylko okupuje się niepodległość ojczyzny!*

Precz wszelkie układy z Moskwą! zdrajcy tylko i nikczemnicy myśleć o nich mogą. Biada im! biada tym wszystkim, którzy jedność narodu rozrywać odważą się!... Prawi Polacy chcą walczyć, walczyć bez wytchnienia do ostatniej kropli krwi: dopóki ostatni carski żołdak z polskiej nie ustąpi ziemi, dopóki Orzeł biały w dawnej nie zajaśnieje potędze!

W Imię Boże! naprzód!

Z tym hasłem śpieszcie do boju, Rodacy! murem piersi waszych otoczcie wrogów, niech oręż spełni dzieło wyzwolenia; niech skrwawione zgliszcza siedzib naszych grobem carskich zastępów się staną...

Polska musi być wolną i wolną będzie!

Warszawa, 13 maja 1863 r.

Odezwa do wojska.

Rząd Narodowy do Wojska Narodowego.

Żołnierze! Powodowani miłością ojczyzny i nienawiścią moskiewskiego jarzma, rozpoczęliście walkę; młodzi, nie wzwyczajeni do trudów, nie znający sztuki wojennej, bez karabinu, bez szabli, bez amunicji, z gołą prawie ręką, kosztem życia zdobywać sobie oręż przymuszeni, rozpoczęliście walkę wśród zimy ze stotysięczną armją, wyćwiczoną i zaopatrzoną we wszystko, złożoną w większej części z wyborowego moskiewskiego żołnierza.

I walczyliście trzy już miesiące, nieugięci, niezachwiani niczym, z dniem każdym silniejsi, z dniem każdym groźniejsi wrogom! I walczycie szlachetnie, jak szlachetnym żołnierzom przystało! Barbarzyńskie okrucieństwa, spełniane przez Moskali na waszych rannych towarzyszach, rozbudziły w was tylko zapał, nie rozbudziły nigdy żądzy odwetu!...

Żołnierze, cześć wam za to!

Nie mogąc poznać was, car ośmielił się wam, wam, żołnierzom polskim, udzielić amnestję! Jak na żołnierzy polskich przystało, daliście mu w odpowiedzi nowe bitwy, nowe zwycięstwa!

Żołnierze! Naród jest dumnym z was.

Idźcie dalej tą piękną drogą, która wam i Ojczyźnie waszej wolność i niepodległość wróci. W kurzawie boju, w ogromie wystrzałów miejcie w pamięci, że każde zwycięstwo godzinę wolności przybliża, każda przegrana wtrąca nas w grób!

Przed laty trzydziestu kilku na polach Stoczka, Grochowa, Igania, na szańcach Woli walczyli ojcowie wasi, a świat podziwiał ich męstwo.

Żołnierze! Wy jesteście synami tych bohaterów, krwią krwi i kością kości ich jesteście. Będziecież mieli mniej od nich męstwa? Pozwolicież, aby te drogie ojczyste sztandary, chwałą i kurzem tysiąca bitew okryte, w waszych rękach spalone zostały?

Nie, stokroć nie!

Naród jest o to spokojnym; a młodzi bohaterowie Węgrowa dali dowód światu, że Polska rodzi takich, jak i dawniej, synów, że w piersiach waszych to samo bije serce, jakie biło w rycerzach z pod Somosierra, w nieustraszonych wojownikach Grochowa.

Żołnierze!

Jesteście mężni; bądźcie karnemi, nieugiętemi w znoszeniu trudów, nieustraszonemi niczym. Od waszego męstwa, waszej karności, waszego poświęcenia przyszłość ojczyzny zawisła, a jak chwała i wdzięczność narodu czeka walecznych, tak wzgarda powszechna czeka tych, którzy nikczemnie z pola bitwy pierzchają! Naprzód więc! Na placu boju, wśród gradu kul, młodzieży polska, szukaj sobie chwały, a kiedyś, gdy dzień już wolności zabłyśnie, osiwiali w bojach ojcowie przycisną was do piersi i powiedzą z dumą: „zaprawdę! to są synowie nasi, prawdziwi polscy żołnierze!"

W imię Boże! naprzód! Niech żyje Polska! Zwycięstwo lub śmierć!

Warszawa, d. 13 maja 1863 r.

Odezwa.

Rząd Narodowy Polski do Ludów i Rządów Europy.

Pierwszy raz od chwili powstania naszego narodu odzywamy się do Was, bracia w europejskiej rodzinie. Odzywamy się dziś dopiero, bośmy pragnęli mówić nie na zasadzie bohaterskiej przeszłości naszej, lecz na zasadzie żyjącego faktu.

Faktem jest już nie tylko ogólne powstanie narodu, nie potrójna liczba walczących w stosunku do broni w naszej mocy się znajdującej, ale faktem jest odrodzenie się organizmu narodowego, funkcjonującego *mimo całych więzów* zewnętrznych; faktem jest zmuszenie Moskwy do używania zamachów na ludzką naturę i boski porządek rzeczy, bo niema w ludzkich kombinacjach sposobu na utrzymanie tego, co siła natury wyrzuca; faktem jest wszechwładza Rządu Narodowego nad wszystkim, co polskie nosi miano, wszechwładza li tylko na dobrowolnym uznaniu oparta. Fakt to donośny dla każdego, kto wie, że trzykroć stotysięczna armja starego żołnierza broni u nas władzy najazdu, dla każdego, kto nie chce nie wiedzieć, że za najdrobniejszą nawet uległość Rządowi Narodowemu Moskwa śmiercią płaci, o ile tylko ręka jej sięga.

Ze stanowiska tego to faktu Polska do Was, Ludy i Rządy, przez organ władzy swojej przemawia.

Pierwszym słowem naszym do Was jest dziękczynienie za współczucie, jakie nam w walce o niepodległość od jej początku towarzyszy. Współczucie to dowodzi, że stary Zachód nie zobojętniał na głos sprawiedliwości, nie wyparł się misji przez Opatrzność na niego włożonej. Współczucie to wlewa w nas otuchę, że, da Bóg, po skończonej walce w bratnim ockniemy się gronie.

Wiemy, że walka długa i trudna, wiemy już i z doświadczenia półrocznego, że tylko na siebie w niej liczyć możemy.

Wiemy, że nie prędzej jej koniec, aż po zaspokojeniu zupełnym pragnienia niezawisłości. Naprożno Zachód łudził się, że jakiekolwiek reformy cząstkowo stosowane, są w stanie zadowolić nasz naród. Niema dla nas szczęścia, bo niema jego rękojmi poza warunkami samodzielnego bytu całego organizmu narodowego.

Napróżno Zachód łudził się, że trudna walka zmęczy nas i odprowadzi od jedynego zadania.

Zachód, spokojny o byt swój, zapomniał, co to walka o życie, walka wywołana żądzą, uznaniem własnej istności, walka z gołemi rękami rozpoczęta.

Broń na wrogach musimy wprost zdobywać, lub też z ciężkim trudem nabytą dodatkowo jeszcze krwią opłacać. Wiele sztuk broni w ręku żołnierzy naszych, tyle głów na jej zdobycie straconych. Jest to broń krwią braci nabyta; takiej broni nie składa się. Moskwa jedna to czuje i wie, że na walkę naszą jedyny środek przeciw nam — zagłada.

Nie o pomoc i ratunek Was prosimy. Dosyć sił Bóg złożył w organiźmie naszym, byśmy przy wolnym ich użyciu gwarancję życia dla siebie zdobyć potrafili. My żądamy tylko, abyście przeznaczeniu Waszemu i przekonaniu kłamu nie zadawali.

Na zasadzie życia naszego, rwącego pęta niewoli, na zasadzie sympatji, mającej połączyć nas nierozerwalnym węzłem, żądamy zerwania sojuszu z Moskwą, co Was w Waszym pokojowym pochodzie krępuje, co wspólnikami zbrodni wbrew Waszemu poczuciu Was czyni. Zerwijcie ten związek i uznajcie nasze prawa do życia już w czynie istniejącego.

Niech Was nie łudzą podszepty moskiewskie. Występując w imię zasad, na chorągwiach naszych wypisanych, nie przedstawiamy się wam jako burzyciele i zaborcy. Sprawa wolności i samoistności narodów zyska w nas nowe poparcie, bo na tych właśnie zasadach stoimy, a zarazem zbyt silnie czujemy solidarność narodów Europy, byśmy się kiedykolwiek na nią targnąć mieli. Ojczyzna nasza wystarcza nam, a wolność tyle jest nam drogą, że główniejszą podstawę praw naszych zasadzamy przedewszystkim na wolnym uznaniu wolnych obywateli.

Sympatje Wasze są za nami, ale siła Wasza za Moskwą, przy nas sprawiedliwość, Wy jej obrońcy, a potęga Wasza przeciw nam się zwraca.

Patrzcie, dokąd Was związek z Moskwą, na gwałcie dziejowym oparty, doprowadził. Wydzieracie broń, jedyną naszą ucieczkę, chwytacie tych, którzy wśród Was nam służą, ścigacie tych, którzy nam na pomoc biegną.

Żądacie od nas poszanowania umów Waszych i traktatów, a temi traktatami dusicie nas, twierdzicie, że sprawa

nasza jest sprawą sprawiedliwości, której obrońcami jesteście, a jednak jak Europa szeroka, z tą sprawiedliwością się w podziemiach kryć musimy. Do tego sojusz z Moskwą Was doprowadził. A Wasze słowa sympatji, niczym w czyn nie wcielone, Moskwa odrzuca, nazywając je podburzaniem, zamachem na porządek świata.

Jeszcze raz więc, w imię rozbudzonego na nowo życia w Polsce, w imię sympatji, jakie dla nas głosicie, wzywamy Was, pójdźcie drogą, którą nam wspólnie Opatrzność wskazuje; pogódźcie czyn i życie z uznaniem, jakie względem nas macie. Wyznajcie głośno, że Moskwa nie ma żadnego prawa do panowania nad nami, a cała potęga środków cywilizacji i utrwalonych stosunków w Europie, jak dziś przeciwko nam, tak odtąd przeciw wrogom naszym się zwróci. Tą ceną tylko wiecznych obrońców w nas sobie zyskacie; tą ceną tylko polityka europejska zyszcze niewzruszone zasady. Tego tylko my od Was żądamy w imię porządku, w imię pokoju, w imię braterstwa ludów Europy.

Warszawa, d. 31 lipca 1863 r.

Adres do Napoleona.

Najjaśniejszy Panie!

Wobec zbrodni, popełnianych przeciwko ludzkości, niema stronnictw we Francji, jest tylko naród, zawsze gotowy stwierdzić solidarność ludów.

Rosja zabija Polskę. Zabija obywateli, których nasi ojcowie nazywali towarzyszami broni, którzy okazali się godnemi tego tytułu, tak w klęskach, jak i w zwycięstwach naszych.

Zabija starców i dzieci.

Zabija matki, żony i dziewice.

Umierając, wszyscy myślą o ojczyźnie i zwracają błagalny wzrok ku Francji.

I do tego rozlewu krwi Murawjew dodał barbarzyńskie okrucieństwa, które przejmują zgrozą naszą cywilizację.

Zbrodnie te wywołują łzy naszych matek, łzy naszych żon, łzy naszych sióstr i dzieci.

Czujemy, jak krew francuska wre w naszych żyłach.

Najjaśniejszy Panie!

Rozwiń chorągiew narodową i ogłoś światu, że wznosi się ona w imieniu świętej sprawy i że idzie za nią wielki naród.

Najjaśniejszy Panie!

Zbaw, zbawmy Polskę!

Podpisy robotników we Francji.

Rota przysięgi.

Przysięga składana przez powstańców w Galicji.

Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy świętej jedynemu, na wierność Narodowi, na posłuszeństwo Rządowi Narodowemu i jego władzom, na sumienne wykonanie poruczonych mi obowiązków i dochowanie powierzonej mi tajemnicy, w czym mi, Panie Boże, dopomóż i niewinna śmierci Jego męko. Amen.

Przysięga składana przez członków straży bezpieczeństwa w Galicji wschodniej.

Dla utrzymania karności i porządku w mieście, czuwania nad bezpieczeństwem organizacji narodowej i zjednoczenia wszystkich zdolnych obywateli w jeden karny zastęp ma być uformowana straż bezpieczeństwa.

Ja, polski żołnierz, przysięgam walczyć za Ojczyznę moją do ostatnich sił, do ostatniej kropli krwi mojej, znosić cierpliwie wszystkie trudy, cierpienia, niewygody i słuchać bezwarunkowo naczelników, przez Rząd Narodowy postanowionych. A gdybym nie dotrzymał tej przysięgi, niech spadnie na mnie przekleństwo współbraci i kości moje niech nie pozostaną na ziemi ojczystej.

Przysięga składana przez członków policji narodowej w Krakowie.

Przysięgam Bogu jedynemu, w imię Którego rozpoczęliśmy wielkie dzieło wyswobodzenia, że wszelkie chęci moje i prace ofiaruję Ojczyźnie i wolności.

Przysięgam, że nigdy nie zdradzę tajemnicy mi powierzonej, nie wydam brata mego pod sąd katów. W razie jakiejkolwiek zdrady, którą każdy Polak brzydzić się winien, jako największym upodleniem człowieka, niech utracę godność swoją, sumienie moje niech nigdy nie da mi spokoju i niech ulegnę najsurowszemu sądowi moich współobywateli.

«Wydawnictwo materjałów do historji powstania». T. III.

Zygmunt Chmieleński.

Zygmunt Chmieleński—to jedna z najwybitniejszych postaci powstania z r. 1863, a niewielu wodzów powstańczych porównanie z nim wytrzymać może. To wzór dowódcy partyzanckiego narodu, który dąży do zrzucenia jarzma wroga, wzór wytrwałości w klęskach i niepowodzeniach, którym nigdy pokonać się nie dawał, a czy w zwycięstwie, czy w odwrocie, zawsze bez bojaźni i strachu!

Chmieleński był młodzianem nie więcej, jak dwudziestopięcioletnim, gdy dla walki za ojczyznę porzucił szeregi wojska moskiewskiego. Czy był on tam junkrem, czy „praporem"? tego nie wiem, lecz całe jego wzięcie się i manjery naprowadzały na myśl, że on od dzieciństwa w korpusie kadeckim wychowanie odebrać musiał.

. . . *Przybył on* z Krakowa w stopniu kapitana, a dzięki współdziałaniu zacnego i dzielnego organizatora wojennego województwa, którego nazwiska z żalem wymówić nie mogę, oddział jego naprzód w Miechowskim, a potym w Jędrzejowskim urósł do jakich 400 ludzi, dobrze uzbrojonych.

W czerwcu już stoczył on kilka potyczek z Moskalami, trzymając się zawsze taktyki rozdzielania oddziału na drobniejsze części, wobec zbyt silnego nieprzyjaciela, i napadania na wroga, gdy ten ośmielił się być choć w równej mu sile.

Zwyczajnie rozdzielał on oddział na kompanje, które w promieniu paru mil się lokowały, a na znak, dany przez wodza, oddział z kilkuset wyćwiczonych ludzi do boju stawał. Przez długie miesiące ulubionym siedliskiem Chmieleńskiego był trójkąt pomiędzy Kielcami, Włoszczową i Jędrzejowem.

. . . . Już w czerwcu sława Chmieleńskiego głośną była, a Moskale z nim, tak jak z Czachowskim, liczyć się musieli.

Żołnierze jego bardzo go kochali, choć był wielce surowym dla nich, a nahajka, która go nie odstępowała, często w robocie była. Szlachta w początkach skarżyła się na niego bardzo, jako na mierosławczyka i „jakobina", śmiał on bowiem tchórzów, skrywających się po dziurach, zabierać przemocą do oddziału, a czasami opornego szlacheckiego młodzieńca i nahajem pokropił. Ale i to się utarło, gdy poznano, że było to wynikiem tylko gorącej miłości ojczyzny, połączonej z wrodzoną krewkością i szorstkością wojskową.

Nie lubił on także pochlebstwa i nigdy w nienależne mu tytuły nie ubierał się, jak to czynili chętnie inni dowódcy oddziałów.

* * *

Autor niniejszego wspomnienia przywiózł Chmieleńskiemu nominację na pułkownika i naczelnika wojennego województwa Krakowskiego. Opowiada on w następujący sposób o przyjęciu, jakiego doznał.

„Pomimo podarunku, jaki mu przywiozłem, a który nie mógł być Chmieleńskiemu nieprzyjemnym, przyjął on mnie chłodno, surowo, a nawet dość opryskliwie. Oblicze jego dopiero się wyjaśniło, gdy wszedł do pokoju adjutant jego, major Piotr Doliński, a uściskawszy mnie serdecznie, przedstawił pułkownikowi, jako swego kolegę uniwersyteckiego, który z przyczyny krótkiego wzroku musiał żołnierkę na służbę organizacyjną zamienić. Chmieleński zmienił się wtedy zupełnie, a przeprosiwszy mnie za swoje przyjęcie, rzekł:

— Myślałem, obywatelu, żeś ty młody szlachcic, który z tchórzostwa „dyplomacją" się zajmuje.

„Dyplomacją" nazywał on wszelką służbę poza obozem, żartował z niej, pojmując tylko w części i nie będąc w stanie ocenić niebezpieczeństwa, na jakie sumiennie pełniący obowiązki tej „dyplomacji" się narażał!

Do późnej nocy gawędziliśmy z Chmieleńskim, jego adjutantem i gospodarzem. Pułkownik się ożywił, rozgadał, a nazajutrz rano wydał rozkazy dla koncentrowania jego oddziałków; w kilka dni potym już poturbował Moskali gdzieś koło Rakówka.

Z długiej wtedy rozmowy widziałem, że Chmieleński nie łudzi się co do położenia. Jako szczery, głęboki demokrata, w ludzie tylko widział ocalenie Polski, lecz uznawał swą niemoc, by ten lud poruszyć. Chciałby on był jednak, żeby powstanie ogarnęło jak najszersze kręgi i cierpiał nad tym, iż wyglądało ono jakby jaka zbrojna demonstracja.

— Żalą się na mnie – mówił — że jestem szorstki i grubijański ze szlachtą, lecz czyż mogę być innym, gdy powstanie tak mało się rozwija, a młodzi szlachcice po domach siedzą. Cóż więc chcieć od chłopów? Oddziałów mało, a uciekinierów wielu! Co z Bończą zrobiono? I czyż tych tchórzów nie miałem ukarać? Powinienem był ich rozstrzelać, lecz, niestety, zbyt wielu ich było!

— Kraków jest naszą zgubą — mówił — tam się szerzy zgnilizna i demoralizacja, które do obozów przechodzą. Raz tam byłem, lecz wyjechałem stamtąd do obozu, przysięgając sobie albo zwyciężyć albo zginąć, a do Krakowa nie wrócę.

* * *

.... Oto wyznanie wiary, oto wizerunek moralny Zygmunta Chmieleńskiego.

Co rzekł, to dotrzymał.

Wygląd Chmieleńskiego nie był wcale nakazujący: szczupły, prawie-że chuderlawy, z włosami czarno-kasztanowatemi, wyglądał na lat 25 lub 26 i nie miał wcale rycerskiej miny.

Fizjognomja jego również nie była odznaczająca się, a ruchy szorstkie i obozowe znamionowały wychowanie wojskowe. W obcowaniu jednak z sympatycznemi mu osobami był uprzejmy, miły i serdeczny; mówiąc o sprawach narodowych, wpadał w zapał, a w oczach cała jego pełna poświęcenia i odwagi dusza się malowała.

— Wiem, że zginąć muszę, a więc mi wszystko jedno, gdzie zginę, bylebym spełnił mój obowiązek!

Słowa te były przez niego wypowiedziane z całym zrozumieniem i stałym postanowieniem ich dotrzymania.

Dlaczego tak nie myślały miljony naszych rodaków?

* * *

.... Chmieleński był wielce ożywiony i zajęty wyprawianiem w pochód swej małej armji, liczącej około 1200 piechoty i około 200 koni.

.... Dawał on rozporządzenia swoim podwładnym, a zwracając się do mnie, rzekł:

— Moskale z Kielc idą — jutro mamy bitwę, patrz tu, tu!—rzekł, wskazując na mapę.

— Tu, w lesie Mełchowskim, na tej polanie ich przyjmiemy: ja z mojemi na środku, Otto[1]) na lewym skrzydle, Zaremba[2]) na prawym. Moskali niewiele, bo sześć „rot”,

---

[1]) Węgier. nazwiskiem Esterhazy, zebrał oddział powstańczy w Olkuskim, liczący około 400 ludzi, poczym połączył się z Chmieleńskim.

[2]) Major Zaremba otrzymał tymczasową komendę nad oddziałem Iskry (Sokołowskiego), który za gwałty i rozboje został przez Rząd Narodowy oddany pod sąd wojenny i rozstrzelany. Przyp. Red.

dragoni i kozacy—to tyle, co nas. Ale nasza pozycja dobra, i jeżeli żołnierze nie zawiodą, to się ich zwycięży...

Jak rzekł, tak się stało, lecz nie przeczuwał on paniki, jaka obejmie żołnierzy na widok śmierci wodza.

Nazajutrz rano, t. j. 30 września, pułkownik moskiewski Schuman, następca Czengerego w dowództwie pułku, zaatakował Chmieleńskiego na stanowiskach naprzód wskazanych.

Walka tyraljerska trwała już parę godzin, gdy Moskale atakujący cofać się zaczęli.

— Naprzód! — zabrzmiała komenda i dzielny Otto i Zaremba na czele swoich posuwać się zaczęli — gdy pierwszy, trafiony kulą w skroń, padł na miejscu, a drugi, z dwiema kulami w brzuchu, na bok odprowadzony być musiał.

Zamieszanie i popłoch powstały na obu skrzydłach, których środek powstrzymać już nie był w stanie.

Chmieleński musiał się cofać, zasłaniając swym oddziałem odwrót. Moskale jednak nie śmieli bardzo nacierać, tak, że nasi ranni i zabici na polu nie zostali.

Pogromu nie było, ale była klęska przez śmierć dwuch wodzów i rozproszenie, właściwe partyzantce.

Chmieleński się wycofał przez Lgotę, Wzdów, Białą-Błotną i Szczekociny w Jędrzejowskie, gdzie oddział swój na drobne części znów podzielił.

Moskale za nim podążyli, lecz w lasach około Secymina i Radkowa wszelkie ślady dla nich się zatarły.

* * *

Drugiego czy trzeciego dnia, na cmentarzu w Lelowie pochowaliśmy zwłoki dwuch poległych dowódców, w jednym grobie obok siebie złożone.

Otto miał tylko małą trójkątną rankę na prawej skroni, a Zaremba, po dostaniu dwuch kul, przybył jeszcze na koniu do zajazdu w Lelowie, żądając pokoju, a zsiadając z konia, padł, by więcej się nie podnieść.

Czy też tradycja tych dwuch grobów przechowała się dotąd w Lelowie?

* * *

Co Mełchów popsuł, trzeba było naprawić. Lecz na to trzeba było znów parę tygodni.

Zdemoralizowany oddział Iskry przestał istnieć jako całość. Chmieleński reorganizował się w lasach między Włosz-

czową a Jędrzejowem, a my w Olkuskim zbieraliśmy do kupy były oddział Ottona w lasach Białej-Błotnej. Na miejsce poległego dowódcy przysłano z Krakowa majora Faustyna Grylińskiego.

Był to młody człowiek około lat 30, wzrostu dobrego, z wąsikami i napoleonką, elegancki, wymuskany, wcale na obozowca nie wyglądał. Był on uczniem owej szkoły wojskowej w Cuneo, założonej dla Polaków pod przewodnictwem Mierosławskiego, a potym Wysockiego.

Walczył on pod Langiewiczem i Czachowskim, a sam nawet miał oddział w lasach Świętokrzyskich.

...Było dobrze pod jesień, bo noce były chłodne, a czas dżdżysty, gdy oddział Chmieleńskiego się zreorganizował, a pułkownik powziął myśl zrobienia niespodzianki Moskalom, poszukującym go, przez napad, którego podejrzewać nie mogli.

...Rozkazał więc Grylińskiemu zbliżyć się do niego ze swoim oddziałem.

...Przy skromnej obozowej zakąsce, do której zasiedli obaj wodzowie, dowiedziałem się, że Chmieleński zamierza napaść niespodzianie na włóczący się w tamtych stronach oddział moskiewski majora Bentkowskiego, Polaka, zaprzańca, opoja, zbója i podpalacza Małogoszcza.

Zostawiłem więc dowódców, zastanawiających się nad sposobami uskutecznienia planu, a około północy wyruszyłem z Grylińskim na spotkanie jego oddziału, który nadchodził.

Powróciłem w Olkuskie i już więcej Chmieleńskiego nie widziałem.

— — — — — — — — — — — —

Następnej nocy, t. j. 19 października, wykonano umówiony napad na wieś Oksę, lecz czy z przyczyny niejednostajności ataku, czy też z przyczyny silnej pozycji moskiewskiej napad ten był odparty.

Grylińskiego widziałem, jak wracał do Krakowa z ręką przestrzeloną przez kulę, a jego oddział więcej się w Olkuskim nie pokazał.

Chmieleńskiego wkrótce Rząd Narodowy mianował pułkownikiem i szefem sztabu gienerała Bosaka, jako naczelnika wojennego dwuch województw: Sandomierskiego i Krakowskiego, a z tym środek ciężkości działalności jego przeniósł się w góry Świętokrzyskie.

Dwie krwawe bitwy pod pamiętnemi dla mnie Ociosenkami utrwaliły sławę jego imienia.

Walczył on, jak lew, a zginął po bohatersku, dotrzymując słowa, bo na polu bitwy pod Bodzechowem 16 grudnia, będąc ciężko ranny, został ujęty i prawie umierający 19 grudnia 1863 r. przez wrogów w Radomiu rozstrzelany został.

Cześć i sława mu!

(Urywek ze wspomnień Bolesława Anca.
W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego str. 43).

Bitwa pod Żyżynem.

... Naraz stoczono bitwę tak niepomyślną, rzucającą tak ponure światło na organizację i siłę rosyjskiej armji, że wszystkie rosyjskie serca poruszyły się do głębi. Wszyscy, jak długa i szeroka święta macierz Rosja, spojrzeli z zadziwieniem po sobie. Co to jest? garstka powstańców, dzieciaków i obdartych kosynjerów, umiejących zaledwie broń w ręku utrzymać, zdobywała na regularnej, po europejsku zorganizowanej i wyćwiczonej armji furgony i działa! Tu już nie pomagały żadne złagodzenia i upiększenia? Niepodobna było tego wypadku pokryć tajemnicą urzędową. Zresztą i czasy coraz bardziej się zmieniały...

Dnia 7 lipca komendant twierdzy Dęblina otrzymał z Lublina następujący rozkaz: „dziś wieczorem nadejdzie do Kurowa kolumna wojska, z którą wasza ekscelencja może wysłać etap 79 ludzi, przeznaczony do Lublina". Uwaga. „W tej chwili otrzymałem z Garwolina wiadomość, że dnia 5 sierpnia wyprawiono stamtąd pod eskortą pocztę warszawską (2 furgony). Przypuszczając, że takowa stanęła wczoraj w twierdzy, upraszam o wyprawienie jej do Kurowa wraz z etapem d. 8 sierpnia".

Ani dowódca twierdzy, ani gienerał Chruszczew nie wiedzieli jeszcze o zjawieniu się w okręgu silnych oddziałów powstańczych. Zaraz jednak po wysłaniu rozkazów do Dęblina nadeszły do sztabu okręgowego sprawozdania pułkownika Miednikowa o bitwie pod Chruśliną i od pułkownika Cwiecińskiego, że postępuje za „silnemi oddziałami". Gienerał Chruszczew wysłał wskutek tego natychmiast szyfrowaną depeszę do Dęblina, polecającą wstrzymanie ekspedycji. Depeszę tę powstańcy przejęli. Lecz komendant dęblińśki i bez depeszy nie wyprawiłby poczty, gdyby był otrzymał rozporządzenie namiestnika o eskortowaniu poczty, gdyż nie miał pod ręką dostatecznej liczby kozaków. W twierdzy albowiem znajdowało się w tej chwili tylko 36, gdy rozporządzenie mówiło wyraźnie o całej sotni.

Rozkazy te, jak już powiedziano, gdzieś się zaprzepaściły i nie otrzymano ich na czas ani w Dęblinie, ani też w Radomiu i Lublinie. Wszystko się więc złożyło na to, że poczta, wioząca przeszło 200,000 rubli srebrem, i etap, prowadzący 79 ludzi, wyruszyły z Dęblina w nocy z dnia na 9 sierpnia pod opieką 2 kompanji piechoty, 2 dział i 14 ko-

zaków. Kolumną dowodził zdolny i śmiały, lecz jeszcze za mało doświadczony porucznik Laudański, Polak. I tu fatalność zrządziła, że nie było w danej chwili w twierdzy żadnego starszego i doświadczeńszego oficera, a mogący go zastąpić major fortecznego bataljonu dopiero d. 10 sierpnia powrócił z Kozienic do Dęblina.

Tymczasem silne oddziały powstańcze posuwały się w kierunku północnym, bez ściśle wytkniętego celu. Nie mogły się zwrócić przeciwko Ćwiecińskiemu, gdyż cierpiały na dotkliwy brak amunicji, szczególnie brakło kapsli. Siły ich były znaczne i składały się: a) z oddziału gienerała „Kruka", liczącego 200 koni; b) z oddziału Grzymały, 500 ludzi piechoty; c) z oddziału Jankowskiego, 800 ludzi piechoty; nadto z mniejszych oddziałów: Ruckiego, Lutyńskiego, Jarockiego, Krysińskiego i Wierzbickiego, razem do 3000 strzelców, kosynjerów i jazdy.

Brak amunicji doprowadzał Kruka do rozpaczy i już zamyślał rozpuścić piechotę, a z jazdą przebić się do Galicji. Nikt z naczelników temu się nie sprzeciwiał. Jednak gdy dowiedziano się o wysłaniu z Warszawy znacznej poczty pieniężnej, naczelnicy oddziałów, a szczególniej Grzymała i Jankowski, zaczęli nalegać na wojewodę, by wstrzymał się jeszcze czas jakiś z rozpuszczeniem oddziałów i, korzystając z zebranych sił, popróbował szczęścia w zdobyciu dla powstania tak znacznych funduszów.

Mówią, że właściciel Opola, bogaty obywatel Wydrychiewicz, słysząc od Kruka o tym braku amunicji, pojechał do Lublina i tam za pośrednictwem usłużnych Żydków, płacąc przytym, co sami żądali, nabył znaczną ilość rosyjskich ładunków i kapsli (podobno 15000 sztuk) i to wszystko przywiózł do obozu na trzy godziny przed bitwą! Jeżeli to prawda (a zdaje się, że wistocie prawda), to Rosjanie zostali rozgromieni za pomocą swej własnej amunicji!

Lecz mniejsza, skąd się wzięły naboje, dosyć, że nadeszły, i oddziały nie miały powodu rozchodzić się, lecz, owszem, z całym zapałem wykonały zasadzkę dla opanowania zapowiedzianego transportu pocztowego. Dla uskutecznienia napadu wybrano lesistą miejscowość pod Żyżynem, gdzie porobiono zasieki i silnie je obsadzono. Pułkownik Ćwieciński w sile dziewięciu kompanji piechoty nocował o 24 wiorsty, major zaś Lebedyńskij z dwiema kompanjami piechoty tylko o 13 wiorst od Żyżyna, o czym Kruk doskonale wiedział

i rozliczał, że potrafi rozprawić się z samą eskortą i ujść, nie zawiązując walki z innemi kolumnami. Z tych też względów postanowił tylko do godz. 5 rano oczekiwać na nadciągającą pocztę, a gdyby do tego czasu kolumna się nie zjawiła, powstańcy mieli się cofnąć w dalsze lasy.

Porucznik Laudański tymczasem spokojnie maszerował od Dęblina i na 18-ej wiorście od tej twierdzy przychwycił dwuch zbrojnych powstańców, którzy wózkiem gdzieś śpiesznie jechali. Na zapytanie, skąd i dokąd jadą, odpowiedzieli, że pośpieszali za oddziałem Jankowskiego, który o świcie przeszedł do Baranowa, odległego o milę od miejsca, w którym ich przychwycono. Laudański podejrzewał, że ci panowie nie mówią prawdy (jakoż istotnie jechali do Kruka), że oddział Jankowskiego, mający liczyć niespełna 250 ludzi, mógł być daleko silniejszy i wcale nie Jankowskiego; chciał się zatrzymać w miejscu i, nim zbierze dokładniejsze wiadomości, tymczasem zawiadomić komendanta w Dęblinie, lecz przyszło mu na myśl, że jest Polakiem, że, jeśli zatrzyma się na samą wiadomość o blizkości powstańców, „zostanie posądzony przez żołnierzy o zdradę, że mogą mu odmówić posłuszeństwa i dopuścić się ekscesów, które w przyszłości mogą mieć gorsze następstwa, niż śmiały marsz naprzód." Wzgląd ten przeważył i skłonił go do działania wbrew kombinacjom zdrowego rozsądku i obowiązującym w podobnych razach przepisom wojskowym. Sformował tylko kolumnę w bojowy porządek i ruszył dalej.

Była to ostatnia fatalna okoliczność.

Już było po piątej rano, gdy Laudański zbliżył się do lasu żyżyńskiego. Oddziały, mające rozkaz oczekiwania tylko do godziny piątej, zaczynały się już niepokoić i dowódcy z trudnością powstrzymywali je na miejscu. Nareszcie kolumna rosyjska się ukazała...

Gdy artylerja i furgony zrównały się z zasiekami, zostały przywitane morderczym ogniem, który odrazu prawie wybił wszystkie konie z pod dział i furgonów. Kolumna stanęła. Działa odprzodkowano i skierowano w stronę, skąd szły najgęstsze strzały. Laudański rozrzucił w tyraljery pluton saperów i pluton dęblińskiej załogi po prawej ręce, po drugiej zaś stronie wykonał toż samo chorąży Toll.

Reszta wojska pozostała dla przykrycia dział i furgonów, lecz żołnierze dęblińskiej załogi, przeważnie rekruci, pokładli się do rowów przydrożnych i żadna siła nie była w stanie

ich stamtąd poruszyć. Dowodzący etapem major Siemionow rąbał leżących szablą, jeden z kozaków okładał nahajką, sam Laudański groził bagnetem — wszystko napróżno!

Mała tylko garstka żołnierzy wzięła udział w odpieraniu ataków powstańców, a i ci tak stracili przytomność, że przy nabijaniu broni kładli do luf ładunki kulami na dół, tak, że, jak potym sprawdzono u tych, którzy wrócili z bronią do Dęblina, znaczna część karabinów było zagwożdżona fałszywym nabijaniem.

Artylerja i saperzy po bohatersku spełnili swą powinność. Po pierwszych strzałach armatnich powstańcy nieco się cofnęli. To umożliwiło Laudańskiemu wykonanie prawym skrzydłem małego ruchu naprzód. Lewe jednak skrzydło strasznie cierpiało pod celnym ogniem powstańców, a wkrótce też zginął chorąży Toll. Gdy to spostrzegł Laudański i widząc, że działa i furgony pozostały bez przykrycia, zaniechał wszelkich pokuszeń zaczepnego działania i wszystkie swoje siły skupił na obronę furgonów. Odparł 8 gwałtownych ataków przeważających sił powstańczych.

Była już godz. 10 rano; pozostali żołnierze oświadczyli, że amunicja im już wyszła (mieli po 60 ładunków); z dział dano 140 strzałów. Ostatnie strzały osobiście uskuteczniał oficer Nikolskij, gdyż artylerzyści wyginęli. Dla braku dalszej amunicji i działa umilkły. Laudańskiemu pozostała jedyna droga ratunku: przebić się z bagnetem w ręku przez otaczających go powstańców; kazał więc zagwoździć działa i przemówiwszy słów kilka do żołnierzy, sformował kolumnę do ataku i poprowadził ją przez gęste, lecz bezładne tłumy powstańców. Z resztką tą dotarł szczęśliwie do majora Lebedyńskiego, który dopiero o godz. 10 rano wystąpił z Kurowa, mimo że w Kurowie słyszano doskonale strzały i już o godz. 7 rano żołnierze rwali się „na pomoc swoim". Do opuszczonych furgonów pocztowych dopadli pierwsi ludzie z oddziału Krysińskiego. Gdy przybył Kruk, oświadczył mu Krysiński, że „pieniądze ma przy sobie, w sumie 140000 rb. srebrem." Kruk polecił je oddać do rąk obywateli: Deskura i Gustawa Zakrzewskiego, by je odwieźli do Lwowa; jakoż wpłynęły one wkrótce do kasy komitetu lwowskiego do rozporządzenia Kruka.

...W raporcie, przesłanym rządowi narodowemu, Kruk podaje straty Rosjan na 181 zabitych, 132 rannych i 150

wziętych do niewoli. Dalej podaje: „po tym zwycięstwie zostałem prawie bez amunicji i dlatego nie mogę skorzystać z drugiej, jaka się nadarza, sposobności ponownego rozgromienia Rosjan.” [1])

(M. Berg — Wyjątek z III t. «Zapisków o powstaniu polskim 1863 i 1864 r. — str. 249, 251, 257 i 258»).

---

[1]) Berg, Rosjanin, urzędowy historjograf powstania, podaje względnie bezstronny opis bitwy pod Żyżynem. Należy tylko zmniejszyć siły powstańców, podane przez Berga, a powiększyć siły moskiewskie, oraz liczyć się z wrogiemi insynuacjami, które autor stara się zaszczepić w czytelniku co do uczciwości tak żołnierzy, jak wodzów naszych w kwestji zabranych Moskalom pieniędzy.

Zygmunt Sierakowski.

Zygmunt Sierakowski pochodził z rodziny, w której były bardzo silne tradycje walk o niepodległość. Ojciec jego zginął w r. 1830. Za czasów uniwersyteckich Sierakowski wywierał wielki wpływ na młodzież w kierunku patryjotycznym i rewolucyjnym. W r. 1848 chciał się dostać za granicę po wiadomości i rozkazy. Zdradzony przez najętego furmana, który go miał przewieźć do Galicji, został zaaresztowany i stawiony w Petersburgu przed komisję śledczą sławnego III wydziału kancelarji cesarskiej. Uniesiony młodzieńczym zapałem, zaczął gien. Dubeltowi i hr. Orłowowi wykładać swoje teorje. Szczerość swą przypłacił służbą żołnierską w orenburskim bataljonie, gdzie wkrótce stał się duszą kółka, złożonego z Polaków, również skazanych na służbę w szeregach armji moskiewskiej. Po śmierci cesarza Mikołaja Sierakowskiemu udało się Orenburg opuścić i dostać się w r. 1857 do Petersburga, do akademji wojskowej. Dzięki swym zdolnościom, zajął wkrótce wybitne stanowisko w sztabie gieneralnym i wszystkie swe siły poświęcił przeprowadzeniu reformy kodeksu karnego, obowiązującego w armji rosyjskiej, mianowicie zniesieniu kary cielesnej. Wysyłany dwukrotnie za granicę, badał procedurę karną w armjach europejskich i starał się dowieść różnym mikołajewskim gienerałom, wierzącym tylko w pałkę, że karność da się utrzymać za pomocą łagodniejszych środków.

... Sierakowski, po powrocie do Petersburga, pracował dalej przy ministrze wojny nad reformą więzień, urządzaniem kompanji dyscyplinarnych i t. p., kiedy gwałtami Moskwy nad Wisłą przyśpieszone powstanie wybuchło w Warszawie. Całym życiem Sierakowski dowodził, że kochał ludzi i pragnął ich dobra, gotów poświęcić się za nie; w pracach ostatnich lat kilku dążył do celów czysto humanitarnych, ale nigdy, ani na chwilę, nie mógł przestać być Polakiem i w tym świecie, który chętnie wyobraźnią i myślą swoją ogarniał, najdroższą mu zawsze i najbliższą była ta najnieszczęśliwsza ojczyzna. W chwili tak stanowczej uczuł, że wszystkie jego siły do niej przedewszystkim należą. Miała prawo wymagać, żeby zdobyte w ciężkim życiu doświadczenie i naukę na jej usługę teraz obrócił. Jak, będąc młodzieńcem, życie swoje gotów był jej oddać w ofierze,

tak teraz świetną, indywidualną w przyszłości, pozycję, a co największa domowe, zaledwie skosztowane szczęście na jej ołtarzu złożył.

Powstanie przygotowywało się na Litwie. Narbut już w lidzkim powiecie broń dobył, potrzebowano zdolnych oficerów. Sierakowski nie wahał się i przybył do Wilna. Poruczono mu dowództwo w województwie Kowieńskim. Pożegnawszy żonę, wyruszył Zygmunt dla objęcia go na miejscu. Nim jednak do boju wystąpił, pamiętny dobrych stosunków z ministrem i prawdziwych jego względów, napisał do niego list, w którym wypowiedział, że póki tylko mógł, służył rządowi uczciwie, dziś jednak na głos ojczyzny głuchym pozostać i wobec walczących braci służyć w armji moskiewskiej nie może, a walkę dzielić musi; podaje się do dymisji i oświadcza, iż od tej chwili uważa siebie za uwolnionego od wszelkich względem rządu zobowiązań. Kończył temi słowami: „Może za kilka tygodni podpiszesz pan na mnie wyrok śmierci, ale i wtenczas nie będziesz mógł odmówić mi szacunku."

Powstanie, kierowane przez rząd niewidzialny i nikomu nie znany, rozpoczyna się pod naciskiem zalewającego cały kraj nieprzyjaciela, tę odrazu miało właściwość, że wszystko się w nim działo jakby bezimiennie. Ludzie, występujący już do jawnego czynu, do boju krwawego, kryli się najczęściej pod przybranym imieniem, każdy o swojej osobistości zapominał. Sierakowski przybrał imię Dołęgi, pod którym przez cały czas swej krótkiej kampanji był znany.

...Naznaczony przez Wydział Litewski wojewódzkim kowieńskim, Sierakowski-Dołęga wyszedł z Kowna zaledwo w towarzystwie kilku ludzi, ale województwo w znacznej części było już zorganizowane; Jabłonowski, któremu ogólne dowództwo nad nim zrazu powierzone było, już był sformował kilka oddziałów, sam w poniewieskim powiecie był już dwie szczęśliwe stoczył potyczki; w okolicach Kiejdan Szyling z rozkazu Jabłonowskiego utworzony oddział zdał był dymisjonowanemu majorowi Kuszlejce, w powiecie rosieńskim organizował się Cytowicz, w rogowskiej puszczy Dąbrowski i Kołyszko niedaleko Kowna próbował szczęścia, a ks. Mackiewicz, jako kapelan obozowy, wyprowadziwszy do lasu swoich parafjan, rozgrzewał pobożnego ducha żmudzkich włościan. Żywioły były gotowe i dlatego samo przybycie Dołęgi, którego imię wielką miało wziętość i już było

na Litwie szeroko znajome, przyczyniło się do rozszerzenia powstania. Wielu w nim jednym widziało rękojmię powstania, młodzież ze wszystkich stron garnąć się do niego zaczęła i oddział wzrastał.

Przybyło z nim razem dwuch zdolnych oficerów: kapitan artylerji Laskowski i Antoniewicz, który długie lata w obozach na Kaukazie spędził. Po objęciu oddziału i pierwszym do niego przemówieniu wkrótce Dołęga otrzymał wiadomość o zbliżającym się nieprzyjacielu; gotował się też zaraz do odporu, a choć wiadomość okazała się mylną, przytomność umysłu, jaką okazał, i bystrość rozporządzeń wlały w powstańców wiarę w jego zdolności i podniosły ich ducha.

...Jeżeli partyzanta w ogólności, według prawideł nauki wojskowej, sądzić nie można, to w ostatniej naszej walce mniej zapewne, niż kiedy, prawidła te zastosowywane być mogły. Powstanie wybuchło w kraju, bardzo mało albo zgoła do niego nieprzygotowanym, myśliwską broń nawet rząd rosyjski przed rozpoczęciem zbrojnych ruchów odebrał; ukryte przed jego czujnością dubeltówki lub szable małą zaledwo część niewielkich oddziałów uzbroić mogły, stąd dowódcy oddziałów w pierwszych chwilach ich sformowania o zdobyciu broni myśleć musieli i albo ją tworzyć z zasobów, których sam kraj dostarczał, przekuwając rolnicze kosy na broń żołnierską, albo też nadziei otrzymania jej z zagranicy wszystkie inne plany, chociażby najświetniejsze, poświęcać.

Prócz tego, kraj, zalany przez nieprzyjaciela, w lasach swoich jedyne posiadający warownie, nie mógł walczącym za jego wolność synom innego otworzyć przytułku, chociażby na czas najkrótszy, a najnieodbiciej potrzebny dla wyuczenia się wszystkich najelementarniejszych dla żołnierza rzeczy, jak: obejścia się z bronią, utrzymywania jakiegokolwiekbądź szyku, sygnałów i t. p. Dlatego żołnierz, dzisiaj zaledwo zaciągnięty, wiedząc, że jutro atakowany być może, każdą wolną chwilę ćwiczeniom wojskowym poświęcać musiał, instruktora najczęściej w tymże samym tylko dowódcy swoim znajdując.

A kiedy przyszło do boju, tenże sam dowódca nie mógł znowu poprzestać na kierowaniu nim tylko, przeciwnie, najczęściej własną osobą w najniebezpieczniejszych miejscach walczyć musiał i co chwila z dowódcy stawać się prostym żołnierzem, żeby tu nauczyć, tam własnym przykładem za-

grzać, tu chwiejących się podtrzymać, tam dopilnować spełnienia wydanego rozkazu.

Wśród tych wszystkich trudności Dołęga zrozumiał, że duch ludzki, miłością Boga i ojczyzny rozgrzany, był prawie jedynym materjałem, z którego wszystkie inne, zwykle każdemu wodzowi na rozkazy służące, wydobyć był powinien; rozpłomienienie więc tego ducha, zjednanie, jak można, najszerszej dla powstania podstawy za główne swoje zadanie uważał, w to całe swe siły, całego ducha włożył. Do tego też może i przeszłym swym życiem i całym usposobieniem swoim najbardziej był uzdolniony. Bujna wyobraźnia, połączona z dziecięcą niemal rzewnością serca, duch łatwo się rozpłomieniający i udzielający drugim zapału, którym tchnął cały, to były główne rysy jego charakteru. Od lat młodzieńczych zawsze lud kochał; na Ukrainie z pasiecznikami, na Litwie ze staremi gospodarzami najchętniej przestawał; tę miłość ludu przyniósł dziś z sobą i przy każdym zetknięciu z nim z tej skarbnicy serca umiał wydobyć uczucia i wyrazy, które do prostych serc przemawiały i niewoliły je. Straciwszy lata całe nad ulżeniem losu żołnierzy rosyjskich, nad uwolnieniem ich od kary cielesnej, później zajęty ulepszaniem więzień, znał wszystkie boleści wydziedziczonych na ziemi, pieścił w sercu ideały lepszej, sprawiedliwszej, prawami miłości rządzącej się społeczności; to też dzisiaj, powołując naród do boju za ojczyznę, za swobodę, chciał ducha swego weń natchnąć i podnieść go do tego ideału.

Chciał, żeby poczuli, że jeżeli zwyciężą, to wszystkim w odzyskanej ojczyźnie będzie dobrze, bo ta ojczyzna będzie już lepszą, Bożą myślą opromienioną społecznością. W obozie jego nie było kar żadnych; raz tylko ukarał dowódcę plutonu za uderzenie żołnierza, do wszystkich odzywał się słowami „serce" lub „bracie", starcom zwyczajne uszanowanie, jakie dla wieku miał w duszy, okazywał chętnie. Jeżeli kiedy w tych demonstracjach była przesada, to fałszu w gruncie nie było nigdy i czuł to każdy. Nie chciał terorysować, jak, niestety, niejeden z dowódców powstania, ale pochwycić za sobą i unieść. Nie był to umysł organizacyjny, ale był człowiek bardzo często natchniony i jako taki działał. Jeżeli nie mógł w krótkich dniach swojej kampanji, które poprzedziły klęski, wywołać i zorganizować sił, które i po nim wytrwały opór stawić i walkę uporną toczyć byłyby

w stanie, to ducha ludu do głębi rozbudził i pewno w pokoleniach całych tych wiosek, przez które przechodził, zostawił niezatarte wrażenie, rzucił nasiona, które w duszach kiełkować będą.

Wzmocniony oddziałami ks. Mackiewicza i Maleckiego, dowiedziawszy się, iż trzy kompanje moskiewskiej piechoty wyszły z Poniewieża dla szukania go w lesie pod Gienetyniami, niedaleko Rogowa, 6 kwietnia urządził zasadzkę, i na niewielkiej polance, zręcznie otoczywszy nieprzyjaciela, zadał mu klęskę: 80 żołnierzy trupem położył, kawalerję moskiewską w bagna wpędził i obóz ich cały zabrał. Uciekający Moskale roznieśli przesadzone wieści o jego zwycięstwie, co ducha w okolicy podniosło, rzucając popłoch na nieprzyjaciela. To mu pozwoliło przez cały tydzień swobodnie organizować się w folwarku Knebie, niedaleko Korsakiszek, a potym, podzieliwszy się na trzy kolumny, bo już przeszło 2,000 ludzi liczył, w dalszą puścił się drogę. Dążył ku Birżom, majętności Tyszkiewiczów, już na granicy Kurlandji położonej.

Dlaczego obrał ten kierunek? to chyba kiedyś wytłumaczą jego raporty, do Wydziału Litewskiego posyłane, jeżeli te ocalone zostały. Może Libawa, którą czasem przed najbliższymi wspominał, była celem tej wyprawy, bo właśnie w tym czasie spodziewano się wylądowania na brzegach Żmudzi wyprawy Łapińskiego, która miała broń i amunicję dla powstania litewskiego przyprowadzić; dlatego, jakeśmy wspomnieli wyżej, przy niedostatku broni, wszędzie czuć się dającym, wiele najpiękniejszych planów i korzyści poświęcić się godziło. Droga Dołęgi szła przez miasteczka i wsie parafjalne: Subocz, Kumaje, Soły, Skopiszki, Ponedel, Poniemuń i Popiel. Był to prawdziwie tryumfalny pochód. Zabezpieczony po obu skrzydłach oddziałami ks. Mackiewicza i Kołyszki, poprzedzony rozgłosem bitwy pod Gienetyniami i popłochem, jaki to zwycięstwo rzuciło na Moskali, Dołęga szedł nie przez lasy, ale bitemi drogami, przez wsie i miasteczka.

Wysłani naprzód powstańcy uwiadamiali mieszkańców o nadejściu oddziału, tłumy zbierały się przy kościołach, księża z procesją wychodzili na spotkanie. Dołęga zsiadał z konia, przyjmował błogosławieństwo kapłana, za procesją wchodził do skromnej wiejskiej świątyni i, ucałowawszy stopnie ołtarza, klęczący, z chorągwią swoją w ręku, słuchał

nabożeństwa; kapelan obozowy, ks. Peza, wstępował na ambonę, przemawiał do ludu, w prostych wyrazach tłumacząc mu cel powstania, którym było szczęście i swoboda wszystkich; śpiewano później Te Deum, a powtórne błogosławieństwo kapłana, już całemu udzielone zastępowi, kończyło obchód.

Lud cisnął się tłumnie, znosząc żywność i dostarczając wszystkiego, co było potrzebne; kobiety przyprowadzały dziatwę, żeby się obrońcom wiary i ojczyzny przypatrzyła; pobożni Żmudzini, widząc powstańców, poczynających z Bogiem, a nie dopuszczających się żadnych gwałtów, wierzyli, iż sprawa ta musi być świętą. W jednym z tych miejsc Dołęga, spostrzegszy starca, zalewającego się łzami, ukląkł przed nim, prosząc go o błogosławieństwo; w Sołach inna znowu czekała go demonstracja. Tam dziatwa wiejska otoczyła go, sypiąc pod nogi kwiaty, jakie w tej wczesnej porze roku znaleźć mogła, i ajer, zwyczajnie przez lud wiejski w kościelnych uroczystościach rozsypywany.

Oddział wzrastał ciągle, zapał był tak wielki, iż, gdyby broni miano pod dostatkiem, całe pułki z łatwością formować by się dały. Dołęga większą część ochotników odsyłać musiał do lepszych czasów, kiedy środki uzbrojenia ich posiadać będzie; tymczasem dzielił swój oddział na osiem kompanji, tworząc z nich rodzaj kadrów przyszłych ośmiu pułków, a kosy, o ile możności, na broń wojenną przerabiać kazał. Był dobrej otuchy, spodziewał się broni z zagranicy, a usposobienie ludu podnosiło własnego jego ducha. Były to niezawodnie najszczytniejsze chwile jego życia. Wkrótce po nich miało nastąpić męczeństwo.

Idąc ku wskazanemu innym oddziałom miejscu, Dołęga, im bardziej się zbliżał do Kurlandji, tym mniej przyjazne znajdywać zaczął usposobienie wśród ludu. Łotysze nie tylko nie wychodzili na spotkanie powstańców, ale, przeciwnie, kryli się w lasach, żywność unosząc ze sobą; przewodnicy nieraz mylne wskazywali drogi, oddział nużył się często długiemi marszami. Gienerał rosyjski, Ganecki, gromadził tymczasem siły. Zaledwo awangarda Kołyszki o milę za Birżami połączyła się w małym lasku z Dołęgą, już forpoczty moskiewskie rozpoczęły ogień; nadszedł wkrótce major Merlin z dwiema kompanjami, i walka przeciągnęła się kilka godzin. Przed nocą Moskwa cofnęła się ku Madejkom, a Do-

łęga z Kołyszką rozłożył się w gęstej puszczy, gotując się do stanowczej nazajutrz bitwy.

Ks. Mackiewicza jeszcze nie było. Mając najdłuższą do przebycia drogę, jeszcze na miejsce zdążyć nie mógł. Nieatakowany do godziny 10-ej, Dołęga zwinął obóz i poszedł w głąb puszczy, szukając dogodniejszej dla siebie pozycji; znalazszy ją, zaledwo szeregi swoje uszykował i przemówił do kosynjerów, kiedy Moskale przypuścili atak. Były tam zgromadzone wszystkie ich siły, 3,000 ludzi wynoszące, a wzmocnione jeszcze dostarczonemi przez okolicznych kurlandzkich właścicieli strzelcami, których do 200 liczą, a którzy, znając doskonale miejscowość i strzelając celnie, wielkie powstańcom zadawali klęski.

Walka uporna trwała kilkanaście godzin, rozmaitym przeplatana szczęściem, gdy waleczny Antoniewicz, przez lat 9 żołnierz, a później oficer na Kaukazie, z 40-tu innemi poległ, dowódca kosynjerów, Paweł Wiwulski, ciężko ranny, nareszcie sam Dołęga, kulą w kość pacierzową ugodzony, dalej dowodzić nie mógł; amunicji powstańcom zaczęło braknąć.

Klęska stała się widoczną. Dołęga, wskutek rany nie mogąc się ruszyć i leżąc na murawie, przywołał kosynjerów, którzy się w dniu tym najbardziej odznaczyli, a dziękując im za męstwo, zdał dowództwo Laskowskiemu, a sam pożegnał ich, zapewniając, iż prędko powróci. W nocy nadszedł ks. Mackiewicz, ale już było za późno. Poniesiona klęska i na jego oddział źle podziałała, musiano myśleć o odwrocie. Laskowski cofnął się do poniewieskiego powiatu. Rannego Dołęgę odwieziono do poblizkiego dworku obywatela Kościałkowskiego. Było to d. 21 i 22 kwietnia.

Po zwycięstwie Moskwa rozbiegła się po okolicy, tropiąc rozbitych powstańców, szukając rannych i zdobyczy. Sierakowskiego, który, jak wszędzie, tak i tutaj, przywiązywać do siebie ludzi umiał, kilku najbliższych opuścić w tym niebezpieczeństwie nie chciało; znajdował się pomiędzy niemi Kołyszko i Kopakowski. Wszyscy razem nazajutrz przez oddziałek Moskali, przebiegający okolicę, w dworku Kościałkowskiego odkryci, razem z rannym wodzem aresztowani i do Wilna pod strażą odwiezieni zostali.

Wieść o ujęciu Sierakowskiego, jak piorun, uderzyła wszystkich, którzy w nim wielkie pokładali nadzieje; przyjęto ją na Litwie jako klęskę narodową. Przywiezionego do Wil-

na z powodu ciężkiej rany umieszczono pod strażą w szpitalu i rozpoczęło się śledztwo. Murawjew postanowił go zamordować, ale wprzód chciał z więźnia wydobyć zeznania. Między wojskowymi, napełniającemi Wilno, między adjutantami nawet litewskiego wielkorządcy byli dawni znajomi; przysyłano ich z namowami, prócz tego grożono, łudzono, rozmaite robiąc obietnice.

Sierakowski zachował najwyższą godność charakteru, żonie zalecił, aby żadnych kroków w celu ocalenia go nie przedsiębrała, bo te, nie mogąc nic pomóc, tylkoby jej i jemu ubliżały; sędziom swym odpowiadał, że ich za sędziów swoich nie uznaje i tłumaczyć się przed niemi nie będzie. Zapytywany o plany wojskowe, mawiał: „We dwa tygodnie miałem 2,000 ludzi, we dwa miesiące miałbym 10,000 litewskiej armji." Żadnego imienia wróg z ust jego nie pochwycił; żadnej chwili słabości lub upadku nikt nie dopatrzył.

Spokojny i pewien, że cała krew, dzisiaj przelana, obfite kiedyś żniwo dla ojczyzny przyniesie, żył myślą w tej przyszłości, w chwilach ostatniej próby starając się zachować całą godność. Dowódca jednego z oddziałów Sierakowskiego, Bolesław Kołyszko, ujęty, jakeśmy powiedzieli, z nim razem, powieszony został w Wilnie d. 9 czerwca; niewyleczona rana odwlekała egzekucję Sierakowskiego. Niektórzy myśleli, że przez wzgląd na wielkie usługi, jakie oddał armji rosyjskiej, gdy był w jej szeregach, nie pozbawią go życia; wysoko położone w Petersburgu osoby starały się o to, przychodziły do Murawjewa telegramy, zalecające, aby więźnia rozstrzelać nie kazał. Murawjew odpowiedział, że Sierakowskiego nie rozstrzela, lecz powiesi.

D. 2-go czerwca o godz. 11-ej zrana wyrok ten spełniony został ze zwykłym okrucieństwem. Rannego przywieziono pod szubienicę; ciż sami żołnierze, których od kary cielesnej uwolnić się starał, podciągnęli go do góry na pętli. Do długiego martyrologu narodowego przybyło jeszcze jedno imię, jedno z najpiękniejszych i najbardziej czystych. Pamięć jego na Żmudzi i całej Litwie nie zaginie.

Żonie Sierakowskiego, mającej straż wojskową u siebie w domu, a której w wigilję widzieć się z mężem pozwolono, przyrzekając, że odtąd często odwiedzać go będzie mogła, policmajster przyjechał oznajmić, że wszystko już skończone. Niedługo potym nowe jeszcze ciosy spotkać miały biedną

wdowę. Młodszego jej brata, Tytusa Dalewskiego, rozstrzelano, matkę i siostry rozesłano do rozmaitych gubernji w głębi Rosji, a nareszcie i jej samej wyjechać kazano w towarzystwie żandarma, bez względu na to, iż stan, w jakim się znajdowała, na podróż nie pozwalał. Wszelkie starania i przekładania lekarzy nic nie pomogły. Murawjew widocznie i matkę, i dziecko spodziewane chciał zamordować.

Na drodze w Pskowie powiła córkę, a zaledwo powstała z choroby, przewieziono ją do Nowogrodu, który na mieszkanie wyznaczony jej został. Tak po całej tej rodzinie, jak po tylu innych, zostało na Litwie, według słów poety, tylko suche drewno szubienicy i długie, nocne rodaków rozmowy, ale wszystko, co piękne, wzniosłe i prawdziwie święte, tylko ofiarą żyje i męczeństwem się krzewi.[1])

(Bronisław Zaleski.—«Ojczyzna», dziennik polityczny, literacki i naukowy. Bendlikon, 1865 r.).

---

[1]) Dla dopełnienia tego obrazu dodać musimy że w Petersburgu w r. 1861 i 1862 był Sierakowski przewodnikiem związku wojskowego, do którego należeli Polacy i Rosjanie, i że zachęcił do utworzenia związku czysto rosyjskiego, który się rzeczywiście sformował. Z Komitetem Centralnym Narodowym w m. sierpniu 1862 wszedł w ścisłe i blizkie stosunki. Porozumiewał się z nim za pośrednictwem jednego członka. Po zaaresztowaniu Godlewskiego i innych w Paryżu dowiedział się z najdrobniejszemi szczegółami o wydaniu papierów ambasadzie i z wiadomościami temi pośpieszył do Warszawy. Podczas bytności w Warszawie, widząc egzekucję Rzońcy i Rylla, rzekł: «Jakim będę na polu bitwy—nie wiem, ale zaręczyć mogę, że umrzeć potrafię.» Przeczuwał on już wówczas śmierć swoją. Opowiadając o wrażeniu, jakiego doznał przy publicznym badaniu Rzońcy i obronie syna przez matkę, wyraził się: «Jakież to wielkie dusze i charaktery w naszej Polsce. U was, w Warszawie, prosta przekupka w stanowczych chwilach jest wzniosła, jak matrona rzymska w czasie kwitnienia cnót republikańskich.»

W obozie Mackiewicza.

...Po długich dopytywaniach się, sprawdzaniach i badaniach zaprowadzono mnie nareszcie do człowieka, co miał mi ułatwić dostanie się do oddziału. Przyznam się, że mnie te niedowierzania gniewały trochę, ale przypatrując się przez kilka dni w Kiejdanach temu, co się dzieje, jak katuje i znęca się Moskwa nad tym biedactwem, myślałem sobie: ha! co robić—wlazło się w błoto, brnijmy dalej. Spotkanie moje z tym człowiekiem (jak mi się zdaje, okręgowy czy inny urzędnik; nie wiem istotnie, kto on był taki) zasługuje na to, ażebym wam je opisał.

Wyobraźcie sobie malutką izdebkę w jednej z przyległych wiosek, z dwoma okienkami na ogród, posypaną tatarakiem; na ścianie, na czarnym suknie, krzyż ze Zbawicielem, pod tym drewniana ława, kilimkiem przykryta; pośrodku izby stół prosty drewniany, na nim kilka książek, jeszcze krzyż, świeca łojowa; parę stołków — otóż i całe umeblowanie. Kiedym wszedł, zapukawszy poprzednio w okienko, jak mi wskazano, gospodarz, milcząc, zaryglował drzwi, wskazał mi stołek i długo mi się przypatrywał swym przenikliwym wzrokiem. Wychudły był to człowieczek, nizki, z suchotniczym rumieńcem na twarzy. W rysach jego niespokojnych widać było gorączkowe rozdrażnienie, spojrzenie śmiałe i przenikające, czoło wyniosłe i już zmarszczkami okryte, chociaż na oko nie zdawał się mieć więcej nad 30 lat.

Po chwili odezwał się:

— Kto jesteś, obywatelu?

Powiedziałem mu moje nazwisko; uśmiechnął się i dodał:

— Cóż mi po nazwisku, ja pytam się, kto jesteś?

Odpowiedziałem mu hasłem, które mi dano, i wyspowiadałem się ze wszystkich przejść moich, od styczniowej wyprawy naszej, od Kampinosa poczynając.

— Przeszłość czysta; ale czegoś tu przyszedł? Czy wiesz, co cię czeka? Będziesz głodny codzień, będziesz spać na gołej ziemi, będziesz chodzić częściej boso, niż w butach; jak cię zranią — to cię Moskwa złapie, jak nie dostoisz placu — dowódca rozstrzela!

— Wiem o tym wszystkim i na wszystko jestem przygotowany.

— Masz ty rodzinę? Napisz, żeby cię zawczasu opłakali; z naszych oddziałów nie wychodzą za urlopem, chyba do mogiły. Już się z niemi nie zobaczysz! Powiedz, bracie, czyś ty się pogodził z Bogiem i ludźmi, bo ja cię nie chcę zwodzić, ty idziesz na śmierć. Powiedz bez przechwałek, czy gotów jesteś umrzeć w każdej chwili dla ojczyzny? Namyśl się, jeszcze czas się cofnąć. Ja ci ułatwię powrót za Niemen; tam u was lżejsza służba.

— Postanowienie moje niezłomne, obywatelu. Kiedyśmy wychodzili bez broni, bez odpowiedniej odzieży w styczniu z Warszawy, wiedzieliśmy, co nas czeka, a jednak nikt się nie zawahał.

— Obraziłeś się, obywatelu, ale niesłusznie; nikt pewno z większym od nas uwielbieniem nie słuchał opowiadań o waszym bohaterskim poświęceniu, o tej wzniosłej miłości ojczyzny, która cuda robiła i robi, i nikomu pewno gorzej nie krwawiło się serce, gdyśmy posłyszeli, jak ci sami, co szli z kijami na Moskwę, w kilka miesięcy potym z karabinami uciekali do Galicji. Okropne, okropne, bracie mój drogi! Ogrom w was poświęcenia i zapału, ale brak wytrwania; zapominacie, że Moskwy w kilka miesięcy złamać nie można, że to walka olbrzymia, w której całe pokolenie nasze musi położyć głowy, by winy ojców okupić i zdobyć prawa bytu dla przyszłych pokoleń. I dlatego jeszcze raz cię pytam, czyś gotów iść do walki, mając pewność, że musisz zginąć? Czy nie przyjdzie chwila słabości, kiedy zatęsknisz za śliczną Warszawą, za rodziną, kiedy zwątpienie zapał twój złamie i zwątpisz? Namyśl się, bo to chwila stanowcza.

Na twarzy jego, gdy to mówił, malowała się spokojna rezygnacja męczenników Pańskich; czułem instynktem, że to nie były słowa tylko, że to była jego wiara i że z taką tylko wiarą wolno wstępować do zakonu walczących za niepodległość. Mimowoli odbywała się jakaś walka w mej piersi. Przesuwały mi się w myśli obrazy mojego dzieciństwa, drogie postacie rodziny i przyjaciół, i nasz dworek na Pradze, i moje marzenia dawne o spokojnej, pracowitej przyszłości; ale obok tego, jak wyrzut sumienia, stanęły mi w pamięci jasne postacie naszych męczenników, okropne wspomnienia morderstw Moskwy.

Cały kraj krwią zbroczony; słyszałem, zda się, jęki wdów i sierot, ciche westchnienia, dolatujące z więzień i z Sy-

berji, i jakiś straszny ból ścisnął mnie za serce. Zarumieniłem się sam przed sobą, że wahać się jeszcze mogę i myśleć o sobie, kiedy tylu już krwią podpisało akt wolności przyszłej; zerwałem się przeto z miejsca, spojrzałem ze łzami na postać Zbawiciela ukrzyżowanego, cichą modlitwą pożegnałem się ze wszystkim, co sercu drogie, i, zwracając się do gospodarza, powiedziałem spokojnym głosem:

— Bracie, jam gotów.

— Wierzę. Przysięgnij i chodźmy.

Po odbytej przysiędze wyszliśmy z domku i przez ogrody, tyłami, wyruszyliśmy w pole. Noc była cicha, lipcowa, zapach dojrzewającego zboża rozkosznie upajał, czułem się lekki i pełen otuchy. Po godzinnej przechadzce przez łany zbożowe i drobne zarośla spostrzegliśmy tuż pod lasem migające światło w oknie chaty. Mój przewodnik trzy razy krzyknął, naśladując głos jękliwy kani; od strony chaty na odpowiedź rozległ się krzyk podobny i nie dłużej jak w pół godziny posłyszeliśmy ciche stąpanie i stanął przed nami starzec w wieśniaczym stroju, w kapeluszu słomianym na głowie i przywitał słowami:

— Niech będzie pochwalony!

Po krótkiej rozmowie półgłosem mego przewodnika ze starcem poszliśmy do chaty, tam znaleźliśmy przygotowane: grubą bieliznę, buty, siermięgi i czapki, a przebrawszy się, wyruszyliśmy dalej. Starzec nas prowadził przez las, po*mrukując coś* zcicha pod nosem.

Przedzieraliśmy się przez gęszczawy omackiem, trzymając się prawie za poły starca. Ciemność była taka, żem nie mógł dojrzeć szarej świty idącego przede mną; jak się kierował ten stary Litwin w tych bezdrożach — nie pojmuję.

Podróż nasza trwała parę godzin, a może i więcej; wiem tylko, że gdyśmy wyszli na polankę dosyć obszerną, już świtać zaczynało.

— Tu się zatrzymamy, za pół godziny przyjdą—odezwał się starzec, odszedł kilka kroków, ukląkł i zaczął odmawiać pacierze.

Niespełna w pół godziny od strony przeciwnej polany posłyszeliśmy szelest rozsuwanych gałęzi i ostrożne stąpanie oraz krzyknięcie charakterystyczne, które nam za hasło służyło. Starzec odpowiedział i wkrótce z za kilku drzew wysunęły się postacie, widocznie przedniej straży. Wszyscy byli w szarych sukmanach, krótkich, za kolana, rzemiennym

pasem spiętych, w rogatywkach, z dubeltówką w ręku, toporkiem za pasem; każdy miał na sobie dość dużą sakwę z grubego płótna i trąbkę myśliwską.

Starzec i mój przewodnik zbliżyli się do nich i coś z sobą rozmawiali, a ja zostałem na stronie. Potym dali sygnał krótki, urywany, na trąbkach, i posunęli się przez polanę na drugą stronę lasu. Wkrótce za niemi wysunął się z lasu łańcuch strzelców, podobnież ubrany, z oficerem w czamarce podartej na czele, i w milczeniu rozciągnął się poza brzegiem lasu. Dalej już następowały po sobie ściśnięte dosyć kolumny strzelców w liczbie 300 przynajmniej i ze 100 kosynjerów. Żadnych wozów, żadnych bagaży nie było widać, tylko niesiono kilka skrzynek na drągach, jak się później dowiedziałem, z ładunkami i prochem. Wszystko to rozlokowało się kupkami na polanie; rozłożono ogniska, przystawiono kociołki z jadłem, widocznie gotowano się do odpoczynku, ale w takiej cichości, jakby to był obóz niemych. Dziwiło mnie to niepomału, bom się przyzwyczaił do rozgwaru w naszych obozach. Na samym końcu wyszedł na polanę ks. Mackiewicz, dowódca oddziału, w sutannie z podwiniętemi połami, z pałaszem przy boku i rewolwerem za pasem, otoczony kilku młodemi oficerami w czamarkach: widocznie był to cały sztab jego. Wszyscy byli pieszo, ani jednego konia w obozie, żadnych zapasów żywności, oprócz tego, co każdy miał w sakwie płóciennej ze sobą.

Przewodnik mój poprowadził mnie do naczelnika i przedstawił, opowiadając wszystkie moje przejścia; wkońcu dodał:

— Naczelniku, to, zdaje się, tęgi Mazur.

Podczas tej rozmowy mogłem się przypatrzyć wyrazowi twarzy ks. Mackiewicza. Twarz jego ogorzała, rysy wydatne, długa ciemna broda, brwi gęste, pomarszczone czoło tworzą jakąś ponurą całość, pełną energji i siły, co mimowoli czcią przejmuje.

— Umiesz strzelać i słuchać? — zapytał mię lakonicznie.

— Umiem.

— Umiesz modlić się?

— Matka mnie nauczyła.

— Potrafisz umrzeć?

— Nie próbowałem.

— Dobrze.

Potem, zwracając się do jednego z oficerów, dodał:

— Obywatelu, zaprowadź go do szóstego dziesiątka; tam po Manulisie, wieczny pokój jego duszy, została strzelba; niech go tam przyjmą do wspólnego kociołka.

Oficer skłonił się i poprowadził mnie do mojego dziesiątka, co już zasiadł koło ognia i cicho gwarzył ze sobą.

— Obywatele, to wasz kolega, Mazur z nad Wisły; kochajcie go; a to twój dziesiętnik — dodał, zwracając się do mnie i wskazując na ogromnego mężczyznę w takiej samej, jak inni, sukmanie, tylko z rewolwerem za pasem.

Zaczęli mnie rozpytywać o Warszawę, o Langiewicza i o innych dowódców; rozmowa szła ochoczo i dobrze mi było z niemi. Dziesiątek nasz składał się z 4-ch włościan z Ignacowa, z 3-ch mieszczan z Poniewieża; syna majętnego obywatela z Szawelskiego, z nauczyciela z Kowna i ze mnie.

Dowiedziałem się, że wszystkie wycieczki i napady robią podczas nocy, we dnie zaś odpoczywają, jeżeli Moskwa nie siedzi na karku. Dzisiejszej nocy zrobili ze cztery mile i dlatego zamierzali cały dzień pozostać na polanie.

Słońce już zeszło, kiedy dał się słyszeć odgłos piszczałki i komenda: Do modlitwy!

Zachwycający był widok tych kilkuset ludzi, doświadczonych w boju, klęczących z odkrytemi głowami. Przed nami, przed krzyżem i obrazem Matki Boskiej na chorągwi obozowej klęczał ks. Mackiewicz i intonował:

„Kiedy ranne wstają zorze."

Dokoła nas były puszcze rodzinne — nasze fortece; nad nami był Bóg i przyszłość nasza.

(Urywek z listu powstańca, zamieszczony w «Niepodległości» z d. 28 sierpnia 1863 r.)

Michał Mikołajewicz Murawjew.

...Któż bo nie wiedział, co to za figura ten Michał Mikołajewicz Murawjew? Na przeszłości tego człowieka ciążyło wiele plam i błota. Wiedziano, że szczególnie był doskonały w wykonywaniu roli dzikiego, mongolskiego despoty, otoczonego pochlebcami i niewolnikami. Za to wobec starszych ten sam mongolski satrapa stawał się bardziej cichym niż woda, niższym od trawy, w której pełzał, umiejącym, co się zowie, „zgiąć się we troje" i niezrównanie umiał schlebiać, szczególniej gdy chodziło o uzyskanie czegoś dla siebie. Przypominano, jak, wyjeżdżając w służbowych sprawach, umiał likwidować potrójne koszta podróży z każdego wydziału, którym zarządzał; wszak nie darmo został przezwany „trochprogonnym ministrem." [1])

Pamiętano także jego brutalne, prawdziwie azjatyckie odezwanie się, że nie jest z tych Murawjewów, których wieszają, lecz tym, który sam każe wieszać. Nakoniec nie zapomniano, że w doniosłej chwili, gdy na skinienie czarodziejskiego berła spadały pęta z 25 miljonów niewolników, gdy wszystko, co żywiej czuło i myślało, wybiegało naprzód, ku słońcu, było uniesione zachwytem i święciło najwspanialsze i najuroczystsze święto — Michał Murawjew z gromadą zakostniałych pańszczyźniaków, pogrążonych w ciemnocie i barbarzyństwie, nie współczuł i nie współdziałał z cesarzem, lecz, co miał siły, hamował świętą sprawę wolności, wołając, „że żadnego oswobodzenia nie będzie." [2]) To świeże błoto, w którym się przed paru laty skąpał, jeszcze nie zaschło, ciekło mu jeszcze strugami po twarzy.

---

[1]) Progony — opłata za konie pocztowe. Murawjew swojego czasu był jednocześnie ministrem dóbr państwa, naczelnym zarządcą dóbr prywatnych rodziny cesarskiej i dyrektorem korpusów mierniczych. Na każdym z tych stanowisk pobierał ogromną pensję.

[2]) Ten sam człowiek w trzy lata potym, d. 7 grudnia 1863 r. pisał do M. A. Milutina: «W całej tej ważnej sprawie (zniesienie stosunków poddańczych na Litwie i zniesienie pańszczyzny w Królestwie Polskim) winniśmy iść ręka w rękę.»

A nawet sama jego postać! Cóż to za straszny, mongolski, nawet w Rosji potworny typ jakiegoś Kamczadała, Czuwasza, Eskimosa lub Samojeda... któregoś z tych mieszkańców głębokiej północy, którego matka, zamiast starożytnych posągów klasycznej piękności, miała przed oczami psy morskie, wieloryby i białe niedźwiedzie! W portrecie takiego Jermołowa uderza każdego lwi wyraz twarzy, u Murawjewa nasuwa się przedewszystkim przypomnienie buldoga. Zapewne spowodował to „Times", nie podający nigdy żadnych wizerunków, że zamieścił portret, wprawdzie nieco przesadzony, Murawjewa, jako coś nader charakterystycznego i ciekawego dla swych czytelników europejskich...

Jakżeż mieli nie strwożyć się ludzie, żywiący w głębi duszy wciąż jeszcze nadzieje dalszego rozwoju, gdy naraz rozniosła się wieść, że ten zapomniany już przedstawiciel dawnego porządku rzeczy znowu się odnalazł i wypływa na widownię działalności państwowej. Z drugiej jednak strony ciż sami ludzie czuli, że sprawy tak dalej iść nie mogą, że i na Litwie, i w Królestwie musi nastąpić konieczna zmiana, że jeśli jej rząd nie dopełni, to uskuteczni się sama, że wielki książę z Wielopolskim i Nazimow [1]) muszą ustąpić, a każdy, któryby stawał wpoprzek zamiarom monarchy, w tym względzie byłby wprost zdrajcą wobec interesów rosyjskich. Lecz w każdym razie zmiana mogła być przeprowadzona w inny, mniej brutalny sposób. Niechby wysłano do Wilna jakiegoś drugiego hr. Berga, toby aż nadto wystarczyło! Poco wyszukiwać gdzieś z głębi społeczeństwa jakiegoś nietegoczesnego potwora, jakiegoś doktora, który, zamiast delikatnego odjęcia zgangrenowanego palca, brutalnie odcina toporem choremu po łokieć rękę.

Bardziej obyci i oswojeni z takiemi panami Murawjewami starsi ludzie, zajmujący różne urzędowe stanowiska w rosyjskiej państwowej administracji, odpowiadali na to, że w danej chwili nie czas rozprawiać, lecz działać należy! Drugiego Berga trzeba dopiero wyszukiwać, a ten jest pod ręką, i to wynaleziony bez czyjegokolwiek polecenia przez samego cara!

...Dnia 13 maja 1863 r. „Urzędowy wiestnik" ogłosił nominację Michała Murawjewa na wielkorządcę sześciu litewskich gubernji.

---

[1]) Gienerał-gubernator wileński. Przyp. Red.

...Wyjeżdżając do Wilna, Murawjew był przyjmowany na pożegnalnej audjencji przez cesarzową, która dziękowała mu za podjęcie się tak trudnego zadania, a mówiąc o wytworzonym przez interwencję mocarstw zachodnich położeniu, dodała: „Byśmy się przynajmniej mogli utrzymać przy Litwie."

Nakoniec Murawjew wyjechał na miejsce swego przyszłego działania w otoczeniu dobranych pomocników. Między temi zapewne znajdowało się niemało ludzi uczciwych i zacnych, którym przyświecała ideja uczciwego służenia ojczyźnie, lecz było wielu i takich, których znany satyryk Sałtykow-Szczedryn z całym uzasadnieniem określał mianem „czynownikow do osobnych prestuplenij" [1]). Między niemi znajdował się np. taki Dmitrjew, grasujący po całej Litwie z kozakami i doktorem i przywracający według otrzymanych instrukcji prawny porządek, przyczym miał sobie pozostawioną zupełną dowolność postępowania, nie krępując się żadnemi względami. Doktora potrzebował dla badania „pacjentów" i udzielania im doraźnej pomocy, gdy czasem który z egzekwowanych pod nahajkami usnął. Doktór konstatował, czy żyje jeszcze, czy już martwy? czy można siec dalej, czy też należy powstrzymać operację uspokajania?

Raz się zdarzyło, że pacjent zamilkł pod gradem sypiących się nahajek. Przywołany doktór oświadczył, że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pacjent już nie żyje! „Co? nie żyje? — zawołał Dmitrjew — ależ to być nie może, wszak wcale niewiele jeszcze dostał!" Umarłego zaczęto cucić, lecz ten nie dawał już znaków życia. Wówczas rozwścieczony Dmitrjew schwycił leżący na stole korkociąg i wkręcił go pacjentowi w łopatkę. Trup się poruszył...

O fakcie tym doniesiono Murawjewowi. „Ależ to potwór, nie człowiek!" — zawołał jakby ze zdziwieniem, że mogą znajdować się podobnego rodzaju ludzie między jego podwładnymi. Polecił natychmiast Dmitrjewa aresztować. A wieluż jemu podobnych pozostało wolnemi i dokazywało po swojemu przez cały czas rządów murawjewowskich nad tym rozległym krajem. A rządy te trwały całe dwa lata!

...Posypały się do Wilna adresy, listy i ikony. Stary Filaret, metropolita moskiewski, uprzedził wszystkich.

---

[1]) Urzędnicy do specjalnych przestępstw. Przyp. Red.

...Niema narodu łatwiej zapominającego wszelkich niecnot człowieka potrzebnego, jak Rosjanie. Jest to wynikiem odrębnych warunków politycznego ustroju, miękkiego charakteru i obyczajowych nawyknień. W zapomnieniu tym zawsze idą dalej, niż potrzeba i należy; nie tylko się zapomina o całej nędznej przeszłości danego człowieka, lecz odszukuje się w nim zalet i przymiotów, których nie posiada i posiadać nie może; uwielbia, przesadza w pochwałach, czułościach i kadzidłach aż do bałwochwalstwa.

To samo się objawiło w rosyjskim społeczeństwie w stosunku do Murawjewa. Bardzo niepiękna jego przeszłość w jednej chwili została puszczona w niepamięć. Ciż sami ludzie, którzy niedawno z wielkim zadowoleniem czytali ostry pamflet ks. Piotra Dołhorukowa o służbowych przeprawach Michała Mikołajewicza, teraz na wyścigi śpieszyli w objawianiu swych uczuć, pełnych zapału i uwielbienia. Doszło aż do tego, że w Wilnie na cześć bohatera wzniesiono przy ul. Długiej pamiątkową kaplicę pod wezwaniem *Michała Archanioła*, na którą płynęły składki z całej Rosji.

...Na Litwie, jak długa i szeroka, wszystko się zachwiało w posadach. Wiele powstańczych oddziałów rozeszło się bez boju; inne przeszły w granice Królestwa Polskiego. Wydział wileński rządu narodowego był mocno zachwiany; część członkówj została uwięziona, inni gdzieś się pokryli. Ruch rewolucyony zaczął się uspokajać; bywały dnie, że generał-gubernator nic nie miał do roboty, nie wiedział, kogo zamknąć do lochu, kogo rozstrzelać, a kogo powiesić. A przecież wiadomo, że l'appetit vient en mangeant! Więc z nudy, z braku pod ręką materjału do burzenia, miłośnik ten wszelkiego niszczenia nakazywał chwytać i zamykać ludzi zupełnie niewinnych, na których nawet cień podejrzenia nie papał. „Niech posiedzą, z czasem może i na nich coś się wynajdzie!"

I, na szczęście, prawie zawsze coś się znajdywało. Rzecz wydawałyby się niepodobne do wiary, gdyby sam Murawjew z dziwną naiwnością czy też cynizmem nie wypowiedział ich przed jednym ze swych przejezdnych znajomych. Artysta ten burzenia i niszczenia doszedł nareszcie takich fantazji, że nawet wobec oficjalnych dokumentów nie chce się wierzyć własnym oczom i pomimo woli w głębi serca powstaje zapytanie: „czyż naprawdę żyjemy w w. XIX?"

„Spalić wieś całą, miejsce, gdzie stała, zaorać i zrównać z ziemią, mieszkańców zaś wszystkich, z kobietami i dziećmi, zesłać na Sybir.“ [1])

(M. Berg.—«Zapiski o powstaniu polskim 1863 i 1864 r.»)

---

[1]) W ten sposób spalono kilka osad. Bliżej nam są znane dwa wypadki: w sierpniu 1863 r. spalono w gub. Grodzieńskiej wieś Jaworówkę, w październiku zaś tegoż roku w gub. Kowieńskiej wieś Zbiany. W Jaworówce wyrok został w następujący sposób wykonany.

Dn. 17 sierpnia 1863 r. konsystujący w Białymstoku pułkownik Mikołaj Maksymowicz Zrege von Manteuffel otrzymał wprost od Murawjewa rozkaz telegraficzny, by natychmiast odległą o 12 wiorst od Białegostoku szlachecką wieś Jaworówkę spalił, miejsce, na którym stała, zaorał, mieszkańców zaś wszystkich sprowadził do Białegostoku i tam osadził w więzieniu do dalszych rozkazów.

Dn. 18 sierpnia pułk. Manteuffel w trzy kompanje piechoty i dwie sotnie kozaków wyruszył do Jaworówki, dokąd przybył nazajutrz dnia 19 sierpnia z pierwszym brzaskiem dnia. Wojsko otoczyło śpiącą wieś i przerażonym mieszkańcom odczytano wyrok wielkorządcy i rozkazano natychmiast wynosić z chałup ruchomości. Wszczął się krzyk i płacz rozdzierający. W niektórych domostwach byli chorzy, kilka kobiet leżało w połogu. Kazano je ułożyć na wozach i otoczyć możliwą opieką. Gdy dowódca oddziału przekonał się, że w budynkach nikt już nie pozostał, nakazał kozakom zapalić strzechy jednocześnie ze wszystkich stron. W mgnieniu oka wieś stanęła w płomieniach. Poczym wojsko, prowadząc długi szereg uwięzionych, wróciło do Białegostoku. Co do zaorania miejsca, na którym stała wieś, wyrok okazał się niemożliwym do wykonania. W Białymstoku nieszczęśliwych mieszkańców spędzono na jeden plac, a po niejakim czasie zesłano na granicę turkiestańską. Wszystkich! co do jednego: i starców i młodych, mężczyzn i matki z niemowlętami u piersi. Wszystkich pozbawiono ojczyzny i mienia. Kto odpowie za takie bezmyślne barbarzyństwo?

Los zrządził, że tenże sam Manteuffel, służąc następnie pod gien. Czerniajewem w Turkiestanie, spotkał się z zesłańcami nieszczęsnej Jaworówki...

Romuald Traugutt i jego dyktatura.

Podczas licznych usiłowań naszych wyjarzmienia się zwykliśmy powtarzać słowa Pisma: „Hominem non habuimus"—„człowieka nie mieliśmy". W wielu razach okrzyk słusznym się mienić mógł, lecz nie zawsze. Styczniowe powstanie posiadało męża niepospolitego, cnót obywatelskich wyjątkowych, który miał wznieść się ponad tłum i wypadki, zdołał sięgnąć okiem szerzej, niż inni, i kierować całą machiną powstańczą dłonią energiczną i twardą pół roku, a więc dłużej, niż trzecią część okresu walki. Mąż ten wybitny a niezapomniany—to Romuald Traugutt.

... Z szeregów litewskiego powstania o hartownym duchu poświęcenia, o patryjotyzmie podniosłym a czystym niby kryształ, z tych ludzi wielkiej wiary w moc Boga, z tych szeregów, gorąco miłujących ojczyznę, wyszedł ten, co zdołał w chwilach najcięższych dla powstania wziąć je na swe barki, ująć rozsypującą się organizację w żelazne kleszcze woli i siły i sterować tą słabnącą łodzią walki do bohaterskiego końca swych dni!

Traugutt ur. się we wsi Szostakowie w Brzeskim województwie. Wychowanie w domu otrzymał staranne, następnie po ukończeniu szkół w Świsłoczy wstąpił do Akademji inżynierów w Petersburgu. Wspomnienia kolegów mówią, że za dni swych studjów akademickich był pracowity, cichy i milczący; ożywiał się tylko wtedy, gdy kto z Rosjan zadrasnął jego uczucia religijne lub narodowe.

Widzimy go później oficerem saperów; widzimy, że szybko posuwa się na szczeblach stopni hjerarchji wojskowej, że bierze udział w wojnie sewastopolskiej. Po wojnie wraca do ojczystego majątku Ostrów w okolicy Kobrynia i rozpoczyna zawód ziemianina. Po śmierci pierwszej żony, która go osierociła, pozostawiwszy dwie córeczki, żeni się po raz drugi z Kościuszkówną, wnuczką brata Tadeusza Kościuszki.

Czasy manifestacji nie wyrwały go z domowego zacisza, do organizacji przedpowstańczej nie należał i uchodził za człowieka bardzo umiarkowanych przekonań. Nawet gdy

powstanie już wybuchło, pozostał Traugutt jeszcze przez dwa miesiące pozornie obojętnym widzem.

W rzeczywistości jednak postanowione już było w jego umyśle zbrojne wystąpienie. Naczelnik województwa Brzeskiego, Apollo Hofmeister, prowadził z nim rokowania w sprawie objęcia dowództwa nad partją kobryńską.

W przerażająco ciemną noc z d. 7 na 8 maja, w głuchym, leśnym ostępie, nad brzegami rzeczki Temzy, a na gruntach miasteczka Antopola, zebrał się po raz pierwszy oddział kobryński czyli Traugutta, złożony zaledwie ze 160 ludzi. Wkrótce po północy przybył dowódca i powitał tę garstkę zbrojnych energiczną przemową. Wrażenie tej przemowy było niezmierne: powstańcy kobryńscy poprzysięgli na owej leśnej polanie spełniać godnie obowiązek polskiego żołnierza—i spełniali go rzeczywiście po bohatersku.

Traugutt, ukryty w horeckich lasach, nieopodal Brzeskiego kanału, łączącego Muchawiec z Piną, ćwiczył swój oddział. Pierwsza zwycięska potyczka stała się zachętą dla młodego żołnierza. Ufność w wodza wzmagała się, tymbardziej, że dobrze rozumiano, iż jego to śmiałym planom oddział zawdzięcza zwycięstwo.

Jeszcze parę potyczek — i oddział musiał ulec wielkiej liczebnej przewadze sił nieprzyjacielskich: powstańcy utracili obóz i rozpierzchli się, lecz po kilkunastu godzinach skupili się znowu. Nieprzyjaciel nie śmiał ich atakować wśród leśnych i bagnistych ostępów, zresztą sądził, że nie tylko oddział zniósł doszczętnie, ale i wodza położył na placu. Powstańcy więc zyskali dziesięć dni odpoczynku i doczekali się posiłków: połączył się z niemi oddział Wańkowicza (Leliwy), i obie te „partje" odbywają marsz w głąb Pińszczyzny ku Polesiu wołyńskiemu, ku dolnemu biegowi Horynia. W głębi Polesia jeszcze przyłączały się małe oddziałki kobryńskie lub miejscowe zbrojne gromadki.

Dotarszy do miasta Stolina, Traugutt zajął tę mieścinę, odpoczął przez 24 godziny, poczym przeprawił się przez Horyń. Ostatnie to jednak były dla tej partji odblaski lepszego losu. Po stoczeniu ostatniej zwycięskiej potyczki Traugutt zmuszony był rozpocząć odwrót, gdyż przekonał się, że bardziej ku południowi, w lasach wołyńskich nie znajdował żadnych sił powstańczych, na które liczył. Odwrót był bardzo trudny, przez okolicę, która nie dawała ani żywności, ani dróg, ani schronienia dla znużonych. Przytym Moskale wciąż

się starali oskrzydlić powstańców. Głód dokuczał coraz bardziej, Traugutt wskutek głodu i forsownych marszów tak podupadł na siłach, że go musiano prowadzić pod ręce.

W tych warunkach stoczona bitwa pod Kołodnem, w d. 13 lipca, musiała zakończyć się klęską; oddział został rozproszony. Pomimo tej klęski żołnierze nazajutrz znów stanęli pod swą chorągwią, ale wódz był chory i warunki dalszego marszu tak trudne, że Traugutt oddział podzielił na małe gromadki i kazał im się w ten sposób przedzierać ku Kobryńszczyźnie, sam zaś, po parotygodniowym odpoczynku w miejscu bezpiecznym, wyleczony i z siłami wzmocnionemi udał się do Warszawy.

W Warszawie z trudnością trafił do organizacji. Skoro jednakże udało mu się zetknąć z ludźmi, kierującemi wydziałem wojny, to wywarł na nich wrażenie bardzo dodatnie. Przy całej prostocie zachowania Traugutt zwracał na siebie uwagę bystrością orjentowania się, jasnym sądem, wytrawnością zdania. Najstarszym i najdoświadczeńszym był wśród całego grona stojących u steru robót powstańczych; energją wielką, zapałem, skupionym w sobie nazewnątrz, nie ujawniającym się w słowach, przewyższał znacznie innych, przewyższał młodszych; to również pociągało ku niemu umysły rozważać lubiące.

W krótkim czasie doszedł on do przekonania, że po lasach poleskich może chodzić kto inny, on zaś większy pożytek przyniesie w głównym centrum robót powstańczych.

... Parę tygodni, spędzone wówczas w Warszawie, wystarczającemi były dla Traugutta do zapoznania się z tamtoczesnym stanem rzeczy w sferach kierujących powstaniem. 14-go sierpnia otrzymał nominację na gienerała i godność komisarza nadzwyczajnego poza granicami kraju, z poleceniem i instrukcją, aby wyjechał za granicę w celu zlustrowania wszystkich powstańczych instytucji, t. j. agientur, nabywających i dostarczających broń, amunicję, składy materjałów wojskowych, a wreszcie, aby porozumiał się z dowódcami oddziałów rozbitych i szukających chwilowego schronienia w Galicji. Traugutt niedość iż misję z całą ścisłością wykonał, lecz skorzystał z możności przypatrzenia się ludziom różnym, zestosunkowanym mniej lub więcej z ówczesną walką, skorzystał wreszcie z dróg, spotkanych za granicą, które go doprowadziły do tych potęg, co łudziły interwencją i rzucały tajemnicze słowa zachęty, by wytrwać długo, bardzo

długo, co najdłużej; na wytrwaniu tym opierano pewną nadzieję interwencji obcych potęg w sprawie naszego wyzwolenia.

... Ostatnim podróży jego kresem na Zachodzie była, rozumie się, stolica ówczesna Europy—Paryż, skąd w owej epoce płynęły nadzieje dla ludów ujarzmionych... Pomoc Francji obiecana mu była uroczyście w sferach rządzących wtedy nie tylko Francją, ale wpływających przeważnie na losy całej Europy.

Pospolicie w niektórych opracowaniach o powstaniu styczniowym — również polskich, jak i rosyjskich — ks. Władysław Czartoryski wskazywany jest jako inicjator dyktatury tajemnej Traugutta. Legienda ta jest najzupełniej mylna.

... Nie hotel Lambert był wówczas opoką, na której Traugutt budował wielkie nadzieje ziszczenia naszych pragnień. Jeżeli należy szukać tej opoki w Paryżu, to z podwoi innego gmachu Traugutt ją wyniósł, z podwoi Palais Royal, z rezydencji ks. Napoleona Hieronima Bonapartego, synowca Napoleona III.

... Co do widzenia się z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych, p. Drouyn de l'Huys i z ks. Napoleonem, to wiadomość ową opieramy na własnych słowach Traugutta: „Książę snać wybornie obeznany był z ruchami oddziału, którym dowodziłem — mówił Traugutt piszącemu te wyrazy— cytował mi bowiem miejscowości potyczek, kierunek naszych marszów po błotach Pińskich i wreszcie wprawił mię w kłopot prawdziwy, rzuciwszy pytanie: „Jak licznym był oddział mój?...” Cóż mu odrzec, pomyślałem; mała ilość naszego żołnierza złe pojęcie o siłach powstania może dać, powiększyć zaś liczby nie mogłem, bo skłamałbym, a nigdy nie kłamię i fałszem się brzydzę. Po przerwie kilku sekund odpowiedziałem z całą ścisłością, jak rzeczy się miały”.

Zanim Traugutt powrócił z podróży zagranicznej, upadł ten Rząd Narodowy, który go był wysłał. Władzę ujęli teroryści, którzy jednakże nie mieli dość siły, aby ją utrzymać. Był to tak zw. Rząd wrześniowy. Traugutt w d. 17 października pojawił się na posiedzeniu Rządu i krótko a stanowczo zapowiedział, że bierze władzę w swoje ręce. Usłuchano go w milczeniu. Wieczorem tegoż samego dnia już dyrekcje wydziałów były obsadzone, o ile można najlepiej. Przewodniczący, t. j. Traugutt, oznajmił dyrektorom, że Rząd Narodowy to on, że z nim tylko bezpośrednio komunikować

się będą. Rzecz, tak postawiona w pierwszym dniu jego rządów, nie była zmieniona aż do ostatniego dnia. Sam on był wszystkim, był dyktatorem tajemnym, o dłoni więcej niż sprężystej, o dłoni żelaznej. Dyrektorowie wydziałów zmieniali się, stosownie do okoliczności, ale on sam wciąż w czasie tego ciężkiego półrocza swoich rządów dźwigał na sobie cały ciężar władzy i odpowiedzialności. Ci, których później z nim jednocześnie Moskwa traciła, a których nazwała Rządem Narodowym, żadnego rządu ani pojedyńczo, ani też razem w żadnej z chwil powstania nie tworzyli, choć zajmowali różne stanowiska, różnemi czasy w organizacji powstańczej. Traugutt zamieszkał pod nazwiskiem kupca galicyjskiego, Michała Czarneckiego, na ul. Smolnej, dolnej, u p. Heleny z Majewskich Kirkorowej, która wiedziała, że postawiono ją na straży czegoś bardzo ważnego dla powstania. Pilnowała też gorliwie owego p. Michała, strzegła go jak oka w głowie, zabezpieczała jego spokój, chroniła od niebezpieczeństw. Mieszkanie i wogóle cały tryb życia powstańczego dyktatora były niesłychanie skromne. Po uwięzieniu go Moskale dziwili się, że w domu, przy ul. Smolnej, nie było żadnych nadzwyczajności, ani przejść ukrytych, ani podziemi, rojących się tajemnicami, w sposób cudowny odmykających się bram do wspaniałych pałaców.

Nie krążyły te bajki wśród gawiedzi rosyjskiej — nie. Słyszano je w sferach wyższych najazdu, wydały one nawet pewne owoce. Komisja śledcza rozkazała, by ponownie przetrząśnięto owo nieszczęsne domostwo. Robiono parokrotne poszukiwania, omal w perzynę domu nie obrócono i ku wielkiemu zdziwieniu naiwnych poszukiwaczy, pałacu nie znaleziono. „Widocznie na ścieżki do niego wiodące nie wpadliśmy" — mówili Moskale i pozostali w tym złudzeniu, że Rząd Narodowy, który zdobył sobie posłuch w całym kraju, zapewne posiada stosowną a wspaniałą siedzibę. W ich biednych głowach nie mogła powstać myśl, że ta władza, uznaniem całej Polski otoczona, jest aktem poświęcenia, jest ofiarą z życia własnego.

... Po objęciu rządów przez Traugutta dyrekcje wydziałów były na razie rozdane w sposób niejako prowizoryczny; wkrótce bowiem, przypatrzywszy się czasom i ludziom, Traugutt wprowadził zmiany co do kierownictwa w niektórych wydziałach. W pierwszym jednak dniu jego rządów dyrektorami wydziałów byli: Józef Gałęzowski wydziału wojny,

Rafał Krajewski wydz. spraw wewnętrznych, Henryk Wohl skarbu, po którego uwięzieniu i wysłaniu objął Józef Toczyski, Wacław Przybylski wydz. prasy, Henryk Krajewski spraw zagranicznych, Adolf Pieńkowski policji, Józef Janowski pozostał sekretarzem stanu, a dawni sekretarze Litwy i Rusi [1]) pełnili swe funkcje jak uprzednio, z tą jedynie różnicą, iż za dni dyktatury nie zasiadali na posiedzeniach zbiorowego rządu, bo tych posiedzeń zbiorowych rządu i samego rządu wcale nie było. Traugutt, jako dyktator, porozumiewał się z każdym dyrektorem wydziału i z sekretarzami prowincji oddzielnie, w pewnych wskazanych lokalach; u siebie zaś, oprócz kilku osób zaufanych, nikogo nie przyjmował.

... Co się tyczy stanowiska naczelnika miasta, to zostawił je Traugutt na pewną chwilę w rękach Józefa Pepłowskiego; później, prawie wnet, oddał je Aleksandrowi Waszkowskiemu, który aż do końca trauguttowskich rządów, a więc do końca powstania, chlubnie wywiązywał się ze swego niewypowiedzianie trudnego, a najeżonego najwyższemi niebezpieczeństwami zadania. Dyktator zawsze z zupełnym uznaniem patrzył na pracę Al. Waszkowskiego, jako naczelnika miasta, który lepiej od innych rozumiał i spełnić umiał jego rozkazy, lepiej od wielu wcielał się w przewodnią myśl dyktatury.

... Traugutt pragnął kierownictwo wydziałów powierzać, o ile można, ludziom najświatlejszym, najpoważniejszym, najdoświadczeńszym. Rafał Krajewski, dusza bez skazy, umysł rozległy, skłonny do marzeń i poezji, wydawał się dyktatorowi niezupełnie odpowiednim na stanowisku dyrektora spraw wewnętrznych; zdaje się, że dopatrzył się w nim nieco doktrynerstwa, przechylanie się ku jakimciś teorjom, mogącym stać w sprzeczności z duchem bezwarunkowego posłuszeństwa lub pogląd na nakazane czynności mącić...

To też po pewnym czasie sprawy wewnętrzne przeszły do rąk d-ra Dybka, pełnego uzdolnień profesora wydziału medycznego w Szkole Głównej, który wraz z Henrykiem Krajewskim, pełniącym obowiązki dyrektora wydziału spraw zagranicznych, znakomitą siłą byli, głównemi filarami trauguttowskich rządów. Zresztą wpływu oni na dyktatora nie wywierali, ani się o ten wpływ ubiegali; dyktatura Traugutta posiadała wszystkie znamiona samodzielnego kierunku, po-

---

[1]) Wacław Przybylski i Marjan Dubiecki.

chodzącego bezpośrednio z umysłu samego dyktatora. Nazywamy ich filarami dlatego, bo były to postacie niezwykłej miary, które w każdym rządzie mogły były zająć przodujące stanowisko.

... Dyktatury znamieniem głównym—wiara w zwycięstwo bez obcej pomocy. Taką wiarą przejęty był sam dyktator, taką pragnął przelać w serca swych współpracowników.

Przelanie wiary w niechybne zwycięstwo w serca swych współpracowników, w serca ogółu ziomków, oddających się zwątpieniu i beznadziejnej rozpaczy—to praca olbrzymia, na którą siły dyktatora, niestety, bezowocnie zużywały się; by cel ten najbliższy osiągnąć, należało walczyć z bojaźnią, ze zwątpieniem coraz wzrastającym tłumów. Zniechęcenie, opuszczanie omdlałych dłoni rozszerzało się z niezrównaną szybkością wśród narodu, przelatywało kraj z gwałtownością pożaru, niszczącego słomianą strzechę.

... Pomawiano Traugutta o liczenie zbyt wielkie na obcą pomoc. Całą jego wielką wiarę w pomyślny wynik walki, wiarę bezbrzeżną w miłosierdzie Boskie, całą gotowość wytrwania na stanowisku do końca, gotowość do spełnienia kielicha męczeństwa do dna, wysokie trzymanie sztandaru narodowego, „aby nic nie uronić z wielkości idei, z godności narodowej, z moralnej jedności narodu — bo reszta w ręku Boga" — chciano tłumaczyć niezwykłym zaślepieniem w tak zwaną interwencję mocarstw Zachodu. Widzieliśmy, iż można przypuszczać, że coś wywiózł z owych obietnic pomocy, że jakieś przyrzeczenia w Paryżu mu czyniono; lecz najzupełniej dalekim on był od wszelkich zaślepień i doktrynerstwa; jak trzymał wogóle o kwestji interwencji, niech nam własne jego słowa potwierdzą": „Pamiętajcie — woła w jednym z okólników wojskowych z końca 1863 r.—że powstanie bez ludu jest tylko wojskową demonstracją w większych lub mniejszych rozmiarach; z ludem dopiero zgnieść wroga możemy, nie troszcząc się o żadne interwencje, bez których oby Bóg miłosierny pozwolił nam się obejść".

... Traugutt starał się w administracji wprowadzić jednolitość rządów, a przeto w ościennych zaborach zamiast miejscowych komitetów, często tworzących przeszkodę a nie pomoc w działaniu, wytworzył „Wydziały wykonawcze" — zarówno w Galicji, jak i w Poznańskim — na wzór wydziałów prowincjonalnych na Litwie i Rusi, a tym samym ściślej

zjednoczył te prowincje pod względem zarządu z naczelną władzą powstania. Jednolitość zarządów jednoczyła ściślej prowincje odległe, a co ważniejsza, przyczyniała się do krzewienia wszędzie idei Rządu Narodowego. Ta potęga tajemnicza, znajdująca posłuch w ziemiach walczących, przejawiała się odtąd za pomocą organów zależnych od Rządu Narodowego na dalekich kończynach Polski, w okolicach biorących tylko pośredni udział w walce.

Brak ludzi w administracji cywilnej, ludzi takich, jakiemi, wedle pojęć Traugutta, powinni być urzędnicy Rz. Narodowego, trapił go wielce przez cały ciąg jego rządów. „Wiem, że nie wszyscy na swych stanowiskach odpowiadają zadaniu— mówił on—ale gdy są uczciwi, musimy na nich poprzestać".

... Traugutt wszelkich usiłowań dokładał, aby z oddziałów powstańczych, rozrzuconych po kraju, nie mających ze sobą żadnej wojskowej spójni, gdzie każdy dowódca mienił się i był rzeczywiście „właścicielem oddziału", utworzyć wojsko, o ile możność pozwala, regularne, a przynajmniej kadry wojska... Myśl ta kiełkowała w jego umyśle jeszcze wówczas, gdy w lipcu 1863 r. opuszczał w błotach Pińskich garstkę swych karnych bojowników, gdy dążył do Warszawy, by się dowiedzieć, jakiemi środkami naród walczący rozporządza, na co liczą jego przywódcy. Przypatrzenie się bliższe środkom i sposobom prowadzenia walki powstańczej, zetknięcie się za granicą z całym szeregiem dowódców, wszystko, co mu wpadało do ucha, co rozwinęło się przed jego okiem, wskazywało, że myśl pierwotna właściwą była bardzo; a więc po osiągnięciu władzy najwyższej starał się swe zamiary w czyn zamienić.

... Dopiero około 15-go grudnia 1863 r. mógł dyktator zacząć w czyn wprowadzać myśl reorganizacji sił zbrojnych, wydając pamiętny dekret, znoszący podział sił walczących na województwa i oddziały, i zamieniając je na kadry regularnego wojska z nazwami korpusów, pułków, szwadronów, bataljonów i t. d.

Cała armja narodowa podzielona została na 4 korpusy... Z nominacji na dowódców korpusów korzystali jedynie Kruk i Bosak. Z tych zaś dwuch zaledwie tylko Bosak występował czynnie przez całą zimę, dźwigał na swych barkach nie tylko pracę nad organizacją zawiązków wojska narodowego, ale odpierał nacisk nieprzyjaciela. Działalność Bosaka nie tylko, iż odpowiadała oczekiwaniom Traugutta, lecz je nawet

przewyższała. W zabytkach piśmiennych, które po nim pozostały, widzimy, iż nieustannie oddaje Bosakowi zasłużone pochwały, stawia go innym jako przykład, w poufnych rozkazach i listach do niego pisanych nie ukrywa swej radości, że organizacja armji pod jego kierunkiem dobrze się rozwija i pewne owoce przynosi.

... Bosak, któremu dyktator powierzył siły zbrojne dwuch województw, krakowskiego i sandomierskiego, obiecał mu, że będzie się starał utrzymać pół roku w Kongresówce; i rzeczywiście, bez względu na najtwardsze warunki, gdy zarówno wojska nieprzyjacielskie, jak i zima, naciskały go mocno, utrzymywał się do połowy kwietnia 1864 r. Uwięzienie dyktatora położyło kres powstaniu. Uosobienie idei Polski, wywalczającej niepodległość, zniknęło; siły narodu były już wyczerpane, Bosak przeto opuścił swe stanowisko, na którym długo, wytrwale, pożytecznie trwał.

Bosak był postacią jedną z cenniejszych w pojęciu Traugutta, widział w nim bowiem grunt moralny. Jaką cenę dyktator przywiązywał do przymiotów moralnych, najlepiej nam o tym powiedzą jego własne myśli, zawarte w jednym z *listów do Bosaka (z d. 2 marca 1864 r.)*.

„Na szczególne uznanie i podziękowanie nasze zasługują owe niezmordowane starania Wasze, aby w wojsku zaprowadzić jak najsurowszą karność, dodawszy do tego jeszcze, jako konieczny warunek, abyście jednocześnie z zaprowadzeniem karności wszelkich usiłowań dołożyli do umoralnienia tego drogiego zawiązku siły zbrojnej całego narodu. Żołnierz polski powinien być prawdziwym żołnierzem Chrystusa: czystość obyczajów i nieskalaną cnotę, a nie demoralizację i samowolę roznosić wszędzie powinien... Niech w nim będzie wiara gorąca i szczera bez fanatyzmu, pobożność prawdziwa bez bigoterji, przyzwoitość obejścia się zarówno daleka od śmiałego narzucania się, jak i od zimnej i odpychającej surowości"... Dalej, mówiąc, że Bosak zapewne i sam rządzi się temiż zasadami, dodaje: „Przykład, dany z góry, zły czy dobry, z łatwością na niższych oddziaływa: nie wątpimy więc, że korpus Wasz stanie się nie tylko wzorem dla armji, ale i dla kraju.

„Czy wojsko w ten sposób prowadzone walecznym się stanie, czy pobije wroga, o to się i pytać nie należy: będzie ono nie waleczne, ale niezwyciężone"...

Z wojska tak prowadzonego pragnął mieć Traugutt apostołów idei wolności i braterstwa wśród mas ludowych. „Wolą jest Rządu Narodowego — zalecał dyktator w urzędowej odezwie — abyście zwrócili szczególniejszą baczność i gorliwość waszą ku doprowadzeniu ścisłego i serdecznego porozumienia się i zbratania wojska naszego z ludem. Rząd Narodowy patrzy na wojsko nie tylko jako na obrońców kraju, ale zarazem jako na pierwszych i najwierniejszych stróżów i wykonawców praw i postanowień, przez Rz. Narodowy wygłaszanych, a przedewszystkiem praw nadanych ludowi polskiemu na mocy manifestu z d. 22 stycznia r. b.; ktoby się zaś odważył w czymkolwiek te prawa gwałcić, ma być uważany za wroga ojczyzny i to za wroga gorszego od Moskala i Niemca".

... Troska o wojsko nie usuwała z porządku dziennego troskliwości o dopilnowywanie ścisłego wykonywania i wprowadzania w życie praw, nadanych ludowi na mocy manifestu Rządu Narodowego w *chwili styczniowego wybuchu*. Dla zapobiegania wszelkim wypadkom gwałcenia tego prawa styczniowego wydał dyktator d. 27 grudnia 1863 r. dekret, ustanawiający pod zwierzchnictwem komisarzy pełnomocnych województw oddzielną gałąź władzy administracyjno-sądowej, której zadaniem miało być zajmowanie się wyłącznie sprawami uwłaszczenia włościan. Dekret ustanawiał oddzielne sądy, do których miały być wnoszone zażalenia na nieuszanowanie praw własności *nadanych ludowi*. *Artykuły dekretu* były bardzo stanowcze: tak np. art. IV orzeka, iż ktokolwiekby zmuszał włościan drogą ucisku, t. j. sądową, administracyjną lub za pomocą wojskowej egzekucji do składania czynszu, opłaty, odrabiania pańszczyzny — „ma być śmiercią karany". Nie wiemy, czy zdołano w czasach coraz to cięższych, pod naciskiem wroga, rozwinąć tę instytucję, zapewniającą ludowi nadane mu prawa; niemniej jednak wiemy, że w województwach, gdzie gorliwsi byli komisarze pełnomocni, dekret wchodził w życie i wydawał pewne owoce.

* * *

... Wśród trudnych dni swej dyktatury Traugutt posiadał parę zaledwie chwil jaśniejszych. Do takich chwil pogodnych zaliczyć należy owe dnie w pierwszej połowie listopada, gdy rozległ się wśród Europy głos Napoleona III, który

w mowie tronowej, wygłoszonej d. 5 listopada 1863 r., poświęcił główną uwagę kwestji polskiej, przeważnie zaś walce o niepodległość Polski ówczesnej... Jeżeli mowa Napoleona nie przeszła bez wrażenia bodaj chwilowego w gabinetach dyplomatów, brzmiała ona pobudką lepszego jutra w znękanych polskich umysłach, w zasypanych śniegiem taborach powstańczych; w tych ostatnich szczególniej była pobudką, wygłaszającą nadchodzący dzień zwycięstwa... Traugutt uważał rzeczone wystąpienie francuskiego monarchy za fakt bardzo naturalny, za przedświt zwrotu w polityce świata ku podniosłym ideałom dobra i prawdy, których to ideałów on był wyznawcą i mniemał, iż maluczko, maluczko, a wielkie zasady, głoszone przez Chrystusa, ujawnią się w czynach monarchów i dyplomatów Europy.

... Pierwsze tygodnie zimowe przynosiły coraz dotkliwsze klęski w szeregach organizacji. Aresztowania jednych pociągały za sobą uwięzienia innych; wykrywano wciąż, wprawdzie nie ludzi wyższych stanowisk w organizacji, ale nieustannie coś odkrywano i tym samym podkopywano całe misterne rusztowanie władz Rządu Narodowego. Upadek ducha dawał się spostrzegać najwyraźniej, i to nie w sferach rzemieślniczych, które szły do więzienia, a stamtąd nieraz na szafot, zawsze na dalekie, srogie wygnanie, zachowywały się wszakże wzorowo, nie ułatwiały przez swą małoduszność odkryć komisjom śledczym; ale inteligiencja średnich rozmiarów najczęściej świadczyła, że panika najgorszym doradcą. Zerwane nici w misternej sieci organizacyjnej coraz trudniej łatano; materjału stosownego zabrakło. Drukarnie wykrywano jedne po drugich, przynosząc tym niemałe straty i w ludziach, którzy szli do więzień, do katorg, na szubienicę, i pozbawiając organa rządowe tak cennego czynnika, jak druk. Z niezwykłym wielekroć poświęceniem te szczerby i w dziedzinie drukarstwa i inne uzupełniano. Podziw budziły zabiegi, usiłowania, poświęcenia młodzieży rzemieślniczej, kobiet nieraz mało wykształconych; ale w miesiącach, sięgających ku środkowi zimy, oko bezstronne, gdyby rzucało spojrzenia na stolicę, dostrzegłoby bezwątpienia ślady znużenia moralnego wśród ogółu. Stopniowo zaczęli opuszczać dyktatora ci, którym ufał, którzy do bliższych współpracowników się zaliczali, a którzy zmuszeni byli usunąć się, aby uniknąć pewnego aresztowania.

Ubywanie nieustanne a bezpowrotne znanych pracowników, przerzedzanie się szeregów, wcale już nie licznych w stolicy, zdawało się nie zasępiać oblicza Traugutta: żołnierz patrzył ze spokojem na klęski niemal codzienne. Zasępiało się jego oblicze jedynie wtedy, gdy naczelnik miasta składał raporta o odkrytych przez policję narodową usiłowaniach mierosławczyków lub innych wichrzycieli, dążących do podkopywania powagi bądź prac Rz. Narodowego... Ku końcowi listopada przekradł się do Warszawy Jan Kurzyna, znany agitator Mierosławskiego. Policja narodowa wytropiła go i zmusiła do wyjazdu.

... W owym czasie Rosja zerwała była najzupełniej ze wszystkiemi systematami umiarkowanemi; prowadzono walkę eksterminacyjną nie tyle z powstańcami w polu, których zastępy stawały się coraz mniej liczne, ile z tym wszystkim, co mieniło się polskim. Dyplomatyczna kampanja, podniesiona przez większość państw europejskich, uważana była, i słusznie, za rzecz już wówczas ukończoną. Rosję, którą w ciągu wiosennych miesięcy 1863 r. przechodziły dreszcze obaw wojny z koalicją Zachodu, w pierwszych tygodniach 1864 r. święciła w swej myśli tryumf zwycięstwa i kuła projekty zupełnej zagłady wszystkiego, co polskie, z początku nad Niemnem, Słuczą, Horyniem, a później nad Wisłą i Prosną. Orjentowała się ona, jak pospolicie u niej bywa, szybko, widziała, że wszelkie tamy, oddzielające ją od Zachodu w postaci cienia Polski, znikają; odtąd może ciążyć nieustannie swą groźną potęgą nad cywilizacją europejską. Stanowczość chwili rozumiał Traugutt wybornie, postanowił przeto jąć się środków ostatecznych, wszystkie siły i środki kraju poruszyć, podstawę walki rozszerzyć. W pierwszych tygodniach 1864 r. opracował a 27 stycznia rozesłał dekret, zwołujący do broni pospolite ruszenie. Krok ten, patrząc na wypadki po wielu latach, może być uważany za ostatni wysiłek, najzupełniej bezowocny, ostatni niejako strzał na wielkim pobojowisku; w umyśle Traugutta inaczej się przedstawiał.

Bój, trwający przez zimę całą w Krakowskim i Sandomierskim, ożywiający się niekiedy na prawym brzegu Wisły, gdzie go podsycały gromadki piesze i konne litewskich powstańców, przechodzące podczas zimy z Grodzieńskiego, w którym już utrzymać się dłużej nie mogły, wskazał, że powstanie trwa, niestłumione. Z drugiej znowu strony ra-

porty komisarzy wojewódzkich dużo mówiły o dobrym usposobieniu ogółu mieszkańców; niekiedy, w niektórych województwach, narzekając na szlachtę, a natomiast podnosząc usposobienie, duch ludu wiejskiego—lub naodwrót. Traugutt, opierając się na relacjach, których sprawdzić nie mógł na miejscu, patrzeć był zniewolony na stan kraju przez pryzmat owych sprawozdań, tak często mylnych. Ogólne wrażenie ze sprawozdań takie było, iż dyktator nie wahał się powołać masy do powszechnego powstania, na ich przewagę, jako na siłę niczym nieprzepartą, licząc. Niepodobna się temu dziwić, wiedząc, jak bardzo Traugutt wierzył w siły narodu, w moc i poświęcenie bezbrzeżne społeczeństwa.

... W liście do Bosaka dyktator wskazuje różne powody, skłaniające go do przyśpieszenia terminu pospolitego ruszenia, a między innemi i konieczność wystąpienia podczas trwania wojny w Danji, aby przez to rzeczy w Europie jeszcze bardziej zawikłały się; bo Europa zobaczy, że zima nie tylko nas nie zmroziła ani zapału nie odjęła, lecz, przeciwnie, w zimie przygotowaliśmy siły, które z wiosną stokroć groźniej, niż w roku zeszłym, występują.. Z tego naturalny wniosek, że powstania naszego Moskwa nie stłumi; a że pokój Europy na gwałt potrzebny—więc konieczny rezultat, że trzeba naszym chęciom zadośćuczynić, bo bez tego nie tylko pokoju nie będzie, ale wojna coraz szerzej rozejść się musi. ...Nie rozeszła się. Owszem, wszystko brało taki kierunek, by ostateczne wyniki przynosiły nam szkodę, nie pożytek. ...Do pospolitego ruszenia nigdzie nie przyszło, nawet w tych województwach, które zajęte były przez korpus II, t. j. przez wojsko narodowe, zostające pod wodzą Bosaka; składały się na udaremnienie zamiarów różne przyczyny, wśród których ujęcie przez Rosjan Traugutta odgrywało rolę wcale nie podrzędną. On był wszystkim w ostatnim półroczu walki — on znika z widowni, wszystko w jednej chwili upada. Gdy wiadomość o jego ujęciu dochodzi do obozu Bosaka, Bosak natychmiast opuszcza Królestwo: widzi bowiem, że duch, ożywiający powstanie, zniknął, filar jedyny oddawna w proch rozsypującego się gmachu nadziei runął...

... W marcu, t. j. w ostatnich tygodniach swych rządów, Traugutt zwrócił się do koalicji z przedstawicielami ówczesnych żywiołów rewolucyjnych w Europie: na Węgrzech i we Włoszech. Ogłoszenie stanu oblężenia w Galicji, znikająca nadzieja czynnego poparcia naszej sprawy przez rzą-

dy zniewoliły go zwrócić się ku ludom i ku ich aspiracjom wyzwolenia się z tego bądź owego ucisku.

... Jak wszystkie klęski, tak i ogłoszenie stanu wyjątkowego w Galicji powitał Traugutt z niepospolitym spokojem...

... Dni, kończące marzec a rozpoczynające kwiecień pamiętnego swemi klęskami r. 1864 patrzyły na najzupełniejsze zapracowywanie się Traugutta. Praca atoli nie zdawała się go nużyć, a spokój nie odstępował, chociaż okoliczności wymownie wskazywały, że niebezpieczeństwo wisi nad jego głową na jednym włosku. Niemniej jednak nic się nie zmieniało ani w trybie życia, ani w porządku dnia, ani w pogodzie jego umysłu. Trwóg osobistych on nigdy nie miał, ukochania rodzinne bardzo głęboko w swym sercu pogrzebał, acz one w nim zawsze górowały; dla świata, dla życia poza zakresem swych prac, swej izby, z której, jak wiemy, bez koniecznej potrzeby nie wychylał się—on oddawna nie istniał. Poświęcenie się jednej idei pochłonęło go zupełnie.

... W nocy z d. 9-go na 10 kwietnia [1]) Traugutt usłyszał o pierwszej w nocy bardzo głośne, natarczywe dzwonienie. Udał się do pokoju środkowego i zakołatał mocno do drzwi Kirkorowej, mówiąc: „Po panią przyszła policja".

... Orszak zbrojny zapytał o lokal p. Michała Czarneckiego i tam wtargnął. Traugutt był w łóżku. Ujrzawszy wchodzących, rzekł ze spokojem sobie właściwym: „to już".

Tak... już wszystko runęło, już z poza osłony złudzeń stawała przed nim rzeczywistość straszna, nie dla niego, bo siebie oddawna poświęcił dla ojczyzny — ale straszna dla Polski, wchodzącej do nowego cyklu cierpień; już stał przed nim kielich ofiary, przeznaczony do spełnienia. Spełnił go tak wzniośle, jak wzniosłe a niezwykłe było to jego przejście przez ówczesną arenę dziejową.

... Traugutt stawiony został przed komisję indagacyjną; tutaj poznał go jeden z członków komisji, Zdanowicz, dawny

---

[1]) Aresztowanie nastąpiło na skutek zeznań lekarza C. Morawskiego, który Traugutta odwiedzał jako osobisty znajomy. W organizacji powstańczej — przynajmniej w chwili aresztowania — nie grał on żadnej roli. Morawski wydał Traugutta w d. 8 kwietnia i przesłał mu ostrzeżenie, które jednak dla przyczyn niewiadomych do dyktatora nie doszło. Policja pojawiła się na Smolnej dopiero na trzeci dzień. To zwlekanie było dziełem niektórych organów policyjnych, które, mając w swym łonie Polaków, w ten sposób chciały ułatwić ucieczkę tym, co do ostatniej chwili na posterunku stać pragnęli i stali. Przyp. Red

kolega wojskowy. Traugutt nie zaprzeczył, owszem, oświadczył, kim jest i jakie stanowisko w ostatnim półroczu w Polsce walczącej zajmował... Istnieje legienda, że wróg go wyróżniał wśród więźniów, że mu oszczędzał niejednego udręczenia; faktem jest atoli, iż w ostatnich dniach kwietnia i pierwszych maja, gdy zimno dotkliwe czuć się dawało, trzymano go, jak wielu innych, w podziemiach Pawiaka. W niewielkiej odległości od siebie były piwnice, w których trzymano Traugutta, Dr. Dybka, Kirkorową i mnie. W maju przewieziono do cytadeli wszystkich więźniów, którzy mieli jakiś bodaj odległy związek z wydziałami Rz. Narodowego; wszyscy oni zostali przez komisję śledczą zaliczeni do wielkiego procesu Traugutta.

... Traugutta trzymano samotnego w celce; na chwilowe przechadzki wychodził również sam... Żona chciała przybyć z Litwy do Warszawy, by męża odwiedzić, lecz gubernator grodzieński zabronił jej wydać paszportu... Tak więc pozbawiono go możności posiadania wiadomości o rodzinie, o najbliższych, do których tak gorąco był przywiązany.

... D. 5 sierpnia 1864 r. wieziono na pięciu wózkach pięć ofiar, pięciu bohaterów obowiązku, których tracenie miało być dla Rosji najwyższym tryumfem. Obok każdego z nich siedział spowiednik. Święciła Rosja ten tryumf uroczyście i świetnie, niby dzień radości i chluby swej narodowej. Z całą okazałością wojskową wystąpiła ona na plac egzekucji na stokach cytadeli, dla nadania większej grozy ostatniej scenie krwawego dramatu. Tysiące bagnetów strzegło szafotu i tłum dygnitarzy i gienerałów rosyjskich w galowych mundurach wskazywał, jak wielką wagę wróg przywiązuje do owej chwili. Pogląd wroga był prawdziwy: spadała wówczas zasłona nad ziemią, zbroczoną krwią, zalaną morzem łez — dramat powstania był skończony.

Pochód wiezionych na stracenie rozpoczynał Traugutt, zamykał Jeziorański: ustawiał ich wróg wedle stopnia winy... Poza szeregami wojska i policji zalegały tysiące mieszkańców stolicy obszerne przestworza przed twierdzą... Wprowadzano ich na rusztowanie i tracono w porządku odwrotnym, niż wieziono: pierwszym tracono Jeziorańskiego, ostatnim Traugutta. Pierwszy z nich ostatniego pierwszy raz w życiu ujrzał pod słupem szubienicy, chociaż, wedle brzmienia wyroku, wrzekomo pracowali oni wspólnie... Dekret odczytywano długo, z pewną ostentacją, a skazani zmuszeni byli

wysłuchać go pod szubienicą, która za chwilę stać się miała ofiarnym stosem całopalnej ofiary obowiązku.

Dekret, w którym fałsz rozmyślny walczył o lepsze z fantazją wroga, polecono przedrukować we wszystkich gubernjalnych gazetach całego państwa, od Kalisza do Kamczatki. Miał to być hymn tryumfu wroga i tej zemsty, która przyświecać odtąd zaczęła Rosjanom i przyświecała wciąż, całe dziesiątki lat...

Traugutt podczas czytania wyroku i do ostatniej chwili, gdy z kolei i on wstąpił na ów stos ofiarny, odmawiał modlitwy ze swym spowiednikiem, nie zwracając uwagi na to, co się wokoło dzieje... Złożył wreszcie ręce, jak do modlitwy—i w tej pozycji widziano, iż biała postać ta zawisła obok czterech innych...

Wielki jęk z piersi wielu tysięcy ludu wówczas rozległ się, głusząc huk bębnów i dźwięk muzyki wojskowej. Wrażenie owej chwili wstrząsało nawet umysły i serca niejednego wśród wrogów, zostawili oni tego rodzaju świadectwa, bardzo wiarogodne, z obcego bowiem obozu pochodzące.

Około godz. 10-ej Traugutt skonał... Ciała straconych dwie godziny wisiały, zanim je wróg zabrał i pogrzebał w miejscu nieznanym.

... Boleśnie odczuła Warszawa ów dzień tracenia, acz oswojona już była z drzewem szubienic, z salwą rozstrzelań. Spotykano w dniu tym w stolicy przykłady nagłej śmierci z nadmiaru boleści.

(Podług Marjana Dubieckiego).

Krzyż na stokach Cytadeli.

Piątego sierpnia na stokach Cytadeli odbyła się piękna i podniosła uroczystość. Na miejscu stracenia ostatniego Rządu Narodowego—dyktatora Romualda Traugutta i czterech jego towarzyszy: Rafała Krajewskiego, Józefa Toczyskiego, Romana Żulińskiego i Jana Jeziorańskiego, wzniósł się wysoki krzyż dębowy z wizerunkiem Chrystusa i koroną cierniową. U stóp krzyża widnieje złom nieobrobionego granitu z wyrytym napisem, komu ów kamień położono; „tu straconym" — kończy się napis — „d. 5-go sierpnia roku 1864 lud warszawski dn. 5-go sierpnia r. 1916. Boże, zbaw Polskę."

Olbrzymi, nieprzejrzany tłum zaległ plac przed Cytadelą i wyloty ulic, do niej biegnących. W skupieniu, w żarliwym napięciu ducha zwrócił się sercem lud Warszawy ku pamięci tych pięciu męczenników idei narodowej i wszystkich, którzy, jak oni, zawiśli na słupach szubienic, lub polegli na polach bitew w nierównym boju z przemagającym wrogiem.

W szeregu deputacji pierwsi szli uczestnicy powstania r. 1863. Z głębokim wzruszeniem spoglądała zebrana publiczność na te czcigodne postacie. Powiało od nich bujnym tchem niezapomnianej przeszłości. Ileż wspomnień tragicznych a wielkich wiązało się z tą gromadką starców, dostojnych świadków przesmutnej, lecz bohaterskiej epoki!

I zdawało się chwilami, że ciągnie oto pochód bolesny. Pięć wózków z pięcioma skazańcami, kat na przedzie, łoskot bębnów, chrapliwe głosy komendy. A tam, na stokach Cytadeli, szubienica, symbol przemocy, grozy, panującej nad stolicą i nad ziemią polską. Ale to już minęło, na szczęście. I dziś, na tym samym miejscu, wyrósł z użyźnionej krwią świętą ziemi potężny krzyż, godło zmartwychwstania.

Warszawa umie i chce czcić pamięć tych, których dotychczas czciła tylko wspomnieniem W ostatnich miesiącach przybyło stolicy kilka takich pamiątek: krzyż na Woli, gdzie zginął rycerską śmiercią gien. Sowiński, krzyż na Grochowie, kędy tysiące młodych istnień kładło się pokotem pod nutę: „Jeszcze nie zginęła!" a szykuje się wielki pomnik zbiorowy: kopiec poległych, co, jak mogiła Kościuszki nad Krakowem, wzniesie się ponad Warszawą, świadcząc o nierozerwalnym związku dni dzisiejszych z krwawą, wspaniałą przeszłością.

(Tygodnik Ilustrowany, 12 sierpnia 1916 r.).

Wyjątki z listów Rafała Krajewskiego

„Moje drogie siostry, spodziewam się, że będziecie jeszcze do mnie pisały; jeżeli nie, przyjmcie moje ostatnie życzenia: przebaczcie wszystkim, szpiegom i katom, kochajcie żywych i tych, co pomarli, módlcie się o zbawienie waszego grzesznego brata i o przyjście na ziemię Królestwa Bożego, pracujcie i strzeżcie się pychy i próżności. — — Miłość i pozdrowienie moim braciom, siostrom i wszystkim moim przyjaciołom; miłość i przebaczenie moim nieprzyjaciołom i tym, którzy mnie będą spotwarzać; miłość i pożegnanie całemu światu! Ciała mojego nie wydadzą wam; postawcie krzyż na grobie Kazimierza. drugi na grobie Ksawery, ja tam będę!

...„Najdrożsi! Dziej się wola Boża; choć proszę Boga o odwrócenie kielicha, kończę! lecz nie moja, ale Twoja wola. Pragnę żyć i chętnie zrobię wszystko, co w mojej mocy dla zachowania życia, ale jeżeli tego trzeba, umrę bez rozpaczy; wszak kiedyś umrzeć muszę, życie cenię, jako pole pracy, nie rozkoszy; jeżeli mnie Bóg wcześnie od tej pracy odwoła, uznam w tym miłosierdzie Jego. Widmo śmierci dla mnie nie nowe — wszak z wiedzą tu szedłem, nie liczyłem na to, że do dziś dożyję, a że mi życie zostało przedłużone, Bogu niech będą dzięki; ile tygodni, tyle lat przeżyłem, dojrzewając duchem, a nie słabnąc ciałem! Zazdrośćcie mi szczęścia — dla mnie już niema kary! Życie przyjmę, jak łaskę, i śmierć, jak łaskę; widzicie — Bóg ze mną i ja chcę być z Nim. Zosiu! Chciałaś modlitw ode mnie; modlitw moich nie obejmę pismem, ale jeżeli umiesz duszą w duszy czytać — ja Ci swą duszę otworzyłem; i cóż większego mogę Ci dać nad te moje ostatnie dni, w których miłością i pokojem w dwa światy sięgam.

Kto się czuje na siłach, niech przyjdzie na egzekucję po to spojrzenie pożegnalne, co jest ostatnią nutą pieśni życia, ale tylko silni niech przyjdą; pamiętajcie, że taka śmierć to czyn — pomóżcie!

...Ksawera od piątku co noc mówiła do mnie we śnie. Osądźcie, czy śmierć może być dla mnie straszną? Moi już naprzód do mnie wybiegają z miłością. I ja tak potym przed Was wybiegać będę. Tylko w nagrodę można mieć taką

śmierć — ze zdrową duszą i zdrowym ciałem. Kto mnie kocha nieśmiertelnie, tego żal nie złamie, bo ten mnie nie straci. O najdrożsi! ja będę z Wami!

(Z listów Rafała Krajewskiego,
pisanych do rodziny).

Mowa cesarza Napoleona III.

Panowie Senatorowie, panowie Deputowani!

...Sprawa polska wymaga dłuższego przedstawienia.

Gdy wybuchło powstanie polskie, rządy rosyjski i francuski były w najlepszych stosunkach; od czasu pokoju we wszystkich wielkich sprawach europejskich ich zapatrywania były zgodne i nie waham się tego oświadczyć, że podczas wojny włoskiej, jak też w chwili przyłączenia Sabaudji i hrabstwa Nizzy, cesarz Aleksander użycza mi najszczerszego i najserdeczniejszego poparcia. Ta zgoda wymagała względnego postępowania, i sprawa polska musiała mi się zdawać bardzo popularną we Francji, gdym nie wahał się narazić jednego z najpierwszych sojuszów na kontynencie i podnieść głos za narodem buntowniczym w oczach Rosji, ale w naszych oczach spadkobiercy praw, zapisanych w historji i w traktatach.

Jednak ta sprawa dotykała najważniejszych interesów europejskich i nie mogła być traktowana przez samą tylko Francję. Jedynie obraza naszego honoru lub zagrożenie naszych granic nakładają obowiązek działania bez poprzedniego porozumienia. Okazało się przeto koniecznym, tak jak w czasie wypadków na Wschodzie i w Syrji, porozumieć się z mocarstwami, które, aby się oświadczyć, miały powody i prawa takie, jak nasze.

Powstanie polskie, któremu dłuższe trwanie nadawało cechę powstania narodowego, obudziło wszędzie sympatję, a celem dyplomacji było zjednać dla tej sprawy jak najwięcej objawów przystąpienia, aby zaciężyć na Rosji całą wagą opinji Europy. Ta zgodność, prawie jednomyślna, głosów zdawała nam się najlepszym środkiem przekonania gabinetu petersburskiego. Nieszczęściem, nasze bezinteresowne rady były przyjęte jako groźba, a kroki Anglji, Austrji i Francji, zamiast powstrzymać walkę, przyczyniły się tylko do jej rozjątrzenia. Z obu stron popełniane są nadużycia, które, w imię ludzkości, należy zarówno opłakiwać.

Cóż pozostaje do czynienia? Czy doprowadzeni jesteśmy do jednej tylko alternatywy — wojny lub milczenia? Nie.

Nie chwytając za broń, jak też nie zachowując milczenia, mamy jeszcze jeden środek: ponieść sprawę polską przed trybunał Europy. Rosja oświadczyła już, że konferencja, na

której wszystkie inne sprawy, które niepokoją Europę, będą roztrząsane, nie ubliża jej godności.

Zapiszmy to oświadczenie. Niech ono nam posłuży do ugaszenia raz na zawsze wszelkiego zarzewia niezgody, grożącego ze wszech stron wybuchem, i niechaj z chorobliwego właśnie stanu Europy, dręczonej tyloma żywiołami rozstroju, zrodzi się nowa era porządku i uspokojenia.

Czyż nie nadeszła chwila, aby odbudować na nowych podstawach gmach, podkopany przez czas i zniszczony część po części przez rewolucye?

Czyż nie jest naglącą rzeczą uznać za pomocą nowych umów tego, co się nieodwołalnie dokonało, a dokonać za wspólną zgodą tego, czego wymaga pokój świata?

Traktaty z r. 1815 przestały istnieć. Siła rzeczy je wywróciła lub dąży, prawie wszędzie, do ich obalenia. Złamane zostały w Grecji, w Belgji, we Francji, we Włoszech, jak i nad Dunajem. Niemcy pracują nad ich zmianą; Anglja zmieniła je szlachetnie przez ustąpienie wysp Jońskich, a Rosja depce je w Warszawie.

Śród tego stopniowego rozdzierania podstawowego paktu europejskiego podniecają się płomienne namiętności, a na południu, jak na północy, potężne interesy wymagają rozwiązania.

Cóż prawowitszego i rozsądniejszego, jak zaprosić mocarstwa Europy na kongres, w którym miłość własna i opór znikłyby wobec najwyższego polubownego Trybunału?

Cóż odpowiedniejszego idejom naszej epoki, pragnieniom większości ogółu, jak zwrócić się do sumień i rozumu mężów stanu wszystkich krajów i powiedzieć:

„Czyż nie za długo już trwały uprzedzenia i niechęci, które nas rozdzielają?

„Czyż zawistna rywalizacja wielkich mocarstw bezustannie będzie stać na przeszkodzie postępowi cywilizacji?

„Czyż zawsze podtrzymywać będziemy wzajemne nieufności przez przesadne uzbrojenia?

„Najcenniejsze źródła mająż wiecznie wyczerpywać się w czczej wystawności naszych sił wojennych?

„Czyż wiecznie będziemy utrzymywać stan, który nie jest pokojem, dającym bezpieczeństwo, ni wojną, przedstawiającą nadzieje powodzenia?

„Opierając się przez ciasne wyrachowanie prawowitym dążnościom ludów, nie nadawajmy dłużej sztucznej ważności duchowi przewrotu stronnictw krańcowych.

„Miejmy odwagę w miejsce stanu chorobliwego i niepewnego stworzyć położenie trwałe i prawidłowe, choćby to wymagało poświęceń.

„Zbierzmy się do ułożonego z góry systematu, bez ekskluzywnej ambicji, ożywieni jedną myślą utrwalenia porządku rzeczy, opartego odtąd na dobrze zrozumianym interesie panujących i ludów."

To wezwanie, pochlebiam sobie, będzie wysłuchane przez wszystkich. Odmowa kazałaby przypuszczać, że istnieją tajemne zamiary, które się boją światła dziennego; lecz choćby ta propozycja nie została przyjęta jednomyślnie, będzie miała tę korzyść, że pokaże Europie, gdzie jest niebezpieczeństwo, a gdzie ocalenie. Dwie drogi otworem stoją: jedna prowadzi do postępu przez pojednawczość i pokój; druga wcześniej czy później fatalnie wiedzie do wojny przez uporczywe utrzymywanie przeszłości, która się rozpada.

Znacie teraz, panowie, język, którym chcę przemówić do Europy. Skoro będę miał wasze przyzwolenie, przyzwolenie ogółu, moja mowa będzie musiała być wysłuchana, ponieważ będę przemawiał w imieniu Francji.

(Mowa wygłoszona w Ciele Prawodawczym dn. 5 listopada 1863 r.).

Gieneral Bosak w obozie.

...W Trzy Króle zrana [1]) przybiegł ordynans z przedniej straży z raportem, że na pikiecie od Cisowa zgłosił się oddziałek konnych powstańców, a naczelnik tegoż zameldował się jako gieneral Bosak. Zapytałem: „a cóż na to komendant forpoczty?" Komendant, pan kapitan, kazał stanąć pod broń, podszedł do pikiety, która gienerała zatrzymała, stanął frontem, sprezentował broń i pytał o rozkazy. Gieneral wypowiedział żądanie, iż chce wejść do obozu; na to kapitan, przepraszając gienerała, oświadczył, że bez zezwolenia komendanta swego nikogo do obozu wpuścić nie może, i że wyśle ordynansa z raportem.

Wtedy kazałem kapitanowi z dyżurnej kompanji, by udał się na placówkę z kompanją, tam oddał honory gienerałowi i wprowadził go do obozu. Tymczasem trębaczowi pułkowemu kazałem dać sygnał gieneralski, kompanje stanęły w ordynku, sformowałem dwa bataljony frontem do wejścia obozu.

Gdy gieneral się ukazał na czele 40 gwardzistów w przepysznych ułańskich uniformach, z akselbantami białemi na ramionach i w białych konfederatkach, zakomenderowałem: „prezentuj broń", trębacze grali marsz gieneralny, a ja zdałem raport o sile pułku.

Bosak zsiadł z konia, jego gwardja również, przeszedł pieszo cały front, przemówił do żołnierzy. Zapytał, czy niema w lesie obszerniejszego miejsca na odbycie mustry z bataljonami?

Oświadczyłem, iż trzeba wymaszerować za las na pola cisowskie.

— A możeby było niebezpiecznie opuszczać obóz?

— Gienerale, bez obawy zrobić to możemy.

Wydałem odpowiednie rozkazy, by kompanja, mająca dyżur, i nowoprzybyli żołnierze pozostali w obozie, dalej, by kompanje, wychodzące na produkcje przed gienerałem, ładunki ostre pozostawiły w szałasach, natomiast, aby kapitanowie rozdali swym żołnierzom do ładownic po trzy ładunki ślepe, gdyż zamierzałem z ogniem tyraljerskim się zaprodukować.

Tak wymaszerowaliśmy na pola cisowskie. Produkcje rozpocząłem, mustrę, obroty ciałem, robienie bronią, masze-

---

[1]) W r. 1864.

rowanie, zmiany frontów i inne ewolucje w większym korpusie. Nareszcie, na czele dwuch bataljonów przedefilowałem przed gienerałem, poczym prosiłem go o zezwolenie zaprodukowania pułku mustrą w rozsypanym porządku, względnie stoczenia bitwy, na co Bosak z radością przystał. Do wykonania tego planu prosiłem, by gienerał z gwardzistami stanął na wzgórzu cisowskim w zastępstwie nieprzyjaciela, pułk zaś będzie szturmem to wzgórze zdobywał. Gdy gienerał wyznaczoną pozycję zajął, odkomenderowałem 2 kompanje w tyraljerkę, drugie dwie wlewo i wprawo, jako posiłkowe posterunki tyraljerki; ja z resztą oddziałów i z kosynjerami stanąłem w pośrodku łańcucha, w rezerwie. Na sygnał trąbki pułkowej „stać!" tyraljerka stanęła na 2,000 kroków od pozycji gienerała; żołnierze pokładli się na ziemię, wyzyskując krzaczki i brózdy, jako zasłonę. Ruchy tyraljerki — wprawo, wlewo, naprzód, na sygnały trębacza pułkowego wykonywano z precyzją. Na mniej więcej 1000 kroków przed wzgórzem kazałem dać sygnał „ognia!"; posypały się strzały tyraljerskie, żołnierze wciąż postępowali naprzód. Na te strzały gienerał ze świtą skrył się za wzgórze.

Po chwili spostrzegłem jednego z gwardzistów, poza prawym skrzydłem tyraljerki, w galopie pędzącego ku mnie; gdy stanął, zapytał, jak ja mogłem dać rozkaz strzelania do gienerała i jego świty? Odrzekłem:

— Proszę gienerałowi zaraportować, że tyraljerka strzela ślepemi ładunkami.

Połapał się gwardzista, że się skompromitowali, sądząc, iż ostremi ładunkami strzelano, i rzekł:

— O tym przecież wiedzieliśmy, ale te strzały, choć ślepe, mogą Moskali naprowadzić i narazić gienerała.

— Proszę oświadczyć, że pod opieką bagnetów mego oddziału gienerał jest całkiem bezpieczny.

Gwardzista salutował i powrót swój uskutecznił już przez środek tyraljerki. Po chwili wyszedł gienerał na wzgórze ze świtą pieszo, stanął i przypatrywał się dalszym manewrom.

Na jakie 100 do 150 kroków przed wzgórzem kazałem dać sygnał do szturmu na bagnety. Ogniwa łańcucha ściągnęły się w szereg, posiłkowe posterunki wkroczyły w ten szereg, ja z rezerwą tuż za niemi. Z okrzykiem „Jezus, Marja!", jako z naszym hasłem bojowym, wpadliśmy na wzgórze i zdobyliśmy je.

Na wzgórzu sformowałem front, zakomenderowałem: „prezentuj broń — oczy wprawo!" poczym przystąpiłem do gienerała, prosząc o dalsze rozkazy Gienerał rozczulony wziął mnie za rękę, wyprowadził przed front i przemówił mniej więcej w te słowa do żołnierzy:

— Naród Polski i Rząd Narodowy z dumą patrzył dotąd na czyny bohaterskie swych synów sandomierskiej ziemi, walecznych żołnierzy oddziału majora Rębajły, lecz wykonanie dzisiejszej mustry ze zdobyciem pozycji nieprzyjacielskiej w zdumienie mnie wprowadziło i pytałem, czy to pułk regularnej armji najbitniejszej w świecie? To też w nagrodę za wasze waleczne czyny, dotąd dla ojczyzny położone, miło mi wam, bracia-żołnierze, oznajmić, iż Rząd Narodowy przyjął moją nową organizację w województwach sandomierskim, krakowskim i kaliskim, mianując mnie głównokomenderującym, i zamienił dotąd tak zwany „oddział Rębajły" na III pułk piechoty polskiej powiatu stopnickiego, zaś waszego dowódcę, majora Rębajłę, za bitwy zwycięskie 4 grudnia pod Mierzwinem i 9 grudnia pod Hutą Szczecińską Rząd Narodowy mianuje podpułkownikiem i dowódcą pułku Stopnickiego. Ja zaś przyjmuję w całości i zatwierdzam nominację majorów, kapitanów, poruczników i podporuczników, których mi podpułkownik Rębajło do tych rang podał. Dziękuję wam, żołnierze, w imieniu ojczyzny za dotychczasową waleczność waszą i wierzę, że niedługo na czele waszym wkroczymy do Warszawy.

Gienerał uściskał i ucałował mnie przed frontem, wiara krzyknęła: „niech żyje gienerał Bosak i pułkownik Rębajło!"

— A teraz, Rębajło, prowadź nas do obozu; spodziewam się, że nas poczęstujesz, bośmy wszyscy głodni.

Przyszedszy do obozu, gienerał przypatrywał się, jak kompanje przed swojemi szałasami ustawiły w kozły broń, a gdy zasiedli przy kotłach do obiadu, kosztował jedzenia, pochwalił system zaprowadzony, że oficerowie wspólnie z żołnierzami z kotłów jedli.

Dla gienerała i jego sztabu w moim szałasie zastawiono kociołek z grochówką i mięsiwo na drewnianym rożnie upieczone.

Tak się zakończyła świetna lustracja pułku Stopnickiego przez gienerała Bosaka.

(Pułkownik Rębajło (Karol Kalita).—Urywek z pamiętnika, umieszczony w wydawnictwie «W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego.»)

WOJSK. 58 P. P. Wlkp.

Ostatni z dowódców powstańczych.

W r. 1864 cisza cmentarna panowała w nieszczęśliwej ojczyźnie naszej; wszystko, co było ruchliwego, zginęło na szubienicach, w walkach z wrogiem lub wyszło na wygnanie; przestał powiewać sztandar bojowy wojsk narodowych, bo już rąk nie było do walki.

Na jednym Podlasiu tylko trzymał się ks. Stanisław Brzoska, tocząc bój z Moskalami i do wściekłości ich doprowadzając tym, że nie mogli się pochwalić przed światem ostatecznym zdławieniem powstania.

W początku ruchu narodowego ks. Brzoska za patryjotyczne kazanie do ludu w Łukowie został aresztowany i skazany na rok więzienia w kazamatach. Po trzech jednak miesiącach został uwolniony.

Gdy powstanie wybuchło, ks. Brzoska wstąpił, jako kapelan, z początku do oddziału Lewandowskiego, a potym do oddziału Krysińskiego, który mu oddał pod dowództwo kilkudziesięciu ludzi. W bitwie pod Staninem Brzoska był ranny. Gdy Krysiński wyjechał do Galicji, Brzoska zebrał resztki oddziału Krysińskiego, Rudnickiego i Kobylińskiego, sformował oddział z 1000 ludzi i stanął na jego czele. Po wielu potyczkach, otoczony ze wszystkich stron, zmuszony był ludzi rozpuścić, ale w lasach łukowskich zorganizował drobniejszą grupkę, głównie zbiegłych z wojska rosyjskiego żołnierzy i zaczął niepokoić załogi moskiewskie, a taką miłość i szacunek w ludzie wiejskim umiał wzbudzić, że w każdej chacie znajdował przytułek i bezpieczeństwo, a włościanie uprzedzali go zawsze o ruchach Moskali. Brzoska z oddziałkiem swym skrywał się stale w pośrodku t. zw. błot Jackich, na wysepce, złączonej wązkim przejściem z twardym brzegiem błota, pokrytego zawsze wodą.

W październiku 1864 r. nieprzyjaciel dowiedział się o tym schronieniu i otoczył go, ale Brzoska, uwiadomiony przez włościan zawczasu, wyniósł się w inne miejsce. Z Warszawy wysłano dowódcę kubańskich kozaków Zankisowa, który się odznaczył w poszukiwaniu powstańców; w całym Siedleckim urządzono mnóstwo obław, w których brali udział spędzeni chłopi; większa część żołnierzy Brzoski schwytana została, ale dowódca ich zniknął.

Po pewnym czasie od przekupionych Żydów dowiedział się porucznik Tołmasów, że Brzoska z czterema ostatniemi

towarzyszami nocuje we wsi szlacheckiej Przewóski. Otoczywszy wieś piechotą i kozakami, dowódca oddziału nakazał jak najściślejszą rewizję każdego domu. W ostatniej zagrodzie kozacy zauważyli zamkniętą szopę, której właściciel nie chciał otworzyć. Rewidujący odbili zamek, ale w szopie nie znaleźli nikogo. Zauważywszy jednak, że na belkach leżą snopy, jeden z kozaków wlazł tam i zaczął kłóć snopy pałaszem, lecz w tej chwili został uderzony kolbą w głowę przez jednego z powstańców, który wyskoczył ze słomy. Kozak zleciał na ziemię, a powstańcy, dawszy ognia, wyskoczyli z szopy i pobiegli ku blizkiemu lasowi. Dowódca chciał im przeciąć drogę do lasu, lecz, trafiony strzałem, upadł. Podoficer ścigał uchodzących i dwuch zabił, ale Brzoska z dwoma towarzyszami ocalał.

W marcu 1865 r. Moskale dowiedzieli się, że Brzoska ukrywa się u sołtysa pod Sokołowem. Z Warszawy wysłano znowu Zankisowa, ale najstaranniejsze poszukiwania nic wykryć nie zdołały, chociaż denuncjacja żydowska wymieniła nawet dom Bilińskiego. Tam rzeczywiście przechowywał się ksiądz za podwójną ścianą. Dowiedziawszy się, że Brzoska bywał często u panny A. K., mieszkającej w Starym Dworze, żandarm zaaresztował ją; torturowana, nie mogąc znieść męczarni, wydała jego schronienie. 29 kwietnia naczelnik wojenny z 10 kozakami i dwoma żandarmami otoczyli dom Bilińskiego i zaczęli rewizję. Widząc, że kryjówka jego odkryta, ks Brzoska przywitał ich strzałem, a gdy dokonywający rewizji zaczęli uciekać, ukazał się we drzwiach chaty z rewolwerem w ręku, a za nim adjutant jego, Wilczyński, który nabijał broń i podawał swemu dowódcy. Ciągle odstrzeliwując się, ks. Stanisław zaczął biec ku lasowi, ale nieszczęściem potknął się i upadł. Nadbiegł wachmistrz żandarmów, a choć Brzoska przytknął mu rewolwer do czoła, broń jednak nie wypaliła. Schwytany, ranny w rękę, Brzoska, widząc niemożność dalszego oporu, oddał rewolwer żandarmowi, mówiąc: „Weź go sobie na pamiątkę".

W trzy tygodnie potym ostatni ten dowódca powstańczy wraz ze swym adjutantem zginął na szubienicy. Nawet dzienniki moskiewskie wyraziły podziwienie nad niezwykłą energją, charakterem i poświęceniem tego ludowego bohatera, o którym pamięć długo będzie trwać wśród ludu podlaskiego. Cześć pamięci jego!

(Pułk. Struś. — Ludzie i wypadki z 1861 – 1865 r.).

Reakcja w kraju i represje rządowe.

Zdrada narodowa i nikczemność święciła wśród tego nastroju ogólnego wspaniałe tryumfy. Prezydent Warszawy, gien. Witkowski, zorganizował w styczniu szeroką akcję ugodową, zakończoną uroczystym balem 31 t. m., podczas którego Bergowi wręczono bogato oprawny adres „Stołecznego m. Warszawy", napisany w nikczemnie służalczym tonie. Bal ten odbywał się pod osłoną wojska i policji, i nosił wszelkie cechy maskarady. „Damy polskie" reprezentowane były przez 8 żon urzędników, sprowadzone Żydówki oraz żony i córki bardziej obałamuconych przez Witkowskiego drobnomieszczan. Królową balu była dobrze znana w kołach oficerskich córka rzeźnika. Za tym jednak balem poszły inne i, niestety, stopniowo salony zamku wypełniły się arystokracją i mieszczaństwem.

Ohydniejsze jeszcze były bale na prowincji, gdzie sfora wojennych naczelników wręcz znęcała się nad społeczeństwem polskim. Działy się tu rzeczy nie do uwierzenia, na które tylko nikczemne barbarzyństwo moskiewskie zdobyć się mogło. Na pierwszy bal taki, np. w Bielsku, naczelnik wojenny Borejsza sprowadził kobiety polskie przez Kozaków. W Łomży toż samo uczynił naczelnik Miasojedow, wybierając w dodatku żony i córki więźniów; w Tykocinie naczelnik Dmitrjew sprowadził na bal okoliczną szlachtę z żonami i córkami; pod grozą kontrybucji i kar cielesnych, kazał zaproszonym tańczyć, a sam z oficerami zasiadł do kolacji, naigrawając się z tańczących. W Łomży na balu zakazano tańczyć cywilnym, a oficerowie dopuszczali się podczas tańców z Polkami najnieprzyzwoitszych wybryków, na co musiało patrzeć sprowadzonych pod konwojem z więzienia kilku więźniów, między niemi mąż gospodyni balu p. Majewskiej; przez kozaków również sprowadzono damy na bal w Pułtusku i t. d. Moskale jednak dopięli swego i ze wstydem trzeba przyznać, że niedługo potym czasy popowstaniowe zaznaczyły się ożywionemi tańcami. Siłą również zmuszano do bywania w teatrze, o którym nakazano pisać możliwie więcej gazetom.

Masowym zaś objawem szerzącej się reakcji były zainicjowane przez władzę z pomocą przeróżnych gadzin zdradzieckich adresy wiernopoddańcze, jakie się posypały w styczniu i lutym ze wszystkich stron Królestwa. Treść tych adresów często wręcz uderzała służalczością i nikczemnym tonem. Górowali w tym szczególniej Żydzi i koloniści niemieccy.

„Naród żydowski, przedmiot niesłychanego ucisku w Rzeczypospolitej Polskiej, dopiero pod berłem monarchów rosyjskich znalazł szczęście i dobrobyt"—pisali Żydzi warszawscy". „Królestwo Polskie czarno splamiło się w obliczu twoim i całego świata! Gardzimy tym imieniem i jako wierni synowie Rosji przyznajemy ją za jedyną i bezpośrednią naszą ojczyznę, której prawami i władzą pragniemy być rządzeni" —oświadczali Żydzi tykocińscy; Żydzi znów z Suwałk prosili o wprowadzenie praw i urządzeń rosyjskich... Słowem, pamiętne śluby o braterstwie „synów jednej ziemi" w kąt poszły zupełnie.

Naogół podano adresów 589 ze 104.726 podpisami lub upoważnieniami do podpisów, z czego przeszło połowa na Żydów i drobnomieszczaństwo rolne małych mieścin wypada. Chłopi i koloniści niemieccy podali adresów 257 z 31,137 podpisami lub upoważnieniami, szlachta—13, podpisane przez 3,220 osób, duchowieństwo 8 z 568 podpisami i wreszcie 156 urzędników podpisało 3 adresy. Adresy te, aczkolwiek nazbyt często wymuszone represjami, niestety, wiernie oddawały ogólny nastrój kraju, zmęczonego trzechletniemi zamieszkami i pragnącego pokoju, choćby kosztem godności własnej okupionego.

... Okrucieństwa moskiewskie w miarę słabnięcia powstania wzrastały do potwornych rozmiarów i przerodziły się w jakąś dziką, niepohamowaną zemstę nad pokonanym wrogiem. Co więcej, Moskale, nie zważając zupełnie na fakt, że powstanie ogarnęło stosunkowo niewielki odłam społeczeństwa, wściekłość swą skierowali przeciwko całemu ogółowi. Wyjątek dla prześladowań tworzyli chłopi, których forytowano i nawet aresztowanych za sprawy powstania sądzono łagodniej.

Od początku 1864 r. całe Królestwo znajdowało się pod zarządem gienerał-policmajstra, którym został Trepow. Była to zupełna dyktatura, wkraczająca we wszystkie strony życia narodu, nieodpowiedzialna niemal zupełnie i nieograniczona w swej władzy najzupełniej. W biurze gienerał-policmajstra rozstrzygano kwestję życia i egzystencji materjalnej obywateli całego kraju. Urzędnicy, przeważnie z pośród oficerów i szpiclów podobierani, rządzili całym krajem. Paszporty obostrzono do niemożliwości, rewizje i areszty masowe, zarówno w kraju, jak w Warszawie, były zjawiskiem codziennym. Szpiegostwo posunięto do najdalszych granic. Czter-

dziestu pięciu szpiclom oddano koncesje na szynki w samej Warszawie, denuncjacje hojnie wynagradzano. Wszystkie więzienia były przepełnione, sprawy szły niezwykle wolno i podejrzanych trzymano całemi miesiącami w więzieniu. Specjalnym ciężarem dla kraju były nakładane kontrybucje i kary pieniężne. W d. 5 stycznia obłożono kontrybucją szlachtę i wogóle właścicieli ziemskich, oraz wszystkie miasta (duchowieństwo dwukrotnie zostało obłożone kontrybucją jeszcze w grudniu).

Policja zachowywała się brutalnie i nieludzko. Bito w cyrkułach, wymyślano na ulicy, kozacy i policjanci tłukli publiczność za lada powodem. Rózgi były w codziennym użyciu. Komisarz Rydzewski zasmagał na śmierć ciężarną kobietę, a uczniowi Łyszkiewiczowi, przy którym znaleziono papiery i odezwy rewolucyjne, kazał dać 200 rózeg w cyrkule. Inni nie byli lepsi. Na prowincji naczelnicy wojenni znęcali się nad ludnością bez litości. W Łomży zwycięzca Sierakowskiego, gen. Geneckij, kazał spędzić na rynek całą ludność miasta dla wysłuchania jakiejś odezwy i, wyszedszy przed tłum, kazał klęknąć wszystkim. Urzędnikowi sądu miejscowego, Troczewskiemu, który się oparł temu dzikiemu rozkazowi, kazał dać 500 nahajek. W Grójcu Sokołow kazał wieszanemu dowódcy żandarmerji narodowej Sagajtysowi przed śmiercią dać publicznie 50 nahajek; naczelnik wojenny w Krasnymstawie pod grozą kontrybucji kazał wszystkim obywatelom swego powiatu ogolić wąsy; w Radomiu gien. Bellgerd czterech rzemieślników kazał powiesić za brak szacunku dla siebie, a Czengiery w Kielcach wziętego do niewoli oficera francuskiego Logiera kazał obić nahajkami tak, że ten umarł, i t. d. Bez końca można byłoby mnożyć przykłady dzikości.

... Tego rodzaju polityka niszczycielska i dzika względem Polski znalazła niesłychaną sympatję w Rosji. Milutin, Murawjew, Berg stali się bohaterami narodowemi. Ze wszystkich stron Rosji słano im adresy, pisano na ich cześć wiersze, podczas wszystkich bankietów wznoszono ich zdrowie. Przyjazd Murawjewa do Petersburga był zawsze powodem do burzliwych manifestacji, od kolei do mieszkania witały go rozentuzjazmowane tłumy. Na dworcu hrabianka Bładowa, ongi stronniczka Wielopolskiego, podawała mu chleb i sól. Przyjaciel Mickiewicza, ks. Wiaziemskij, nazywał go następcą Suworowa, co kiedyś kazał rznąć dzieci polskie dla uratowania dzieci rosyjskich.

(J. Grabiec.—Rok 1863).

Cyrkularz gien. policmajstra Trepowa.

Do wszystkich gubernatorów z dn. 23 października 1865 r.

W m. Łomży w ostatnich czasach odbywało się wesele majora pułku kałuskiego piechoty, Uszakowa, z p. Antoniną Obuchowiczówną, krewną prezesa tamtejszego Trybunału cywilnego, Nowińskiego.

Na ceremonję ślubną, jak również na zabawę wieczorną, nie przybyła ani jedna zaproszona dama i panna. Odmowę swoją trzymały one w tajemnicy i dopiero późnym wieczorem zawiadomiły, że nie przybędą. W kilka dni później p. Nowińska otrzymała list bezimienny (autor jego dotąd nie został wykryty), pełen wymyślań i gróźb za to, że wychowanicę swoją wydała za Rosjanina.

Następujących urzędników rodziny odmówiły przybycia na wesele: Białosukni, prokuratora Trybunału cywilnego; Janczewskiego, sędziego tegoż Trybunału; Kozarskiego, prezydenta m. Łomży; Kirchnera, pomocnika inspektora szkoły. Nieprzybycie dam na wesele Rosjanina z Polką dowodzi, że urzędnicy są ciągle przeciwni wszelkiemu zbliżeniu się z Rosjanami, co niewątpliwie ma wpływ na utrwalenie w społeczeństwie wrogich stosunków z niemi, forma zaś odmowy świadczy o pogardzie, nie wybaczonej wogóle w życiu publicznym, a tym więcej przy uroczystości, uważanej wszędzie za świętą.

Jaśnie Oświecony Namiestnik Królestwa, otrzymawszy o tym raport i zauważywszy, że wymienieni powyżej urzędnicy widocznie nie chcieli nakłonić swych rodzin do uczestniczenia w zabawie, czy też nie mieli należytej powagi i pozwolili na okazanie wyraźnej pogardy dla zaślubin rosyjskiego oficera z Polką, jak również jednakowa forma odmowy ze strony wszystkich zaproszonych, wreszcie list bezimienny są dowodem z góry obmyślonego planu postępowania, przekonywującego o ich szkodliwym kierunku politycznym, rozkazać raczył: prokuratora Białosuknię, sędziego Janczewskiego, prezydenta Kozarskiego i pomocnika inspektora szkoły Kirchnera natychmiast uwolnić ze służby, oraz żeby zaraz

wyjechali z Łomży: Białosuknia i Kozarski do Lublina, Janczewski i Kirchner do Radomia, gdzie tak oni, jak i ich rodziny mają być oddani pod surowy dozór policyjny.

(Wojennoje położenie w Carstwie Polskom wo wremia miatieża 1863 goda i jego posliedowatielnyja widoizmienienia. Po niesomniennym dokumientam. Russkij Archiw, 1903).

Powstanie zabajkalskie.

...Od kwietnia 1863 r., daty, w której rozpoczęła się na wielką skalę wędrówka polskich skazańców na wschód, aż do listopada 1863 r., przez Petersburg przeszło około 6,000 skazańców. Nie mamy żadnych danych ze szlaków moskiewskiego i kijowskiego, wszakże nie oddalimy się zbytecznie od prawdy, jeżeli cyfrę powyższą potroimy. Jeżeli do tych 20,000 ludzi dodamy 30,000 wygnanych na Sybir bezpośrednio, to ocenić dopiero będziemy mogli w przybliżeniu ten ogrom strat, ten straszny, bezprzykładny upust krwi, jakiego doznał w tych okropnych latach naród polski.

[Wśród syberyjskich zesłańców powstają projekty ucieczek, a nawet wydobycia się zbrojną ręką na wolność. Nad Bajkał wysłano 721 polskich katorżników. Mieli oni budować t. zw. krugobajkalską drogę. Głód i nędza, jakiej tam doznawali, brutalne traktowanie przez dozorców wywoływały wśród nich niezadowolenie, graniczące z rozpaczą. Celiński i kilku innych ludzi osnuło plan, aby tych zrozpaczonych nakłonić do śmiałego kroku: przedarcia się z bronią w ręku do chińskiej granicy, a stamtąd — na wolność. Rachuby zawiodły: zesłańcy nie byli zdolni do śmiałego czynu, tymbardziej, że właśnie zabłysła im bardzo złudna nadzieja uzyskania wolności na drodze mniej ryzykownej. Oto car Aleksander, którego nie dosięgła kula Kanakozowa, z radości wydał manifest, łagodzący dolę zesłańców. Zdawało się więc, że może po tym manifeście nastąpią inne, otwierające im drogę do kraju. Wskutek tego znalazło się wielu przeciwników desperackiej walki, którzy w chwili stanowczej pozostali na uboczu i w ten sposób rozdwoili siły powstańców. Daremnie zachęcał ich do boju Szaramowicz, wołając: „Moskala znacie, on w zaciekłej zemście wybierać nie będzie, i my zginiemy, i wy się nie ocalicie; dlatego wzywam was, obierzcie tę jedyną drogę, jaka nam pozostała."

W nocy z 24 na 25 czerwca powstał w Kułtuku Arcimowicz na czele 50 ludzi, rozbroił żołnierzy, wziął broń i żywność i ruszył ku stacji Amurskiej, gdzie zniszczył linję telegraficzną, łączącą Irkuck ze wszystkiemi stacjami skazańców, zabrał konie i broń i ruszył do Murynu. Tu powstał z drobną garstką Szaramowicz i obie połączone partje po-

szły dalej pod wodzą Szaramowicza. Cały ten oddział liczył wszystkiego 80 ludzi — i ruszył do Miszychy dla połączenia się z Celińskim. Po drodze powstańcy wzięli do niewoli podpułkownika Szaca, który kierował robotami technicznemi przy budowie drogi, oraz pułkownika Czerniajewa, dowodzącego eskortą i strażą. W Miszysze, tak samo, jak w Kułtuku i Murynie, leniwie i niechętnie brano się do broni.

Wiadomość o powstaniu wywołała w Irkucku wielkie przerażenie. Pośpiesznie wysłano 300 ludzi pod wodzą majora Rika. Powstańcy mieli razem około 250 ludzi, przytym brakło im broni i żywności oraz map, któreby pozwoliły im się orjentować w tym kraju pustym i nieznanym. Los ich był z góry przesądzony. Nadomiar złego w przeddzień starcia z Rikiem powstała sprzeczka między Celińskim i Szaramowiczem. Celiński obstawał przy swoim planie przedarcia się jak najśpieszniejszego ku chińskiej granicy, zaagitował część oddziału i odszedł na czele 2-ch plutonów jazdy, t. j. 100 ludzi najlepiej uzbrojonych i zaopatrzonych w żywność. Szaramowicz, pozostawiony własnemu losowi, uległ przeważającej sile: dwudziestu powstańców poległo, reszta rozproszyła się po lesie. Podobny los spotkał partję Celińskiego, któremu nie udało się urzeczywistnić swego projektu i ludzi do Chin wyprowadzić].

...Ci, co z Szaramowiczem zagłębili się w tajgę, błąkali się po niej przez dwadzieścia cztery dni, wystawieni na wszelkie cierpienia, jakich doznać może człowiek, zostawiony sam sobie w syberyjskich pustyniach. Pewnego razu rozpalili ogniska, których dym sprowadził maleńki oddziałek z partji Celińskiego. Mieli oni broń palną i pewien zapas nabojów. Przypatrzywszy się kolegom, których uznali za konających, oddalili się cicho. Dwudziestego czwartego dnia Szaramowicz ze swemi wydostał się na obszerną niezarosłą płaszczyznę, na której ujrzano jurty burjackie. Zastali je puste, bo Burjaci, wezwani przez władze rosyjskie, poszli polować na powstańców. Na szczęście, spostrzeżono pasące się niedaleko bydło: schwytano jedną sztukę, zapędzono ją w głąb puszczy i zabito. Całego wołu zjedli w ciągu dnia. Nazajutrz postanowiono ruszyć dalej, ale w towarzystwie choć jednej jeszcze sztuki bydła. Gdy ten zamiar chcieli wykonać, zostali nagle obskoczeni przez Burjatów i kozaków. Kilku padło odrazu na miejscu, resztę, skutą żelazami, popędzono do Irkucka.

...Lisowski, kierujący obławą na powstańców, ruszył ku Murynowi, w którym znajdowała się dość znaczna ilość wygnańców, którzy nie wzięli udziału w powstaniu. Między niemi było wielu chorych; były i rozbrojone straże rosyjskie. Na tych biedaków, całkiem niewinnych, wpada nagle z kozakami Lisowski. Jeden z żołnierzy ze straży, chcąc zdać rosyjskiemu wodzowi relację o stanie rzeczy, zbliżył się do niego, gdy padł nagle przeszyty kulą; resztę żołnierzy kazał Lisowski poprzywiązywać do drzew w celu rozstrzelania nieszczęśliwych; na więźniów zaś rzucił się, każąc ich mordować. Zabito kilku, resztę, tłukąc kolbami, spędzono w jedną gromadę, poczym, zabrawszy im ostatki pożywienia, mianowicie cukier i herbatę, kazał to wszystko wrzucić w ogromny kocioł, napełniony wodą, dolał do tego kilka garncy wódki i, rozebrawszy się do koszuli, pił przez całą noc z oficerami. Żołnierzy ze straży Lisowski, oprzytomniawszy, uwolnił.

...Wogóle dostawiono do więzienia irkuckiego przywódców powstania i 715 jeńców. Rozpoczęło się śledztwo, które trwało przez dwa miesiące, poczym, zgodnie ze świeżo wprowadzoną reformą w sądownictwie, miały się odbyć publiczne rozprawy sądowe. Proces ten wzbudził w mieście powszechne zainteresowanie. Gmach sądowy oblężony był przez tłumy ciekawych ze wszystkich klas społecznych. Najwykwintniejsze damy irkuckie przesiadywały na posiedzeniach sądowych od rana aż do późnej nocy.

Nie wszyscy jednak oskarżeni zachowywali się w sądzie z przynależną godnością. Szaramowicz nie zapierał się wcale, że był kierownikiem ruchu; otwarcie przyznawał się do swych zamiarów i celów i w uniesieniu wołał: „Lepiej zginąć, niż pędzić takie życie bez jutra, bez przyszłości, pod waszą wyuzdaną swawolą i gwałtami!" Słowa te wywarły pewną sensację, a prokurator Milutyn przywoływał mówcę do porządku. Popławski i Eljaszewicz podali na piśmie swą obronę, w której w słowach ostrych i szorstkich potępiali rząd. Jeden tylko Celiński, wprowadzony na sąd, blady, zmęczony, bez energji, żyjący trup, bronił się nieszlachetnie, starał się uniewinnić i winę zwalić na innych. Wyrok był z góry do przewidzenia. Podzielono powstańców na sześć kategorji: do pierwszej należeli przywódcy w liczbie ośmiu, mianowicie: Szaramowicz, Celiński, Reynert, Kotkowski, Pankowski, Eljaszewicz, Arcimowicz i Wroński. Tych ska-

zano na karę śmierci przez rozstrzelanie. Druga kategorja: co dziesiąty na rozstrzelanie, a pozostali na całe życie do katorgi i po 80 uderzeń t. zw. pletnią. Do trzeciej kategorji należało niewielu i tych skazano na zwiększenie lat pobytu w katordze; do czwartej zaliczono skazańców, którzy prawie nie należeli do powstania, i ci mieli mieć skute ręce i nogi przez cały czas pobytu w katordze; piątą kategorję poddano tylko pod surowy dozór zwierzchności w katordze przez jeden rok; do szóstej nakoniec ci wszyscy, których z pod zarzutu uwolniono.

...Gienerał-gubernator Syberji wschodniej, Dondukow-Korsakow, wyroki zatwierdził z tą zmianą, że miasto ośmiu czterech kazał rozstrzelać. Jakoż d. 8 listopada o godz. 7-ej rano wywieziono powstańców na plac kaźni. Wszystkie ulice i place miejskie były zapełnione przez tłumy ciche, poważne i widocznie współczujące ofiarom surowych i nieludzkich praw. Policja zakazała Polakom, znajdującym się w Irkucku, wychodzić w dniu tym na ulicę. *Dzień był mroźny* i mglisty od szronu śnieżnego, który, jak pyłek niewidzialny, drżał w powietrzu. Bladzi, wynędzniali, niewyleczeni jeszcze z ran Szaramowicz i Kotkowski, oraz Celiński i Reynert, jechali na dwuch wozach na odległe przedmieście Irkucka, zwane Uszakówką. Wozy otoczone były przez kozaków z dobytą bronią. *Pogrzebowy ten, ponury orszak* posuwał się niezmiernie wolno, tak, że pochód przez ulice na plac kaźni trwał blizko godzinę. Wszyscy czterej skazani, nawet Celiński, zachowywali poważny spokój. Szaramowicz, zrzuciwszy z siebie płaszcz, uśmiechał się pobłażliwie, jak gdyby nie żegnał na zawsze tej ziemi i tej dalekiej swej ojczyzny, którą ukochał nad wszystko, a której już nigdy ujrzeć nie miał. Na Uszakówce oczekiwał na skazańców ks. Szwernicki, staruszek, zesłany kiedyś na Sybir za sprawę Konarskiego. Staruszek drżał cały od wzruszenia; na tyle cierpień polskich patrzył przez swe życie na Syberji i te się jeszcze skończyć nie miały! Szaramowicz podbiegł ku niemu i kilku gorącemi słowy dodał otuchy księdzu. Gdy zbliżono się ku czterem słupom, wbitym w ziemię, wszyscy czterej rzucili się sobie w ramiona i uściskali się po raz ostatni.

Pluton wojska wystąpił i w chwili, gdy na rozkaz komenderującego oficera broń podniesiono do oka, skazani wznieśli czapki do góry i razem z hukiem strzałów zagrzmiało

na sybirskich śniegach stuletnie hasło nie tracących wiary i nadziei: jeszcze Polska nie zginęła!

...Pozostałym powstańcom tego samego dnia odczytano ostateczną konfirmację gien.-gubernatora. Czterech uwolnionych od śmierci miało iść teraz do katorgi na całe życie z zakutemi rękami i nogami, na długie, bez blasków i nadziei, nieskończone, męczące życie, gorsze od śmierci. Drugiej kategorji Dondukow-Korsakow darował dziesiątkowanie i barbarzyńskie pletnie i kazał ją posłać na całe życie do katorgi, także z rękami i nogami w kajdanach. Pozostałe kategorje zostały niezmienione... Droga za ponure, ciemne wody Bajkału, deptana tylokrotnie stopą polską, zaroiła się znowu wygnańcami. Pędzono ich już po raz trzeci tą drogą cierniową, ale już nie do robót nad krugomorską szosą, ale do kopalń Nerczyńskich, gdzie bunty niełatwe i świat daleko.

(Z. L. S. (Przyborowski).—Ostatnie chwile powstania styczniowego. Poznań, 1888 r.).

Pogląd ogólny na powstanie.

...Nam, wzrastającym w atmosferze, przesiąkłej strachem przed niedawnemi jeszcze represjami Berga i Murawjewa, wśród łoskotu walonych w gruzy wrażą ręką zrębów gmachu tysiącletniej kultury polskiej — mówiono o powstaniu ze zgrozą... Szeptano o tym „Sześćdziesiątym trzecim" jak o przyczynie nieszczęść, początku ruiny naszego dorobku narodowego, jak o zjawisku złowrogim, co niby zmora straszliwa na piersi całych pokoleń spadła... O tych, co w mnóstwie bezimiennych grobów leśnych i stepowych lub w rowach Cytadeli snem wiecznym spoczywali po zgiełku bojowym — niepodobna było mówić spokojnie.

Szaleńcy — lekkomyślnie ręką kochającą nóż w serce narodu wbijający... to był sąd najłagodniejszy dla całego Szaleństwa, jak powstanie styczniowe ochrzczono.

Dziś już pół wieku od tej naszej tragiedji minęło. Zarosły i zrównały się z ziemią mogiły, tak licznie po równinach i lasach polskich, w puszczach litewskich i stepach wołyńskich czy ukraińskich rozsiane... Wyschły dawno łzy matek, wdów i sierot po zamordowanych ręką wroga - Moskala, kata - rodaka lub ogłupionego propagandą, serdecznie ukochanego ludu — bohaterach styczniowych... Ucichły nieskończone spory, wyrzuty namiętne, insynuacje złośliwe...

Czas na sąd historji, sąd spokojny i bezstronny, bez złości, lecz i bezlitosny. A sąd taki powstania styczniowego nie potępi — nie będzie w stanie rzucić w twarz pokoleniu z przed pół wieku winy...

Wypadki zresztą same zadały kłam sędziom styczniowego wybuchu. Nikt nie uwierzy dziś, że najstraszniejszą klęską naszą, która setki najdzielniejszych pracowników narodu w Sybir powlokła, a tysiące młodzieży w beznadziejny bój z mocniejszym wrogiem pchnęła, był nasz protest przeciw niewoli narodu, bo dziś patrzymy, jak półwiekowa lojalność w niewoli miljony ludu polskiego w Sybir, a setki tysięcy w straszny bój bratobójczy pognała. Dziś nikt nie powie, że wszystkie nasze cierpienia karą za bunty na-

sze były po tym, jak nam otwarcie po półwiekowym spokoju zagładę narodową zapowiadano.

Historja musi powiedzieć, że powstanie styczniowe było koniecznością dziejową, której uniknąć nie byliśmy w stanie. Musi widzieć w nim jeden tylko epizod odwiecznej, bezlitosnej i bezwzględnej walki dwuch narodów, dwuch kultur, dwuch światów duchowych... Epizod walki, w której jeszcze ostatniego słowa nie powiedziano.

...Walka musiała nastąpić. Szanse były w owym momencie karykaturalnie nierówne, a musiano ją przyjąć, wyzyskując wszystkie nadarzające się atuty.

„Wiem, że zginę ja i ci, co za mną idą dziś do lasu — mówił prosty rzemieślnik - powstaniec do statysty, chłodno obliczającego szanse ruchu. — Wiem, że zginą ci, co pójdą za miesiąc, za dwa, może i za pół roku. Ależ wierzę w to i wiem, że wreszcie za nami pójdą tacy, dla których szczęście wolności zaświeci".

Z taką wiarą szli w bój, by „umrzeć, niosąc ziemię ludowi i protest przeciw zdradzieckiemu kompromisowi z Moskwą", pierwsi powstańcy w noc styczniową. I ci legli pokotem, lecz zwyciężyli swym zgonem — ziemię lud otrzymał, przedawnienie praw Polski do wolności nie nastąpiło.

Z taką wiarą szli i późniejsi powstańcy, łudzeni przez wyrocznię ówczesną — Napoleona III, w którym współcześni spadkobiercę gienjuszu stryja uznawali, a historja jednego z najgienjalniejszych szarlatanów widzieć musi.

...Nierówną walkę na ówczesnej pozycji i w ówczesnych warunkach przegraliśmy. Szli na śmierć pewną powstańcy jedni po drugich, szli na stracone pikiety, które im komenda możliwie długo zatrzymać kazała.

Szli — i ginęli według rozkazu. Bojownicy powstania styczniowego żołnierską swą powinność spełnili. Szli w bój, kładli się pokotem trupem, zarówno akademicy pod Słupczą, jak robotnicy - kosynjerzy pod Węgrowem, trzymali się, jak tylko mogli, najdłużej i ostatnie oddziałki zbrojne zeszły z pola dopiero wówczas, gdy nadszedł rozkaz po temu.

Czy powstańcy „Sześćdziesiątego trzeciego" spełnili również i swą powinność, jako najlepsi z pokolenia, będącego spadkobiercą tradycji, ideałów i dorobku kulturalnego swych ojców i dziadów?

Historja i na to odpowie — tak.

Pokolenie z przed pół wieku stało przed trudnym dylematem. Moskwa, wzamian za wyrzeczenie się praw narodu do własnego bytu państwowego, do zdobyczy kulturalnych i narodowych na Wschodzie, dawała nam dobrobyt i spokój. Zdejmowała od lat trzydziestu ciążące kajdany. Powstanie styczniowe handel ten dobra narodu — na dobro jednego lub dwu pokoleń — udaremniło.

Powstanie styczniowe dokonało likwidacji strasznej rany naszej, sprawy włościańskiej. Chłop wprawdzie, wezwany przez nie na ostatnią pańszczyznę, na bój pod wodzą szlachty, za broń nie chwycił. Młódź jednak szlachecka i rzemieślnicza zgonem swym niosła i dała polską ziemię chłopu polskiemu.

Dwu pokoleniom „Sześćdziesiąty trzeci" dał straszne cierpienia, to prawda, lecz naród polski, owe „przeszłe i przyszłe jego pokolenia", otrzymał z rąk straceńców z przed pół wieku nietkniętą swą idejową spuściznę i nie przehandlowane na liczman szczęścia jednego pokolenia — graniczne swe kopce, otrzymał miljony nowych obywateli.

. . . Szaleństwem, nieomal zbrodnią, nazwano powstanie styczniowe, widząc w nim wojnę polsko-rosyjską, lekkomyślnie podjętą w chwili, gdy Margrabia swemi reformami szczęście ojczyźnie przynosił.

Nic nad to fałszywego. — — — Naród, pozbawiony własnej państwowości, jedynie na demonstrancję zbrojną swych żądań lub swego protestu zdobyć się jest w stanie. Demonstracją też zbrojną i niczym więcej dla historyka jest powstanie styczniowe.

Krwawym protestem, samobójstwem spisku Czerwieńców, którzy jednak, sami rzucając się w przepaść, zdołali jeszcze rozsadzić krępujące naród okowy społeczne i dać chłopu polskiemu ziemię polską, był wybuch styczniowy. Zbrojną demonstracją narodu, żądającego niepodległości, a pozbawionego środków do walki o nią, było podtrzymanie ruchu zbrojnego przez żywioły zachowawcze. Demonstracja ta, jak każda inna, musiała być i była ściśle związana z odbywającą się współcześnie kampanją dyplomatyczną na tle wiszącej w powietrzu olbrzymiej walki Wschodu z Zachodem. Nieszczęściem jej było, że wybuchnęła ona o dwa lata przedwcześnie, że zaczęła się, zanim Napoleon III wyleczony został ze swych marzeń o przyjaźni rosyjskiej,

nim Anglja została zaszachowana w Danji, Austrja zaś — w Niemczech.

Fatalnością zaś było, że współcześnie z nią szła gienjalna gra dyplomatyczna, w której Bismark z chaosu europejskiego, rzucając na pół wieku Polskę Rosji, budował Niemcy Zjednoczone. Demonstracja była nieudana — przegraliśmy, lecz od chwili zwycięstwa dyplomatycznego Rosji, od połowy lipca, powstanie styczniowe stało się demonstracją protestu przeciw wyraźnym już niszczycielskim zamiarom Rosji. W tym charakterze oczekuje ono powikłań europejskich, które nastąpiły, lecz których już ruch zbrojny w Polsce nie doczekał. „Jeżeli niema pewności wygranej, to przegranej jest pewność zupełna od chwili, gdy naród da sobie oręż z rąk wytrącić. Zwyciężonych wróg tępić będzie bez litości, za upadłymi i w oczach świata poniżonymi nikt się nie odezwie." Te przytoczone przez nas słowa Czartoryskiego były hasłem „Sześćdziesiątego trzeciego" w ciągu trzech ostatnich kwartałów.

...Grzech pierworodny stuletniej naszej walki z Moskwą o swoje istnienie, brak państwa, które jedynie może prawidłową walkę prowadzić, zaznaczył się dobitnie w naszym dramacie „Sześćdziesiątego trzeciego", zmuszając wszystkich aktorów do popełniana błędów, w innych, normalnych warunkach życia narodu — zgoła często niemożliwych.

Błądzili wodzowie, zarówno Traugutt, jak Margrabia, zarówno Pan Andrzej, jak ks. Czartoryski, nie będąc w stanie panować nad całością kierowanego przez siebie życia narodowego.

Błądzili bezpośredni wykonawcy rozkazu wodzów, nie mając środków ani dla dostatecznego przygotowania działań, ani do prawidłowego wykonania rozkazu.

Błądził wreszcie ogół cały, pozbawiony nakazu i organizacji własnego państwa, natomiast poddany najbezwzględniejszym represjom i najbardziej demagogicznej agitacji ze strony organów wrogich sobie państw obcych. Począwszy też od zarania ruchu narodowego, od pierwszych manifestacji w 1860 roku, a kończąc na ostatnich jego przejawach, musiały mieć miejsce niezliczone błędy w szczegółach tej walki o prawa, o samo istnienie narodu, walki, którą instynkt samozachowawczy narodowi podszeptał, a która dała mu zasób sił na następne pół wieku martyrologji.

Zapisując też skrupulatnie wszystkie błędy, popełnione w szczegółach wielkiego dramatu dziejowego 1861 – 63, historja, powodując się li tylko zimną rozwagą i bezstronnością, jeden tylko sąd o straceńcach „Sześćdziesiątego trzeciego" mimo to wypowiedzieć może:

Spełnili swoją powinność!

(J. Grabiec. — Powstanie styczniowe 1863—64 r.).

TREŚĆ.

Wstęp 5
Z. L. S.—Królestwo Kongresowe przed rokiem 1863 . . . 7
Giller A.—Manifestacja z dnia 27 lutego 1861 9
Pogląd krytyczny na działalność Delegacji warszawskiej . . 13
Grabiec J.—Delegacja warszawska 16
Adres do cesarza Aleksandra 18
Z. L. S.—Pogrzeb pięciu poległych d. 2 marca 1861 r. . . . 20
Do Szanownej Delegacji miasta Warszawy 25
Dubiecki M.—Zjazd horodelski 27
Protest 30
Z. L. S.—15 października 1861 r. w Warszawie 31
Odezwa Administratora Archidjecezji Warszawskiej ks. Białobrzeskiego 35
Szwarce B.—Założenie Komitetu Centralnego w r. 1862. . . 36
Program Komitetu Centralnego 42
Milowicz W.—Wielopolski i jego działalność 45
Odezwa wzywająca do powstania 55
Odezwa o uwłaszczeniu włościan 57
Hramota dla ludu wiejskiego. Złota Hramota 59
Piłsudzki J.—W przeddzień wybuchu (22 stycznia 1863 r) . . 61
Rogiński R.—Z powstania w Siedleckim 67
Jeziorański A.—Atak kosynjerów na koszary w Rawie . . . 74
Giller A.—Sołowijówka i uwłaszczenie 77
O znaczeniu Rządu Narodowego 79
Janowski J. K.—Biały Jąnek 81
Udział ludu wiejskiego w powstaniu 1863 r. 86
Drążkiewicz A.—Chłopska deputacja u Czachowskiego . . . 88
Giller A.—O wojnie partyzanckiej 89
Odezwa Garibaldiego, ogłoszona w miesiącu lutym 1863 r. . . 92

Nominacja gien. Mierosławskiego 93
Bentkowski W.—Dyktatura Langiewicza 95
Urywek z listu Langiewicza do Ludwika Bulewskiego . . . 99
Drążkiewicz A.—Bitwa pod Stefankowem 101
Odezwa w sprawie amnestji 108
Odezwa do wojska 109
Odezwa. Rząd Narodowy Polski do Ludów i Rządów Europy . 111
Adres do Napoleona 114
Rota przysięgi 115
Anc B.—Zygmunt Chmieleński 116
Berg M.—Bitwa pod Żyżynem 122
Zaleski B.—Zygmunt Sierakowski 127
W obozie Mackiewicza. Urywek z listu powstańca . . . 136
Berg M.—Michał Mikołajewicz Murawjew 141
Dubiecki M.—Romuald Traugutt i jego dyktatura 146
Krzyż na stokach cytadeli 162
Wyjątki z listów Rafała Krajewskiego 163
Mowa cesarza Napoleona III w Ciele prawodawczym . . . 165
Pułkownik Rębajło (Karol Kalita).—Gienerał Bosak w obozie . 168
Pułk. Struś.—Ostatni z dowódców powstańczych 171
Grabiec J.—Reakcja w kraju i represje rządowe 173
Cyrkularz gien. policmajstra Trepowa 176
Z. L. S.—Powstanie zabajkalskie 178
Grabiec J.—Pogląd ogólny na powstanie 183

Uniwersytet żołnierski
D. O. Gen. Poznań
3723.
BIBL. WOJSK 58 P. P. Wlkp.

Z NASZEJ HISTORJI

WYJĄTKI Z DZIEŁ HISTORYKÓW POLSKICH

Część I. EPOKA PIASTOWSKA,

w oprawie 1 80

I.	Wiadomości wstępne.	— 25
II.	Ważniejsze wypadki i postacie dziejowe do Bolesława Krzywoustego (966—1138).	— 25
III.	Ustrój państwowy i stosunki społeczne w Polsce Piastowskiej.	— 25
IV.	Ważniejsze wypadki i postacie dziejowe do śmierci Kazimierza Wielkiego (1138—1370).	— 25
V.	Kultura w epoce Piastowskiej.	— 25

Część II. EPOKA JAGIELLOŃSKA,

2 tomy, w opr. po 1 80

I.	Unje i inkorporacje.	— 30
II.	Charakterystyki panujących w Polsce od 1370 do 1572 roku.	— 30
III.	Sprawy religijne, husytyzm i reformacja.	— 30
IV.	Stosunki społeczne w Polsce Jagiellońskiej.	— 30
V.	Tworzenie się Rzeczypospolitej szlacheckiej.	— 30
VI.	Sprawy zagraniczne, wojny, zjazdy.	— 30
VII.	Wielkie Księstwo Litewskie.	— 30
VIII.	Kultura za Jagiellonów.	— 30

Część III. CZASY KRÓLÓW ELEKCYJNYCH.

I.	Charakterystyki panujących 1573—1795 r.	— 30
II.	Charakterystyki wybitniejszych postaci histor.	— —
III.	Elekcje. — Konfederacje. — Rokosze.	— —
IV.	Stosunki społeczne w Polsce XVII i XVIII w.	— 35
V.	Rzeczpospolita szlachecka.	— —
VI.	Polityka zagraniczna. Obce wpływy w Polsce.	— —
VII.	Wojny.	— —
VIII.	Kozaczyzna	— —
IX.	Sprawy religijne.	— —
X.	Okres reform	— 40
XI.	Rozbiory.	— 40
XII.	Kultura w Polsce XVII i XVIII w.	— 40

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DNI CHWAŁY
DNI KLĘSKI

OBRAZY Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH

ZEBRAŁA I UŁOŻYŁA HELENA WITKOWSKA

OBRAZY, EPIZODY HISTORYCZNE ZDARZEŃ WIEKOPOMNYCH, CHARAKTERYSTYKI I WIZERUNKI KRÓLÓW I KSIĄŻĄT POLSKICH, MĘŻÓW STANU, DOSTOJNIKÓW PAŃSTWA, OPISY URZĄDZEŃ I OBYCZAJÓW. WYCIĄGI Z KSIĄG KRONIKARZY I HISTORYKÓW, WYJĄTKI Z DZIEŁ POETÓW I POWIEŚCIOPISARZY, OD CZASÓW NAJDAWNIEJSZYCH AŻ DO ROKU 1831.

DZIEŁO IN 4⁰ NA PIĘKNYM PAPIERZE WELINOWYM ZE 120 RYCINAMI I KOPJAMI Z OBRAZÓW MALARZY POLSKICH, ORAZ 56 WINIETAMI I OZDOBAMI GRAFICZNEMI. W WYKWINTNEJ OPRAWIE

CENA RB. 6.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

WYDAWNICTWA M. ARCTA W WARSZAWIE

ODRODZENIE DUCHA
TO
ODRODZENIE NARODU!
CZYTAJCIE
„KSIĘGI ŻYCIA I DUCHA"!

Carlyle T. Pracuj i nie trać nadziei. Wiązanka myśli o istotnych wartościach życia. Przekład A. Strzeleckiego, 1 20
w opr. 1 80

Finot Jean. Nauka szczęścia. Z francuskiego przełożył A. Krasnowolski, brosz. 1.50, w opr. 2 10

Harthinghowa Z. Ku światłu! Pokłosie myśli z niwy życia i ducha, brosz. 1 80, w opr. 2 40

Haushofer M. Sztuka życia i zagadnienia życia, przekład A. Krasnowolskiego, brosz. 1 80, w opr. 2 40

Lhotzky H. Poznaj duszę dziecka twego. Wskazówki dla rodziców, jak kształcić fizyczną i duchową stronę dziecka. Tłomaczenie P. Fr., 1 20

Lubbock J. Powaby życia, z 77-go wydania angielskiego, spolszczyła I. Moszczeńska. Wyd. II, powiększone, 1 50
w opr. 2 10

— Wartość życia. Przełożyła z oryginału I. M., rb. 1.50, w opr. 2 10

Marden O. S. Siła ducha i spokój życia. Przełożyła z angielskiego Marja Kreczkowska, brosz. 1 40; w opr. 2 —

Morn Ellick. Zbudź się i walcz. Sztuka odnawiania duszy i ciała. Przekład Wł. M. Kozłowskiego. Wyd. II, br. 1 50
w opr. 2 10

Mulford P. Niewyzyskane siły życia. Przełożyła z angielskiego Z. Hartinghowa, brosz. 1 40, w opr. 2 —

Schuré E. Wielcy wtajemniczeni. Zarys tajemniczych dziejów religji Brama, Kriszna, Hermes, Mojżesz, Platon, Jezus. Z 20-go wyd. franc. spolszczyła Wł. Nidecka, brosz. 1 80; w opr. 2 40

Toulouse Dr. Jak żyć należy, przełożył Adolf Strzelecki, brosz. 1 50; w opr. 2 10

Trine R. W. Czego świat szuka. Zasadnicze prawo istotnego życia, istotnej wielkości, potęgi i szczęścia. Z 15-go wydania angiels. przełożyła I. M., brosz. 1 20; w opr. 1 80

— W harmonji z Nieskończonością, przełożyła z oryginału Z. Hartinghowa, brosz. rb. 1; w opr. 1 60

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung
Warschau, den 16 I. 1917. T.-Nº 4216. Dr. Nº 288.

Biblioteka Wojsk. Akad. Pol.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
12377/1